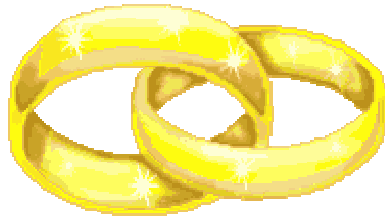




Laurie Campbell



***Ostatnia
szansa***

Rozdział 1

Gdyby tylko mogła mieć pewność, że Rafe ją kocha, wiecznie niezakręcane tubki pasty do zębów nie miałyby większego znaczenia.

Ani jego późne powroty do domu. Ani odkładanie w nieskończoność decyzji o dziecku...

Nie, dziecko to jednak co innego. Ta akurat kwestia miała dla Beth kolosalne znaczenie.

- Chcę mieć dziecko - zwróciła się do siostry. - Wszystko się do tego sprowadza.

- Zapisz to - powiedziała Anne. Chwyciła leżącą na stoliku ulotkę, odwróciła czystą stroną do góry i podsunęła ją Beth. - Jeżeli chcesz dogadać się z Rafeem, musisz dokładnie wiedzieć, o co masz do niego pretensje.

On mnie nie kocha, pomyślała Beth, ale nie była w stanie powiedzieć tego głośno.

- On nie chce się zgodzić na dziecko - wyjawiała zamiast tego, co oznaczało mniej więcej to samo. - Wprawdzie umówiliśmy się, że poczekamy, aż ten jego ośrodek pomocy prawnej dostatecznie się rozkręci, ale ciągnie się to znacznie dłużej, niż oczekiwałam.

- Zapisz to - powtórzyła Anne i wręczyła siostrze ołówek. - Kiedy ostatnio o tym rozmawialiście? - dodała, gdy Beth posłusznie nagryzmoła na kartce: „nie chce dziecka”.

- W piątek. W przeddzień mojego wyjazdu.

W piątek wieczorem, przed wyjazdem na coroczne wspólne wakacje z siostrą bliźniaczką, Beth zarzuciła mężowi, że bardziej zależy mu na obcych, wałęsających się po Tucson dzieciach, niż na tym, by mieć własne. Nawet nie próbował zaprzeczać.

- No i co? - zapytała Anne.

- No i nic - odburknęła Beth, obgryzając ze złością koniuszek ołówka. - Miałam nadzieję, że się wścieknie albo zmartwi lub mi powie, że się mylę. Gdyby wpadł w złość i zaczął przeklinać, co mu się czasami zdarza, kiedy rozmawia przez telefon z podopiecznymi ośrodka, świadczyłoby to o jego emocjonalnym zaangażowaniu. A on powiedział tylko zupełnie spokojnie, że są z ośrodkiem dopiero w połowie drogi, a my mamy jeszcze mnóstwo czasu na dziecko.

- Prawdę mówiąc, dwadzieścia sześć lat to jeszcze nie jest z górki - zauważyła jej siostra. - A Rafe? Ile ma lat? Dwadzieścia osiem? Ale oczywiście to problem numer jeden. Co jeszcze?

- Czy to nie wystarczy? - zapytała Beth w momencie, gdy pojawił się kelner z zamówionym śniadaniem.

Szkoda, że nie można go było odesłać i dokończyć rozmowy bez przerywników w postaci omletu z pieczarkami i chrupiących grzanek.

Chociaż to właśnie możliwość

spożywania posiłków w wagonie restauracyjnym stanowiła atrakcję, dla której zdecydowała się wracać pociągiem z Los Angeles do Tucson. Do męża, który jej nie chciał. A przynajmniej nie tak, jak by sobie tego życzyła.

- Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że zostawiłaś w domu obrączkę - stwierdziła Anne, patrząc na pozbawioną ozdób dłoń

siostry. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale o pewnych sprawach dobrze jest porozmawiać z kimś życzliwym.

Może i tak, ale Anne nie rozwiąże za nią jej problemów. Poza tym Beth wyjeżdżała z nadzieją, że tydzień z dala od Rafe'a pomoże jej odzyskać spokój ducha.

- Próbowałam udawać, że nigdy nie byliśmy małżeństwem - wyznała. - Byłam ciekawa, jakie to uczucie.

- No i co? Było ci smutno, prawda?

Prawda. Na tym właśnie polegał problem. Zostawienie obrączki w szkatułce z biżuterią okazało się gestem dziecinnym i głupim. Poza tym ani na moment nie udało jej się pozbyć uczucia, że jej palec jest niekompletny.

- Szczera rozmowa pomogłaby ci spojrzeć na pewne sprawy inaczej - ciągnęła Anne. - Sama zmiana wyglądu niewiele tu pomoże. Nie chcę przez to powiedzieć, że źle się prezentujesz. Przeciwnie, jesteś prześliczna.

- Mówisz tak tylko dlatego, że wyglądam w tej chwili zupełnie jak ty.

Anne z uśmiechem pokiwała głową. Rzeczywiście, od lat nie były do siebie tak bardzo podobne jak teraz, gdy Beth obcięła włosy i zmieniła fryzurę.

- Jasnym blondynkom jest bardziej do twarzy w krótkiej fryzurze, to wszystko - stwierdziła. - Tak czy inaczej, uważam, że powinnaś jak najszybciej porozmawiać z Rafe'em. Oczywiście, jeśli nadal chcesz być jego żoną.

- Chcę. Właśnie dlatego to takie skomplikowane. - Beth westchnęła. Tydzień wakacji nie zdołał ugasić jej płomiennych uczuć do męża. - Co ze mnie za kobieta? Pragnę mężczyzny, który mnie nie potrzebuje.

Anne zawahała się, a potem oderwała wzrok od filiżanki z kawą i zakłopotana spojrzała siostrze w oczy.

- Bethie, pozwól sobie przypomnieć, że „potrzebuje” a „kocha” to nie to samo.

Typowe stwierdzenie kobiety zajętej robieniem zawodowej kariery, która nie ma pojęcia o miłości.

- Przecież o to właśnie chodzi w małżeństwie - sprzeciwiła się - żeby ludzie byli sobie nawzajem potrzebni.

Anne milczała na tyle długo, by dać siostrze do zrozumienia, że nie widzi zadowalającego wyjścia z tej sytuacji, a potem energicznie postukała w stół.

- Musisz sporządzić listę „za i przeciw” - orzekła. - Wypisz wszystkie powody, dla których warto ratować wasze małżeństwo, a także te, dla których warto by się rozwieść. Pisz...

- Ale... - Co będzie, jeśli przeważą argumenty na korzyść rozwodu? I jak to się stało, - że tak szybko zamieniły się rolami? Przecież na ogół to ona troszczyła się o Anne. - Ja nie chcę się z nim rozstawać.

- Zapisz to w rubryce „za” - poleciła Anne, po czym upiła łyk kawy. - Co jeszcze w nim lubisz?

Nie chodzi o lubienie. Raczej o kochanie. Kocha Rafe'a, lecz boi się, że on jej nigdy nie pokocha.

- Szybciej - popędzała ją siostra. - Czy on jest inteligentny, przystojny, bogaty, czarujący, dobry w łóżku?

- Anne!

Jak tak można? Siedzą w samym środku przepełnionego wagonu restauracyjnego, a siostra pyta, i to na cały głos, jaki Rafe jest w łóżku!

- Punktualny, uprzejmy, wysportowany? - ciągnęła Anne.

- Tak, tak, dokładnie - przerwała jej szybko Beth, starając się odpędzić wspomnienie atletycznego ciała Rafe'a, przyciśniętego do jej ciała. Dobrze chociaż, że ilekroć się kochali, Rafe Montoya potrafił tak cudownie okazywać uczucia. - Ma wszystkie wymienione przez ciebie zalety oprócz bogactwa. Nadal spłaca kredyt studencki, a ten jego ośrodek nigdy nie przyniesie mu większych pieniędzy.

- Zapisz to w rubryce „przeciw” obok przedłużającego się okresu czekania na dziecko i wiecznie niezakreconej tubki z pastą do zębów. Swoją drogą, to dobrze, że jest punktualny, skoro ma po nas wyjechać na dworzec.

Tydzień temu Beth umówiła się z Rafe'em, że odbierze ją i siostrę z pociągu o wpół do dziesiątej rano, tak by zdążyli pokazać Anne ich nowy dom, zanim odwiozą ją na lotnisko. Mogła być pewna, że tego dnia już o świcie zadzwonił na dworzec, żeby potwierdzić godzinę przyjazdu. Choć mąż nie miał dla niej serca, nie uchylał się od obowiązków.

- Pewnie przyjedzie prosto z pracy - powiedziała, rysując krzywą kreskę pośrodku kartki.

- To on tak wcześnie zaczyna pracę? - zdumiała się Anne. Nie wiedziała, że dla jej szwagra żadna godzina nie była zbyt wczesna. Dzień pracy Rafe'a mógł się zaczynać i o trzeciej nad ranem. Albo trwać nieprzerwanie przez dwadzieścia dwie godziny. Zwłaszcza gdy młodociany przestępca potrzebował kogoś, kto by go reprezentował w sądzie, odwiózł do domu z komisariatu albo przygarnął pod swój dach.

- Pewnie spędził tę noc w ośrodku - wyjaśniła Beth. - Nie miał po co wracać do domu, skoro byłam na wakacjach.

Ledwie usłyszała słowa „nie miał po co wracać do domu”, już ich pożałowała, gdyż zabrzmiały jak podzwonne dla ich małżeństwa. A ona jeszcze nie potrafiła się z tym pogodzić.

- Niektórzy ludzie są zdania, że warto wrócić na noc do domu choćby tylko po to, żeby się przespać we własnym łóżku - stwierdziła sucho Anne.

Owszem, ludzie, którzy od urodzenia przywykli sypiać w wygodnym łóżku...

- Rzeczywiście - Beth przyznała rację siostrze. - Ludzie tacy jak ty i ja. Wiesz, jaki jest Rafe...

Anne wymownie pokiwała głową, jakby raz jeszcze chciała potwierdzić swoją opinię o mężu siostry bliźniaczki. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy w życiu, na przyjęciu zaręczynowym, odciągnęła Beth na bok i powiedziała jej, że Rafe jest „niesamowicie przystojny, o ile ktoś lubi ten posepny typ urody nawróconego łajdaka. Bethie, czy ty naprawdę chcesz spędzić resztę życia z tym aniołem stróżem ulicznej dzieciarni?”

Pytanie to nie dawało Beth spokoju przez ostatnie sześć miesięcy.

- Wiem, jaki jest Rafe. - Anne popatrzyła na elektroniczny zegar nad bufetem. - Jeżeli powie, że będzie punktualny, to będzie punktualny co do minuty.

- Bądź spokojna, zdążysz na samolot - obiecała jej Beth, a przy okazji zauważyła, że siostra już zaczęła się przestawiać z trybu wakacyjnego na roboczy, bo raz po raz spoglądała na ścienny zegar.

Wyjeżdżając na wakacje, Anne postąpiła podobnie jak Beth. Tyle tylko, że zamiast obrączki zostawiła w domu zegarek, by przez cały tydzień nie myśleć o pracy. Później jednak doszła do wniosku, że to był dość głupi pomysł.

- Mam nadzieję. - Anne posłała siostrze przepraszający uśmiech. - Muszę być dziś wieczorem w Chicago. Jeżeli chcesz zostać sam na sam z Rafe'em, nie powinniście pokazywać mi domu. Obejrzę go następnym razem.

- Nie, koniecznie musisz go zobaczyć! Jestem pewna, że ci się spodoba. Zwłaszcza pokój gościnny, który urządziłam jak małe biuro. Gdy znów przyjedziesz, poczujesz się jak u siebie w firmie.

- Widzę, że chcesz dogodzić swojej siostrze pracoholiczce. - Anne się roześmiała. - Musisz przyznać, że przez ten tydzień robiłam, co mogłam, żeby jak najlepiej wypocząć.

Dzięki temu dzwoniła do firmy tylko dwa razy dziennie, a nie dwadzieścia dwa. Można to było uznać za wielkie osiągnięcie.

- To prawda - powiedziała Beth. - Udało nam się nawet znaleźć czas na zakupy.

Po wizycie w najlepszym salonie piękności w San Diego za namową Anne obie sprawiły sobie nowe kreacje, jeszcze bardziej podkreślające ich wzajemne podobieństwo.

- Musisz przyznać, że miałyśmy niezłą zabawę, kiedy ludzie mylili nas z sobą. Jestem pewna, że kelner też miał ochotę zapytać, jak to jest mieć sobowtóra - dorzuciła Anne, która uwielbiała prowokować takie pytania, a jeszcze bardziej na nie odpowiadać.

- Możesz mu opowiedzieć, kiedy wróci z kawą - odparła Beth, wpatrzona teraz w listę „za” i „przeciw”. - Szkoda, że nie mogłyśmy zafundować sobie jeszcze kilku dni wakacji.

Czasami wzrok bywa bardziej wymowny niż słowa. Spojrzenie, jakim Anne obrzuciła siostrę, wyraźnie sugerowało, że jej zdaniem nawet kilka dodatkowych miesięcy nie poprawiłoby sytuacji małżeństwa Montoyów. Anne była jednak zbyt taktowna, by powiedzieć to wprost.

- Posłuchaj, Beth - oznajmiła jedynie - zawsze możesz mnie odwiedzić. Byłoby cudownie, gdybyś zechciała zająć się paroma sprawami.

- W twoim biurze? - zdumiała się Beth. Nie była to jej do mena, chociaż obie były współwłaścicielkami firmy produkującej lalki dla dzieci z zespołem Downa. - Nie wiedziała bym nawet, od czego zacząć.

- Mogłabyś się nauczyć. Oczywiście gdybyś doszła do wniosku, że pragniesz zmian w życiu.

Niestety, Beth nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, by mogła się zamienić rolami ze swoją starszą o pięć minut siostrą. I to niezależnie

od tego, jak ułożą się jej stosunki z mężem. Anne wydawała się stworzona do prowadzenia firmy podczas gdy ona woląa zajmować się projektowaniem lalek w domowym zaciszu.

- Owszem, pragnę zmian, ale nie aż tak wielkich - odparła. - Tak czy inaczej, dziękuję, Anne.

- Cóż, trudno. Wobec tego zastanów się nad swoją list Masz tylko trzy godziny, żeby ją dokończyć.

Trzy godziny, żeby zdecydować, czy chce uratować swoje małżeństwo?

- Nie umiem w takim tempie podejmować ważnych decyzji - zaprotestowała.

- Nie musisz podejmować decyzji - zaproponowała Anne. Uniosła filiżankę i przywołała kelnera. - Masz tylko wyliczyć wszystkie „za” i „przeciw”.

- Dobrze - zgodziła się Beth, i gdy kelner wdał się w dłuższą rozmowę z jej siostrą, bo mężczyźni zawsze lubili gawędzić z Anne, znów wzięła się za listę.

Niestety, na kartce było za mało miejsca, by opisać wszystko, co wydarzyło się w ciągu minionych dwóch lat.

O powiększeniu rodziny zaczęła myśleć poważnie, odkąd Anne ukończyła prestiżowe studia i wzięła w swoje ręce zarządzanie firmą. Jednak Rafe'owi nie spieszyło się do powiększenia rodziny ani w ubiegłym roku, ani pół roku temu. Ani teraz. Jego pasją był stworzony przez niego ośrodek. Całą swoją niespożytą energię, czas i siły poświęcił dzieciom ulicy. Chciał uchronić je przed losem, jaki mógł stać się również jego udziałem, gdyby nie silny charakter. To właśnie

ta otaczająca go aura rycerza w lśniącej zbroi urzekła ją, kiedy się poznali. Dopiero później dotarło do niej, że znacznie łatwiej zakochać się w rycerzu w lśniącej zbroi, niż z nim później żyć.

- Wiesz co - odezwała się Anne po odejściu kelnera - myślę, że przyda ci się krótka przerwa. Przejdźmy się do wagonu obserwacyjnego.

Poprzedniego wieczoru nie zwiedzały pociągu, tylko zaraz po wyjeździe z Los Angeles rozlokowały się w swoim przedziale sypialnym. Teraz jednak, na odmianę, ciekawie byłoby obejrzeć mijane okolice z górnej platformy.

- Dobrze - zgodziła się Beth. Złożyła listę na pół i kiedy wróciły na moment do swojego przedziału, schowała ją do bocznej kieszeni walizki w nadziei, że w ten sposób szybciej zapomni o całej sprawie. W każdym razie na te ostatnie chwile ich wspólnej podróży, by się nacieszyć swoim towarzystwem.

- Gdzie się spotkamy w przyszłym roku? - zwróciła się do Anne, gdy zajęły ostatnie wolne fotele w wagonie o panoramicznych oknach, z których roztaczał się widok na spaloną słońcem pustynię. - Teraz twoja kolej, by wybrać.

- W Nowym Jorku - z miejsca odparła Anne. - Nigdy tam nie byłaś, chociaż dawno powinnaś. Poza tym, jeśli nadal będę z Markiem, dostaniemy bilety na każdy pokaz na Broadwayu, jaki tylko nam się zamarzy.

Marc był włoskim architektem. Anne poznała go kilka miesięcy wcześniej. Aktualnie był ostatnim na długiej liście jej wielbicieli, których czarowała, by ich później porzucić bez najmniejszych

skrupułów. Sugestia, że miałby być przy niej za rok, mogła jednak oznaczać, że tym razem to coś poważniejszego.

- Myślisz, że on mógłby... - Beth zawahała się w poszukiwaniu właściwego słowa. - Czy to ktoś wyjątkowy?

- Na pewno nie na całe życie - odparła Anne. Wzięła leżącą na stoliku gazetę i podała pasażerowi, który czekał, aż zwolni się jakieś miejsce. - Na kilka miesięcy tak. Można się z nim świetnie zabawić.

Beth z żalem uznała, że chciałaby mieć tę pewność siebie, jaką los obdarzył jej siostrę bliźniaczkę. A mężczyzn traktować co najwyżej jako źródło świetnej rozrywki. Z takimi poglądami trudno jednak myśleć o założeniu rodziny. A człowiek bez rodziny naprawdę nikogo nie obchodzi.

- Wiesz, co nam dobrze zrobi? - odezwała się Anne. - Kawa z odrobiną brandy. - Musiała zauważyć wyraz przygnębienia na twarzy siostry. - To nam umili końcówkę wakacji.

Niestety, Beth podejrzewała, że kawa z odrobioną brandy nie wystarczy, by osłodzić jej powrót do domu. Jeśli jednak myśl o końcu podróży była również dla Anne źródłem stresu, to czemu nie miałyby się napić? W końcu to żaden wysiłek przejść się do wagonu restauracyjnego.

- Ja przyniosę - zaproponowała, a widząc, że grupka pasażerów czeka tylko, by ktoś zwolnił fotel, dodała: - Popilnuj mi miejsca. Zaraz wracam.

- Wobec tego pozwól mi przynajmniej zapłacić. - Anne wręczyła jej swoją elegancką torebkę w kształcie koperty, a pokażną torebkę

Beth położyła na sąsiednim siedzeniu. - Będę tutaj, chyba że zwolnią się lepsze miejsca.

Znów ta pewność siebie. To takie typowe dla Anne. Beth schodziła w zamyśleniu po wąskich stopniach, z czerwoną torebką w rękę. Niektórzy już się tacy rodzą. Nic dziwnego, że wszystko układa się po ich myśli. A to z kolei sprawia, że wydają się jeszcze bardziej atrakcyjni.

Jej przypuszczenia potwierdziły się, ledwie przekroczyła próg wagonu restauracyjnego. Siedzący przy jednym ze stolików mężczyzna z teczką pomachał jej i obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- Anne Farrell! Co za spotkanie! Pamiętasz mnie? Jestem Jake Roth, z Bostonu. Co u ciebie słychać?

Z siostrą mylono ją od zawsze i niezmiennie zbijało ją to z tropu. Zwłaszcza gdy ktoś w żaden sposób nie chciał uwierzyć, że ma do czynienia z nie tą bliźniaczką.

Jake Roth już podnosił się od stolika z wyciągniętą ręką. Miał przy tym taką rozradowaną minę, że zrobiło jej się przykro.

- Prawdę mówiąc - zaczęła, choć wolałaby oszczędzić mu niemiłego zawodu - Anne to...

- Tak się cieszę, że cię widzę! - Mężczyzna nie dał jej skończyć, tylko mocno uściskał jej dłoń. - Mindy ciągle o ciebie pyta. Ale się zdziwi, jak się dowie, że jechaliśmy tym samym pociągiem! Dokąd się wybierasz?

- Uhm... do Tucson - mruknęła, starając się utrzymać równowagę, bo nagle wagonem zaczęło zarzucać. - Ale, panie Roth...

- Jake - poprawił i w tym samym momencie podłoga zatrzęsła jej się pod nogami. Poleciała w bok, Roth złapał ją, a potem sam się potknął, bo podłoga ruszyła w przeciwnym kierunku.

Beth uczepiła się stolika, który na ułamek sekundy wydał jej się solidnym oparciem. Wtedy coś uderzyło mężczyznę u jej boku, odrzucając ich oboje do tyłu. Ktoś wrzasnął przeraźliwie, potem usłyszała rozdzierający zgrzyt metalu i ostrzegawczy krzyk Rotha:

- Trzymaj się mocno, Anne! To katastrofa!

Nie, to niemożliwe. Pewnie potracili jakiś kamień albo...

Desperackie próby pocieszenia samej siebie przerwał mrozący krew w żyłach krzyk. Beth zastygła z przerażenia, poczuła, że podłoga usuwa jej się spod nóg, a gdy spojrzała w górę, ściana wagonu waliła się na Jake'a i na nią...

Czy Beth będzie się uśmiechać?

Otwierając drzwi, na których widniał szyld ośrodka, Rafe pomyślał, że powinien trzymać kwiaty przed sobą, żeby je od razu zobaczyła. W drodze do pracy zatrzymał się przy kwiaciarni i kupił okazały bukiet z rodzaju tych, jakie wręcza się ważnym osobistościom. Beth pewnie zarumieniłaby się, słysząc to porównanie, ale on chciał jej w ten sposób okazać, ile dla niego znaczy.

Po przykrej rozmowie przed jej wyjazdem, po tygodniu, podczas którego ani razu nie zadzwoniła z Kalifornii, poczuł, że musi udowodnić Beth, że nadal jest najważniejszą osobą w jego życiu.

Właśnie dlatego zarezerwował stolik na powitalną kolację...

- Cześć! - W rzuconym jakby od niechcienia powitaniu Rafe z miejsca wychwycił nutę desperacji, która kazała chłopakowi koczować przed drzwiami jego ośrodka o tak wczesnej godzinie.

- Cześć! - odpowiedział i pomyślał, że każda pora jest dobra, by pogadać z Oscarem Ortizem. Nagle zauważył, że chłopak ma broń. W ośrodku panowała zasada „Zero narkotyków, żadnej broni”. Jak ją ominąć, nie płosząc przy tym chłopaka? - Właśnie miałem wyskoczyć na kawę - powiedział, ostentacyjnie tłumiąc ziewanie. - Przejdziesz się ze mną?

Gdy w odpowiedzi Oscar wzruszył ramionami, Rafe zamknął drzwi na klucz i obaj ruszyli w stronę najbliższej kafejki.

- Czy nadal chcesz się spotkać z Cholem? - zapytał Oscar. Rafe zerknął na zegarek. Miał bardzo mało czasu, bo już niedługo powinien wyjeżdżać na dworzec po Beth. Jednak trafiała się wyjątkowa okazja nawiązania kontaktów z szefem drugiego co do wielkości gangu na tym terenie.

Oscar musiał zauważyć jego wahanie, bo od razu się wycofał.

- Rozumiem, masz tyle innych spraw na głowie.

- Tak. - Rafe doszedł do wniosku, że jeśli powie prawdę, może później dostanie jeszcze jedną szansę. - Muszę odebrać żonę.

Przyjeżdża porannym pociągiem z Los Angeles.

Chłopak spojrzał na niego z dziwną miną.

- Ale chyba nie tym, który się wykoleił?

Jakiś pociąg się wykoleił? Nie, to niemożliwe. Musiałby o tym słyszeć.

- Mówili przez radio - wyjaśnił Oscar, widząc jego zdumienie. - To większa katastrofa. Gdzieś na pustyni.

Nie, to nie mógł być pociąg, którym jechała Beth. Przecież co najmniej pół tuzina innych kursowało codziennie między Tucson a Los Angeles. Albo i więcej...

Mimo to strach chwycił go za gardło. Dopiero później przyszła uspokajająca myśl, że Beth jest bezpieczna, że nic jej się nie stało. Nie mógł stracić ukochanej kobiety, i to po raz drugi...

- Nie, ona nie mogła jechać tym pociągiem - powiedział do Oscara, który wzruszył ramionami i spojrzał niechętnie na mijający ich policyjny wóz. - Nie Beth, dodał w duchu, nie moja żona. - Z nią wszystko w porządku - dorzucił.

Chłopak znów wzruszył ramionami. Rafe poczuł, że całe jego ciało spręży się instynktownie, jak do ataku.

- To jakaś pomyłka, i tyle - przekonywał sam siebie. - Pewnie radio podało nieprawdziwą informację.

Jednak trzeba to wyjaśnić. Wystarczy jeden telefon. Po raz pierwszy w życiu pożałował, że nie posłuchał Beth, która prosiła go, by zabierał do pracy komórkę. Zwłaszcza w nocy.

- W radio mówili... - zaczął Oscar, ale Rafe mu przerwał.

- Muszę się dowiedzieć, co się stało. Po drugiej stronie ulicy jest automat telefoniczny. Jeżeli nadal działa, zaoszczędzi mu to dwóch minut potrzebnych na powrót do biura. - Zerwał się od stolika, popędził do telefonu i poczuł gwałtowny przypływ ulgi, gdy usłyszał w słuchawce sygnał.

Z Beth wszystko w porządku. Sięgnął do kieszeni po drobne. A niech to! Ma tylko dwa centy i kilka banknotów. Co znaczy, że będzie musiał wrócić do kafejki, rozmienić pieniądze, a potem...

- Masz. - Oscar położył na półeczce przy aparacie garść monet, po czym cofnął się o krok.

Wybierając ćwierćdolarówki, Rafe gorączkowo zastanawiał się, gdzie powinien zadzwonić. Do kogo? Może na dworzec? Tak, oni będą wiedzieli. Szybko wystukał z pamięci numer, pod który telefonował o świcie, żeby potwierdzić godzinę przyjazdu pociągu z Los Angeles.

Ktoś musi wiedzieć, powtarzał sobie w myślach, słuchając sygnału w słuchawce. Powiedzą mu, że wszystko w porządku, że nic się nie stało, że Beth jest cała i zdrowa. Musi tak być, bo przecież nie może jej stracić.

- Ten pociąg o dziewiątej trzydzieści z Los Angeles - zaczął bez wstępów, kiedy ktoś wreszcie odebrał. - Jedzie nim moja żona i...

- Proszę pana - usłyszał - nastąpiło pewne... opóźnienie. Szczegółowe informacje dostanie pan na dworcu. Gdyby pan zechciał przyjechać...

- Nie. Chcę tylko wiedzieć, czy nic jej się nie stało. Rozmówca zawahał się.

- Proszę, niech pan przyjedzie i...

Odwiesił ze złością słuchawkę i pomyślał, że coś tu się nie zgadza. Wszystko będzie dobrze, upewniał się w duchu. Beth na pewno nic się nie stało. To prawda, że mieli ostatnio pewne problemy, ale on potrafi temu zaradzić. Spróbuje wszystko naprawić,

wytłumaczyć Beth, że mają jeszcze mnóstwo czasu na dziecko. Poradzi sobie, tylko musi się dowiedzieć, co się wydarzyło.... i kto mógłby mu w tym pomóc...

Morton! - przypomniał sobie nagle. Tak, Morton. Policjant, który pomógł mu parę miesięcy wcześniej, gdy trzeba było porozmawiać z zatrzymanymi członkami gangu.

Morton mógłby się dowiedzieć. Tylko... a niech to... jego numer miał zapisany w swoim telefonie w biurze.

Puścił się biegiem, gnany tą samą paniką, co przed laty, kiedy nie wiedział, kto go ściga w mroku nocy. Teraz był jednak dzień i nikt go nie gonił. Ulice świeciły pustkami, choć to akurat nie musiało nic oznaczać. Gdy dotarł do drzwi ośrodka, drżącą ręką wygrzebał z kieszeni klucz i... A niech to wszyscy diabli! Na szczęście nikt na niego nie czekał, bo nie byłby w stanie zająć- się nikim innym, póki nie będzie wiadomo co z Beth.

Dopadł telefonu i wykręcił bezpośredni numer do Morton-a. Boże, spraw żeby odebrał! Nie zabierze mu dużo czasu. Przedstawi się tylko i zapyta...

- Nie mieliście informacji o katastrofie kolejowej?

- Chodzi ci o ten pociąg, który się wykoleił? - Rzeczowy ton policjanta nasuwał podejrzenie, że wiadomość, którą usłyszał Oscar, mogła jednak być prawdziwa. To wciąż nie musiało znaczyć, że Beth stało się coś złego. Na pewno jest bezpieczna.

- Ten dziewięćdziesiąt trzy z Los Angeles - wyrzucił z siebie jednym tchem. - Jedźcie nim moja żona.

- O, cholera! - Czyżby w głosie Mortona zabrzmiała nuta niepokoju? Nie, to pewnie tylko złudzenie. Przecież wszystko jest w porządku. - Zaczekaj, zaraz sprawdzę. Nie rozłączaj się.

Beth nic się nie stało. Rafe ścisnął kurczowo słuchawkę i przemierzał tam i z powrotem przestrzeń pomiędzy drzwiami a biurkiem. Beth jest zdrowa i cała i już niedługo będzie w domu.

Chociaż ludzie nie zawsze wracali do domu. Na przykład jego mama, Carlos, Nita, Gramp i Rose. Ale to co innego. Przecież nie jest zależny od Beth. Nie był i nigdy nie będzie.

Dlatego nie musi się o nią bać. Wszystko jest w porządku, a policjant ma to tylko potwierdzić. Dlaczego to tak długo trwa? Zresztą, nieważne. Morton zaraz wróci i powie, że opóźnienie pociągu Beth to drobnostka... O, już jest!

- Rafe? - Policjant powiedział to takim tonem, że Rafe instynktownie skulił się, jakby w oczekiwaniu na cios. Dopiero później przypomniał sobie, że przecież nic się nie stało. - Posłuchaj, przykro mi, ale.. - Morton urwał, a potem spytał: - Czy twoja żona jechała z...

- Tak, z siostrą - zdołał wykrztusić. Może zaszło nieporozumienie? Może coś przydarzyło się jego szwagierce? Będzie to oczywiście cios dla Beth, ale najważniejsze, że ona sama żyje.. - Siostra ma na imię Anne. To jej bliźniaczka.

- Cholera! - mruknął policjant. Zapadła cisza, podczas której Rafe gorączkowo usiłował wygrzebać z zakamarków pamięci modlitwę albo zaklęcie, ale w głowie miał kompletną pustkę. - Siostra

jest w tej chwili w drodze do szpitala. Beth... Stary, tak mi przykro... Nie udało się jej uratować...

Nie! Nie! Rafe odłożył wolno słuchawkę. To niemożliwe! To się nie mogło wydarzyć. Nie, myślał gorączkowo, nie tym razem.

„Nie udało się jej uratować”

Boże, tylko nie Beth! Znów? Znów miałby zostać sam? Już ogarnęło go znajome uczucie - ten obezwładniający ciężar, ten napór łez...

Nie! Żadnych łez. Trzeba coś zrobić, trzeba się ruszyć, trzeba gdzieś pojechać... Byle nie płakać. To bez sensu. Potykając się, wyszedł do poczekalni. Może ktoś tam jest? Ktoś, komu trzeba pomóc. Będzie wtedy miał coś do roboty. Nie będzie mógł pozwolić sobie na łzy. Nie, nie ma nikogo. Ale to jeszcze nie znaczy, że musi się zaraz rozklejać. To jakiś obłąd.

Boże, co za straszny ból!

Nie, to niemożliwe. Beth nie mogła tak po prostu odejść, zanim zdążył wszystko naprawić. Wyjechała taka rozgniewana, uważała, że umyślnie odkładał decyzję o dziecku, bo jej nie kochał. A on tak ją kochał!

A może nie dość? Nie tak jak trzeba?

Zacisnął palce na popękany oparciu plastikowej kanapy, na której klienci czekali na dyżurnego prawnika. Nie może teraz zamknąć drzwi. Lada chwila ktoś może się zjawić. Tymczasem on...

Już niczego nie zdoła naprawić. Nie zdoła? Musi! Na tym przecież polega jego praca. Nie może tak stać w poczekalni i bezradnie płakać. Jednak łzy płynęły niepowstrzymanym

strumieniem. Chociaż z całych sił napinał mięśnie i powstrzymywał oddech...

Nie tutaj! Wpadł do łazienki, zatraskując za sobą drzwi. Dławił się, szlochał i nie mógł się opanować.

- Nie, tylko nie Beth! - wyrzucał z siebie przez łzy. - Nie teraz! Boże, proszę!

Błagał z całego serca, z całej duszy. Choć wiedział, że wszystko na nic. Płacz nic tu nie pomoże. Nie ma ratunku. A skoro tak, należy wziąć się w garść, trzeba stąd wyjść. Musi poszukać w sobie tej siły, którą gromadził przez całe lata, a która miała uchronić go przed cierpieniami, jakich zaznał w młodości, gdy odchodzili najbliżsi mu ludzie.

Tymczasem było jeszcze gorzej niż przedtem, mimo że nauczył się zwalczać ból. Wiedział, jak należy się poruszać, jak splatać ręce z tyłu, żeby się nie dusić, i liczyć: pięć, dziesięć, piętnaście...

Siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć...

Dwieście dwadzieścia, dwieście dwadzieścia pięć, dwieście trzydzieści...

Trzeba liczyć dopóty, dopóki jest to konieczne. To dobre na początek, bo źródła prawdziwej siły należało szukać gdzie indziej. W tym celu będzie musiał wyjść i zająć się kimkolwiek. Może klientem w poczekalni, chociaż nie słyszał, żeby ktoś wszedł do lokalu. Gdy wreszcie wyprostował się i otworzył drzwi łazienki, biuro było puste.

Trudno, poradzi sobie inaczej, bo wie już, co robić. Skoro tutaj nie ma nikogo, spróbuje gdzie indziej. Uda mu się, już wcześniej tak

robił. Musi tylko znaleźć kogoś, kto potrzebuje opieki, kto cierpi, kto się boi albo... Kto cierpi. Tak, to jest wyjście!

Anne! Policjant powiedział, że zabrała ją karetka. Pewnie jest już w szpitalu.

Zamknął drzwi wyjściowe na klucz, już po raz drugi tego ranka, po czym wyszedł na zaśmiecony parking na tyłach budynku.

Najważniejszy jest ruch. Trzeba się ruszać. Jeśli zajmie się kimś, kto potrzebuje pomocy, uchroni go to przed kompletnym załamaniem.

Siostra Beth jest pewnie w bardzo złym stanie.

Ruszaj się, ruszaj... Mówił sam do siebie, brnąc niepewnie, jak ślepiec, w stronę samochodu. Naprzód, naprzód. W końcu sobie poradzisz. Musi ci się udać.

A teraz zajmij się Anne!

Rozdział 2

- Anne? Ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Kojący głos brzmiał znajomo, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może słyszała go rano albo w nocy, albo... Zaraz, zaraz, czy to już rano?

Tak, skądś sączy się światło. Światło także wydało jej się znajome, co musi chyba znaczyć, że jest w domu, w... W....?

W łóżku, oczywiście, ale to chyba nie jest jej łóżko. Tamto bardzo wygodne, a w tym wszystko ją boli. Źle spała, z ręką wykręconą do tyłu. A jakby i tego było mało, coś gorącego uwiera ją w bok...

- Anne, czy twój szwagier będzie cię mógł dziś odwiedzić? Pytanie zdawało się skierowane do niej. Czy to znaczy, że

Anne to ona? Imię to brzmiało znajomo. Bardziej nawet niż łagodny głos i przyćmione światło.

- Przychodził codziennie, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz, i powtarzał, żebyś się o nic nie martwiła.

- Dobrze - mruknęła, a przynajmniej chciała tak powiedzieć, ale jej głos zabrzmiał dziwnie. Jednak mówiąca do niej kobieta musiała go usłyszeć, bo z jej ust wyrwał się okrzyk radości.

- Obudziłaś się! Pędzę zawiadomić doktora Sibleya! Nie musisz przyjmować nikogo, póki nie poczujesz się silniejsza, ale twój szwagier będzie szczęśliwy, jeżeli się zgodzisz.

- Dobrze - powtórzyła, tym razem wyraźniej, i spróbowała się unieść, co jej się jednak nie udało. - Co... co... ? - Nie mogła sobie przypomnieć, o co chciała zapytać. Miała jednak przykre wrażenie, że coś jest nie tak.

- Jesteś w szpitalu, kochana. Od ośmiu dni, i przyznam się, że już zaczynaliśmy się o ciebie martwić. Teraz wszystko będzie dobrze.

W szpitalu? Czy usuwali jej migdałki? Pamiętała ten szpital i siostrę leżącą w sąsiednim łóżku. Śmiały się z czegoś, ale z czego? To musiało być dawno temu. Czy dobrze usłyszała? Osiem dni? Nie, znacznie dawniej.

- Zaraz go tu przyślę - oznajmiła kobieta, pomagając jej dźwignąć się do pozycji półsiedzącej. - Nie przemęczaj się. Zresztą, on nie liczy na to, że będziesz z nim rozmawiać. Możesz sobie chwilę posiedzieć w jego towarzystwie.

- Dobrze. - Słowo to brzmiało w jej ustach coraz wyraźniej, zdawało się też napawać radością tę miłą pielęgniarkę. Kobieta w białym fartuchu, w szpitalu, musiała chyba być pielęgniarką? Także sposób, w jaki wycofała się do drzwi, nie spuszczać z niej uważnego spojrzenia, dawał znajome poczucie bezpieczeństwa.

Jeśli nawet w głowie wszystko jej się pomieszało, potrafiła rozpoznać pielęgniarkę.

Niestety, nie udało jej się zidentyfikować mężczyzny, który wszedł do pokoju. Nie mógł to być doktor, bo miał na sobie popielaty garnitur, białą koszulę i krawat.

Na twarzy gościa malował się wyraz niewysłowionej ulgi.

- Anne - powitał ją, po czym ujął jej dłonie i delikatnie uściśnął. Zaskakująco delikatnie w porównaniu z uciskiem metalowej konstrukcji podtrzymującej jej rękę. Nie pamiętała tego ze szpitala, w którym usuwali jej migdałki. - Wszystko będzie dobrze. Doktor Sibley mówi, że jeszcze tylko kilka dni tutaj, potem sześć tygodni rehabilitacji i będziesz jak nowo narodzona.

Mówił to z taką rozradowaną miną, że musiała to być dla niego dobra wiadomość.

- To dobrze - zdołała wykrztusić, nadal jednak nie wiedziała, kim jest ten człowiek - Uhm... Czy pan jest lekarzem?

Gość zachnął się, zaskoczony, ale zaraz się opanował, przysunął plastikowe krzesło do łóżka i usiadł.

- Nazywam się Rafe Montoya - powiedział łagodnym tonem i urwał, jakby się spodziewał, że rozpozna to nazwisko. - Jestem twoim szwagrem. Mężem twojej siostry.

To jej siostra ma męża?! Jeśli jej siostra jest mężatką, to znaczy, że okres dzieciństwa dawno się skończył.

- Gdzie ona jest?

Wyraz spokoju nie zniknął z twarzy mężczyzny, ale w jego wzroku pojawił się ból.

- Nie ma jej tu - wyjaśnił, po czym spojrzał jej w oczy. -A ty... miałaś poważny wypadek.

- Chyba tak - przyznała, odsuwając się od tego czegoś, co boleśnie uciskało ją w bok. - Nie czuję się dobrze.

Mężczyzna pokiwał głową, a potem nachylił się i poprawił coś na brzegu łóżka, tak by było jej wygodniej.

- Pociąg, którym jechałyście z Beth, wykoleił się - powiedział cicho.

- Beth? - Imię to brzmiało znajomo, a sądząc po sposobie, w jaki je wymówił, należało do bliskiej mu osoby. - Moja siostra?

- Tak. Ogromnie mi przykro, Anne.

Anne? Pielęgniarka także nazwała ją tym imieniem, czyli jedno już wie na pewno - że nazywa się Anne. Kombinacja tych dwóch imion - Anne i Beth - budziła w jej umyśle skojarzenia.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że na skutek wypadku... masz w głowie kompletną pustkę. Same białe plamy, prawda?

Prawda, ale nie chciała go zasmucać. Tym bardziej że musiał przecież martwić się o żonę. Choć z jej siostrą pewnie wszystko w porządku. Gdyby było inaczej, mąż Beth nie siedziałby tutaj, tylko przy łóżku żony.

- Niezupełnie - powiedziała. - Pamiętam, jak wycinali nam migdałki.

Z niewiadomych powodów to wspomnienie było wyjątkowo wyraziste. Może dlatego, że w obu szpitalach panował taki sam zapach? Były też inne wspomnienia: wspólna zabawa z psem, wzajemne zaplatanie warkoczy, wycinanie śnieżynek z białego papieru... Ale to było dawno temu.

- Tak, myślę, że tak. - Mężczyzna patrzył na nią przez chwilę z żalem, jakby jej twarz budziła w nim tęsknotę, a potem uśmiechnął się przeproszająco. - Wydaje mi się, że powinnaś teraz odpocząć. Wiedz, że mnóstwo ludzi modli się o twoje zdrowie.

- Naprawdę?

Kto by to mógł być? Oczywiście prócz siostry, która powinna się tu zjawić lada chwila. Skąd to uczucie, że prócz niej nie ma na tym świecie nikogo bliskiego? Żadnych rodziców, dziadków - nikogo prócz siostry. No i oczywiście tego mężczyzny, Rafe'a. Szwagra. Męża Beth.

- Tak, choćby ten Jake Roth, który cię wyciągnął z roztrzaskanego wagonu. - Jeżeli Rafe miał nadzieję, że tym zdaniem uruchomi jej pamięć, to się przeliczył. - On i jego żona dzwonią tu codziennie. A także wszyscy z Chicago.

Z Chicago? Nazwa jakby znajoma. Pod powiekami zobaczyła blady zarys miasta. Z pocztówki? Z kalendarza?

- Jesteśmy w Chicago?

- Nie. W Tucson. - Rafe zamknął na moment oczy, a potem ciągnął: - Beth i ja mieszkaliśmy, to znaczy, mieszkamy w Tucson. - Miał spokojną twarz, ale nie zdołał zapanować nad drzeniem głosu. - Pojechałyście z Beth na wakacje i...

- Czy z nią wszystko w porządku?

Mężczyzna zawahał się, a jej zrobiło się nagle przeraźliwie zimno.

Rafe spojrzał jej w oczy i cicho powiedział:

- Beth odeszła.

Jak to odeszła?!

Musiała się zachnąć i jęknąć, bo Rafe natychmiast chwycił ją za rękę.

- Tak mi przykro, Anne - wykrztusił, a potem zaczął mówić bardzo szybko, jakby sądził, że w ten sposób szok będzie zmniejszy. -

Wszyscy potwierdzili, że to stało się nagle, zanim wybuchł pożar. Ona nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Tak? Ale to by znaczyło... ?

- Beth... moja siostra? Czy ona nie żyje?

Wciąż trzymając ją za rękę, skinął głową. Tylko raz, nie podnosząc na nią wzroku.

- O Boże, nie! - To niemożliwe. To nie może być prawda!

Dopiero co bawiły się papierowymi lalkami na szpitalnym łóżku, po usunięciu migdałków, i... - Nie, tylko nie moja siostra!

Gdy nie zaprzeczył, zalała ją fala dojmującego bólu. Jej druga połowa, najwierniejsza przyjaciółka, bliźniaczka z którą dzieliła życie, naprawdę odeszła?

Nie, to niemożliwe!

- Nie mogę... - Urwała. Płacz nic tu nie pomoże, pogłębi tylko jej rozpacz. - Och, Rafe...

- Współczuję ci - powiedział łamiącym się głosem i wtedy zdała sobie sprawę, że musi cierpieć tak samo jak ona. Dzielił z nią ból i to dotkliwe poczucie straty.

Nie, nie była w stanie teraz o tym myśleć. Dlatego musi jak najszybciej zasnąć, a wtedy wszystko znowu będzie dobrze. Może kiedy następnym razem się obudzi, siostra będzie leżała w sąsiednim łóżku?

A jednak czuła, że nie. Wyczytała to z zasmuconych oczu mężczyzny, który był jej szwagrem.

Nie tylko ona straciła siostrę. On utracił żonę!

- A jak ty się czujesz? - wykrztusiła.

Zaskoczony, puścił jej rękę i wyprostował się na krześle.

- Miałem już trochę czasu na oswojenie się z tą wiadomością - powiedział głucho, a ona od razu zrozumiała, że to nieprawda, ale Rafe nigdy się do tego nie przyzna. - Poza tym wiem, że Beth chciałaby, żebym się tobą zaopiekował.

Ach, to dlatego przychodził tu codziennie przez ostatnie osiem dni. Za życia Beth musiała bardzo troszczyć się o swoich bliskich.

- Gdybyś czegoś potrzebowała... - ciągnął Rafe. - Sprawy ubezpieczenia, i tak dalej, już załatwiłem, ale gdybyś potrzebowała czegoś jeszcze, możesz na mnie liczyć. - Nagle się poderwał, jakby zrozumiał, że jedyne, co może jej w tej chwili pomóc, to sen. - Mówię serio, Anne. W każdej chwili jestem do twojej dyspozycji.

Wiedziała, że mówił prawdę, jeszcze zanim zdążył położyć rękę na jej ramieniu. Wiedziała też, dlaczego to dla niego takie ważne. Widocznie dobrze zapamiętała, jaka była jej siostra.

- Ktoś musi zaopiekować się tymi, których Beth kochała - wyszeptała i nagle ją olśniło. Zrozumiała, że nie tylko ona potrzebuje w tej chwili Rafe'a, ale i Rafe bardzo potrzebuje jej. - Beth by sobie tego życzyła.

„Beth by sobie tego życzyła”.

Rafe wielokrotnie powtarzał sobie to zdanie w ciągu następnych dni, aż wreszcie zrozumiał, że oto trafia mu się szansa, by zrobić coś dla Beth. Jeśli zaopiekuje się jej siostrą, dopóki nie stanie na nogi, będzie mógł przynajmniej pocieszać się myślą, że spełnił życzenie zmarłej żony.

Szkoda, że tylko jedno, ale dobre i to.

- Lepiej się czujesz? - Zadawał to pytanie Anne każdego popołudnia przez cały następny tydzień, a jej odpowiedzi były coraz bardziej konkretne. Wreszcie przyszedł dzień, kiedy mógł jej zakomunikować:

- Pielęgniarka mówi, że pojutrze wypiszą cię ze szpitala.

- Nie mogę się już doczekać - odparła, unosząc się na łożku.

Widać było, że kosztuje ją to znacznie mniej wysiłku niż kilka dni wcześniej. - Chciałabym już wrócić do... rzeczywistości.

Jej niepewny ton nasunął jednak Rafe'owi podejrzenie, że nadal ma spore luki w pamięci.

- Nie forsuj się - przykazał jej. Już wcześniej zadzwonił do biura w Chicago uprzedzić, że Anne potrzebuje czasu, by wrócić do formy. Przyjął też kondolencje ze spokojem, który zdążył w sobie wyćwiczyć w ciągu minionych dwóch tygodni. - Może jeszcze trochę potrwać, zanim sobie wszystko przypomnisz. Doktor twierdzi, że to normalne.

- Wiem, ale to okropne uczucie! Wczoraj jakiś Marc przysłał mi bardzo dziwny list, w którym pisze, że pragnie dać swojemu małżeństwu jeszcze jedną szansę. To dobrze, cieszę się, ale nie chce mi się wierzyć, żebym się kiedykolwiek mogła spotykać z żonatym mężczyzną.

Z kim spotykała się jego szwagierka, tego Rafe nie wiedział. Jednak widać było, że list ten bardzo ją poruszył, dlatego pospieszył z pierwszym lepszym wyjaśnieniem, jakie przyszło mu do głowy.

- Może ten facet nie powiedział ci, że jest żonaty. Spojrzała na niego ze smutnym uśmiechem.

- A może po prostu nie znam się na ludziach? Nie, to nie pasowało do tego, co o niej wiedział.

- Beth zawsze mówiła - zaczął, czując ucisk w gardle jak zawsze, gdy wymawiał to imię bez przygotowania - że nie zna bystrzejszej osoby niż ty.

Oczy Anne napęłniły się łzami. W przeciwieństwie do Rafe'a zdawała się uważać taki objaw słabości za rzecz całkiem naturalną.

- Tak bardzo mi jej brak - wyszeptała. - Nie pamiętam, ani o czym rozmawialiśmy, ani nawet numeru jej telefonu, ale pamiętam, że była moją drugą połówką. Nie mogę uwierzyć, że nie ma jej już wśród nas.

Rafe pomyślał, że strata kogoś, kogo się znało od urodzenia, musi być przeżyciem bardziej traumatycznym niż utrata pamięci. Choć mówi się, że czas leczy rany, w jego przypadku nie okazało się to prawdą.

Oczywiście z nim wszystko w porządku... Umie sobie przecież poradzić w takich sytuacjach.

- Gdybym z nią wtedy została... - ciągnęła Anne, mnąc w palcach brzeg szpitalnego prześcieradła. - Gdybyśmy były razem, kiedy pociąg się wykoleił...

- Chyba nie próbujesz obarczyć siebie winą? - przerwał jej ostro. Robił wprawdzie to samo po śmierci Grampa i później, kiedy zastrzelono Carlosa, ale teraz to było co innego. Przecież nie ona spowodowała katastrofę pociągu. - To był wypadek, Anne. Nie sposób go było przewidzieć.

- Ja... ja tylko żałuję, że nie postąpiłam inaczej. Wprawdzie nie wiem jak... - powiedziała łamiącym się głosem. - Jak mogłam pozwolić, żeby moja siostra zginęła zamiast mnie!

Rafe'a nagle ogarnęło współczucie. Pomyślał, że jego szwagierka jest w znacznie gorszej sytuacji niż on. Cierpiał, ale przynajmniej wiedział, jak sobie z tym radzić.

- Tak mi przykro. - Nachylił się i ujął ręce Anne. - Bardzo ci współczuję. Tak mi przykro.

Łzy przychodziły jej tak łatwo, że niemal jej pozazdrościł. Oczywiście to głupie, bo biedaczka naprawdę nie miała nikogo, kto by ją pocieszył i na kim mogłaby się teraz wesprzeć. Po kilku minutach Anne zdołała się jednak opanować i otarła łzy.

- Nie powinnam... - zaczęła przepraszającym tonem, a potem nagle wybuchnęła: - Wiem, że przeżywasz to samo.

Pomyślał, że niezupełnie. Anne nigdy nie sprawiła ukochanej siostrze zawodu. Nigdy nie obudziła się z uczuciem: że to jej wina, że rozstały się w gniewie.

Nie powinien jednak poruszać tego tematu, bo nie było sensu zmuszać Anne, by mu współczuła. Nie potrzebuje przecież niczyjego współczucia. Nigdy nie potrzebował.

- Tak, ale ja przynajmniej pamiętam, jak się nazywam i gdzie mieszkam.

Spojrzała na niego z trwogą, a potem posłała mu taki sam bezradny uśmiech, jaki często widywał na twarzy Beth Uświadomił sobie, że identyczne bliźniaczki mogą robić identyczne miny. A

jednak ten uśmiech Anne obudził w nim na moment szaleńczą nadzieję, że zaszła pomyłka.

To nonsens. Szczątki Beth zidentyfikowano już na miejscu katastrofy. Tożsamość Anne także została potwierdzona kiedy zabierało ją pogotowie. Poza tym Beth miała zupełnie inne włosy... Nie, to tylko rozpacz podsuwa mu takie myśli

- Czasami mam wrażenie, że pamiętam, gdzie mieszkałam - odezwała się Anne. - Czuję też, że gdy się tam znajdę wszystko powróci do normy. Muszę tylko wrócić do domu. Jutro jestem umówiona z pracownikiem socjalnym, żeby ustalić, co dalej.

Niestety, telefony do Chicago utwierdziły Rafe'a w przekonaniu, że Beth nie myliła się w ocenie siostry. Anne, skupiona na robieniu zawodowej kariery, poświęcała bardzo mało czasu na pielęgnowanie bliższych znajomości czy przyjaźni. A już na pewno nie miała przyjaciół, którzy przyjęliby ją pod swój dach na sześć tygodni, póki nie zakończy się rehabilitacja. Ludzie, z którymi rozmawiał, sprawiali wrażenie przejętych, ale bardzo zapracowanych. Nikt nie zaproponował, że weźmie ją do siebie na okres rekonwalescencji.

Beth z pewnością nie wahałaby się ani chwili.

- Posłuchaj - powiedział - zanim porozmawiasz z pracownikiem socjalnym, mam dla ciebie pewną propozycję. Czeka cię teraz sześć tygodni rehabilitacji i musisz się gdzieś na ten czas zatrzymać.

- Mam przecież mieszkanie w Chicago. W nadziei, że sobie coś przypomnę, przeglądałam zawartość torebki tyle razy, że znam już na pamięć swój adres. Mieszkam na...

- Nie możesz jeszcze mieszkać sama - wpadł jej w słowo Rafe. - Ktoś musi się tobą zaopiekować. Może nie przez całą dobę, ale dobrze by było, żeby ktoś był pod telefonem przez ten pierwszy okres. Myślę, że powinnaś zostać na jakiś czas w Tucson - dodał. - Zamieszkasz w naszym pokoju gościnnym, a ja, w razie potrzeby, zawiozę cię, gdzie tylko sobie zażyczysz, i będę ci służył pomocą.

Na jej twarzy odmalowało się wahanie.

-Ale...

- Będę zabierał do pracy komórkę - dorzucił pośpiesznie. Beth tyle razy go o to prosiła, a on zlekceważył jej prośby. Może chociaż w ten sposób zdoła to po części naprawić? - Będiesz mogła dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Naprawdę.

Anne uważnie mu się przyjrzała.

- Wszystko przemyślałeś.

Owszem, ale tylko w ten sposób mógł zmazać swoją winę wobec Beth, a w konsekwencji odzyskać równowagę ducha.

Otoczając opieką kogoś, kto jej potrzebuje, na przykład Anne.

- To jedyne rozsądne wyjście - powiedział. - Na najbliższe sześć tygodni tak będzie dla ciebie najlepiej.

- Może dla nas obojga tak będzie najlepiej - stwierdził Anne.

Rafe zachnął się. To już nie jej kłopot, co będzie dla niego najlepsze. Milczał jednak. Jeśli jest szansa, że będzie mógł się nią zaopiekować, należy unikać niepotrzebnych zadrażnień. Tym bardziej że Anne już potakująco kiwała głową.

- Dobrze. Jestem ci bardzo wdzięczna, Rafe. - Nagle ogarnęło ją uczucie niewysłowionej ulgi. - Zamieszkam u ciebie na te sześć tygodni.

Trudno było sobie wymarzyć bardziej taktownego gospodarza niż Rafe. Anne doszła do tego wniosku po tym, jak pozwolił jej, by sama rozgościła się w pokoju, który Beth przygotowała z myślą o jej przyszłych odwiedzinach. Pokój nie był wprawdzie tak przytulny, jak by sobie tego życzyła ale siostra z pewnością wiedziała, co robi, bo musiała znać jej gust.

Przeglądając leżące na biurku papiery, których liczba przeraziła, uświadomiła sobie nagle, że pokój jest kolejnym przykładem na to, jak ona sama zmieniła się po tragicznym wypadku.

Doktor Sibley zapewnił ją jednak, że nie ma się czym przejmować. To normalne, że ludzie zmieniają się po tego rodzaju traumatycznych przeżyciach. Pocieszał ją też, że takie zmiany rzadko bywają nieodwracalne.

A skoro tak, to ciągle uczucie dezorientacji, ta niemożność rozpoznania twarzy i nazwisk, powinny wkrótce ustąpić.

- Anne, dobrze się czujesz? - usłyszała głos Rafe'a z korytarza. - Niczego ci nie trzeba?

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku - odparła i nagle do niej dotarło, że Rafe czeka za drzwiami. - Wejdz, wejdz - powiedziała. - Przeglądałam faksy, które przyszły, kiedy byłam w szpitalu.

Widząc ją zgarbioną nad biurkiem, Rafe zmarszczył brwi, ale powstrzymał się od komentarzy.

- Pójdę zaparzyć kawę - oznajmił jedynie. - Napijesz się? Anne chętnie napiłaby się kawy, ale nie chciała, by Rafe znów na nią czekał. Już i tak stracił przez nią cały dzień. Odebrał ją przecież ze szpitala, zawiózł do przychodni rehabilitacyjnej na pierwsze spotkanie z Cindy, a teraz przywiózł do domu.

- Ja zrobię kawę - zaproponowała, ale Rafe powstrzymał ją gestem ręki.

- Już jutro rano będziesz zdana na własne siły - przypomniał jej.
- Lepiej teraz się nie przemęczaj.

Anne nie chciała, by z jej powodu zmieniał rozkład zajęć. Dlatego uparła się, że na rehabilitację pojedzie taksówką, żeby on nie musiał odwoływać porannego spotkania z ciężarną nastolatką. Już wcześniej wiedziała, że Rafe bez reszty poświęcił się zaniedbanej młodzieży, ale dopiero teraz zaczynała rozumieć, że dla siostry mogło to być źródłem frustracji.

Patrzyła jednak na to z boku i nie mogła oprzeć się uczuciu podziwu i szacunku do Rafe a za pasję, z jaką oddawał się pracy.

To zresztą oczywiste, że go rozumiała. Przecież uchodziła za niepoprawną pracoholiczkę. Wystarczy spojrzeć na przygotowane dla niej biuro. Trochę potrwa, zanim będzie mogła wrócić do obowiązków. Na razie nie była w stanie rozeznaczyć w tych wszystkich faksach i nagranych wiadomościach.

- Wolalabym zrobić sobie przerwę na kawę później, kiedy poczuje się zmęczona - powiedziała.

Rafe zatrzymał się w progu.

- Nie forsuj się za bardzo, dobrze? Daj sobie trochę czasu. Nie musisz się z niczym spieszyć.

Dobra rada, ale nie może przecież chociaż nie przejrzeć tego stosu papierów na biurku. Sięgnęła po kolejny faks i wzdrygnęła się na myśl o decyzjach, które będzie musiała podjąć.

- Mam wyrzuty sumienia wobec tych ludzi w Chicago. Wszyscy niecierpliwie czekają na mój powrót.

- Anne! - Rafe przeszedł przez pokój, zgarnął papiery i wrzucił je do szuflady biurka. - Przestań! Oni są szczęśliwi, że żyjesz. Koniec. Kropka. Mogą poczekać na ciebie dwa miesiące.

Powinna poczuć się dotknięta. Nie przywykła przecież do tego, by ktoś nią komenderował. Tymczasem, ku swemu zdumieniu, jedyne, co poczuła, to ulgę i wdzięczność. Rafe, choć apodyktyczny, miał jednak rację. Tak naprawdę, ważne było tylko to, że przeżyła. Cała reszta mogła poczekać.

- Dzięki - mruknęła, a potem w otwartej szufladzie dostrzegła wianek z suszonych kwiatów. Miał zawisnąć na ścianie w pokoju gościnnym. - Och, pustynny wieniec! - zawołała. - Zastanawiałam się, co się z nim stało.

Bezsens tej wypowiedzi wprowadził ją w osłupienie, którego odbicie dostrzegła również na twarzy Rafe'a, zanim padł na nią cień smutku.

- Beth musiała ci opowiadać o tym, jak urządziła dom - zauważył.

Tak, to brzmi logicznie. Przecież przeprowadzka do nowego domu to wielkie i radosne wydarzenie w życiu każdej kobiety. Zwłaszcza takiej domatorki jak Beth.

- Na pewno tak, i to bardzo szczegółowo. Dzięki temu wiem, gdzie czego szukać. Na przykład od razu znalazłam długopisy w szufladzie biurka. - Pewnie też dzięki temu z miejsca poczuła się tu jak u siebie w domu. Gdy Rafe przywiózł jej do szpitala trochę ubrań Beth, bo jej bagaże zaginęły podczas katastrofy, ogarnęło ją błogie poczucie bezpieczeństwa, jakby poczuła obecność siostry. - Myślę, że przegadałyśmy całe wakacje. Czuję, jakby była tu ze mną.

Rafe przyglądał jej się uważnie przez chwilę, a potem rzucił:

- Naprawdę?

- Wiem, że to może się wydawać dziwne, ale...

- Nie - przerwał jej łagodnie - nie w przypadku bliźniaczek. A wy, poza wszystkim, byłyście sobie wyjątkowo bliskie. Dzwoniłyście do siebie przynajmniej raz w tygodniu.

Tak pewnie było. W trakcie tych rozmów siostra musiała opowiadać jej o wszystkim. Anne nie tylko potrafiła bez trudu znaleźć wiele rzeczy, ale i imiona przyjaciół Beth nie budziły w niej takiej paniki, jak nazwiska współpracowników z Chicago.

- Żałuję, że tak mało pamiętam - powiedziała ze smutkiem. - Lekarze twierdzą, że z czasem odzyskam pamięć, ale na razie większość moich wspomnień pochodzi z dzieciństwa.

- Daj sobie trochę czasu - powtórzył Rafe, a potem przysiadł na łóżku i popatrzył na nią z nadzieją. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Zrobił już tyle, że prosić go o coś więcej byłoby nieprzyzwoite. Widok wianka w szufladzie przypomniawszy jej jednak, że nie pożegnała się z siostrą jak należy. Oczywiście pozostaną z nią wspomnienia, które napłynęły ze wzmożoną siłą, ledwie przestąpiła próg domu Beth. Skoro jednak nie mogła być na pogrzebie, powinna to nadrobić.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym odwiedzić grób Beth.

Rafe zawahał się.

- Nie ma sprawy - rzuciła pospiesznie, widząc jego stężoną twarz. Może lepiej go o to nie prosić? Po co mu znowu przypominać, co utracił. - Mogę to zrobić później.

- Nie. - Rafe podniósł się. - To zrozumiałe, że chcesz się z nią pożegnać. - Spojrzał na zegarek - Muszę tylko...

- Rafe! Nie teraz! Miałam na myśli, że pojedziemy na grób, kiedy będziesz wolny.

On już zdążył się otrząsnąć i zapytał:

- Może jutro?

Od katastrofy minęły ponad dwa tygodnie, nie było więc po co się spieszyć. Anne miała jednak nadzieję, że wizyta na grobie siostry pomoże jej pogodzić się z losem i zacząć żyć od nowa, już bez Beth.

- Dobrze. Jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Nie, nie ma problemu - odparł i podszedł do drzwi. W progu odwrócił się. - Nie byłem na cmentarzu od dnia pogrzebu - dorzucił, jakby chciał się wytłumaczyć.

- Nie musisz... - zaczęła, ale on jej przerwał.

- Muszę. Odbiorę cię po sesji rehabilitacyjnej z Cindy i w drodze na cmentarz wstąpimy do kwaciarni.

Zachowywał się bardziej władczo, niż mogła się tego po nim spodziewać. Wydawał jej się znacznie bardziej zdecydowany i zdeterminowany. Mimo to wciąż miała wrażenie, że to tylko pozory.

- Jesteś pewny, że możesz mi towarzyszyć? - zapytała. - Za nic na świecie nie chciałabym przysparzać ci dodatkowych...

- Anne, daj spokój! - przerwał jej. Nawet trzymał się teraz jakoś inaczej. Emanował taką pewnością siebie, że mogło się to wydawać podejrzane. - Dam sobie radę.

- To tylko...

- Powtarzam, dam sobie radę!

- Bo jesteś Pan Twardziel, prawda? - rzuciła, a on spojrzał na nią ze zdumieniem.

- To też ci, oczywiście, powiedziała?

Jak widać tak. I bez tego jednak już na pierwszy rzut oka można było się domyślić, że Rafe Montoya to urodzony wojownik, gotów sam stawić czoło całemu światu. Każda propozycja pomocy jeszcze pogłębia jego determinację.

- Nie lubisz, kiedy ktoś się o ciebie troszczy, prawda? - stwierdziła Anne i, ku swemu zdumieniu, dostrzegła na jego twarzy grymas bólu.

- Nie lubię - mruknął ze wzrokiem wbitym w podłogę. -
Doprowadzałem ją tym do szału.

Pomyślała, że jako szwagierka nie powinna rozmawiać o ich małżeńskich problemach. Tym bardziej że Beth już nie żyje.

- Posłuchaj - powiedziała, zamykając szufladę z wiankiem, który zapoczątkował ten strumień myśli o Beth. - Przykro mi. Co mogę więcej powiedzieć?

Rafe wzruszył ramionami i zmienił temat.

- Gdybyś później nabrała ochoty na kawę, daj mi znać.

- Dziękuję. - Propozycja nadal brzmiała kusząco, ale Rafe stracił już zbyt dużo czasu. - Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

Uśmiech rozjaśnił na moment jego twarz, która nagle wydała się Anne uderzająco przystojna.

- No oczywiście. Praca na pierwszym miejscu.

Ma rację... A tak w ogóle, co się z nią dzieje? To, że mieszka w domu zmarłej siostry i nosi jej ubrania, to jedno. Tragiczny los wymusił na niej to chwilowe rozwiązanie. Rafe to przecież jej szwagier i nie wolno jej nawet myśleć o nim inaczej, bo oznaczałoby to zdradę wobec Beth, która tak bardzo go kochała.

- Opowiedz mi, jak się poznaliście - poprosiła. - Od samego początku. I jak to się stało, że się w sobie zakochaliście.

Rafe wyraźnie zachnął się, wsunął ręce do kieszeni i oparł się o framugę.

- Musiałeś ją przecież kochać - nalegała Anne. - Beth z pewnością opowiadała mi o tym wiele razy, ale nic nie pamiętam, a chciałabym wiedzieć.

- No cóż - zaczął i rysy mu złagodniały - poznaliśmy się tutaj, w Tucson. Ty wyjechałaś, żeby studiować na Harvardzie, a ona została i podjęła studia na Uniwersytecie Stanowym Arizony.

- To było już po śmierci naszego taty, prawda? - Ze złożonych pieczołowicie skrawków wspomnień zdołała wywnioskować, że matka odumarła je w dzieciństwie, a wychowywała je babka wraz z ich ojcem. - Zostałyśmy same, ja i Beth?

- Tak. Pewnego razu Beth wraz z koleżankami pojawiła się w schronisku dla bezdomnych jako wolontariuszka. Ja już kończyłem dyżur, a byłem wtedy na ostatnim roku studiów. Kiedy zobaczyłem ją, jak czyta tym dzieciakom, coś we mnie drgnęło.

- To musiała być miłość od pierwszego wejrzenia - stwierdziła Anne. Chciała coś takiego usłyszeć z ust człowieka, który, podobnie jak ona, kochał jej siostrę. Poza wszystkim jego opowieść już poruszyła coś w jej pamięci. - Tak, Beth mówiła mi, że nie знаła nikogo takiego jak ty.

Rafe uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie poznała nawet połowy prawdy... Nie chciałem jej przestraszyć. Zacząłem pracować po godzinach. W nadziei, że znów ją zobaczę. A ona przychodziła z lalkami dla tych dzieci. Pamiętasz te lalki, prawda?

To, na szczęście, pamiętała bardzo wyraźnie.

- „Nikt nie robi lalek, które wyglądają, jakby miały zespół Downa” - zacytowała słowa Beth, która przez kilka lat, w ramach wolontariatu, opiekowała się takimi dziećmi. - A przecież każde dziecko powinno mieć lalkę podobną do siebie.

- Przepraszam. Oczywiście, że musisz to pamiętać. Bez twojej pomocy Beth nie przekształciłaby swojego hobby w zyskowną firmę. A wracając do rzeczy, tak właśnie się poznaliśmy.

- I zakochaliście się w sobie.

- Tak... zakochaliśmy się w sobie... - Rafe zawahał się, grymas bólu wykrzywił mu twarz. Wystarczył jednak moment, by znów odzyskał panowanie nad sobą. I tylko głos drżał mu jeszcze lekko, gdy dorzucił: - Dzięki, że zapytałaś. Dobrze było znów to wszystko sobie przypomnieć.

RS

Rozdział 3

Tak, to prawda, kochał Beth. Dobrze było to wszystko sobie przypomnieć. Tym bardziej że powinien zmobilizować wszystkie siły przed wyprawą na cmentarz.

- Nie musisz tam ze mną jechać - powiedziała mu Anne tego ranka, odgadując jego stan ducha. - Mogę przecież zamówić taksówkę z centrum rehabilitacji.

Pewnie, ale Beth byłaby niezadowolona, że tak źle opiekuje się jej siostrą. Tak bardzo zawiódł żonę. Jak mógł dopuścić do tego, by myślała, że dzieciaki z ulicy są dla niego ważniejsze niż ona? Jak mógł pozwolić, by wyjechała, zanim zdążyli sobie wszystko wyjaśnić?

- Nie, zawiozę cię - zdecydował wtedy, a teraz dojeżdżali już do bram miejskiego cmentarza.

Na tylnym siedzeniu, obok bukietu herbacianych róż, leżał wianek polnych kwiatów.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała Anne. - Przeze mnie masz spore zaległości w pracy.

To prawda, ale wizyta na cmentarzu była ważniejsza, bo Anne bardzo jej potrzebowała.

- Nie ma sprawy - odparł, gdy wjeżdżali na parking. - Od pogrzebu minęło już dwanaście dni i dawno powinienem tu zajrzeć.

Nie spodziewał się, że Anne położy mu rękę na ramieniu i powie ze zrozumieniem:

- Nie. Gdyby miało to być dla ciebie zbyt ciężkie przeżycie, Beth na pewno by tego nie chciała.

Tak, to prawda. Beth by tego nie chciała. Jeśli wizyta na cmentarzu rozjątży jego wciąż niezabliźnione jeszcze rany, będzie to sprawiedliwa kara za to, że z jego winy rozstali się w gniewie.

Nie załamie się jednak, bo nie może sobie na to pozwolić. Jest przecież Anne, którą należy się opiekować.

Mimo to spacer wzdłuż niekończącej się alejki, prowadzącej do grobu Beth, kosztował go więcej, niż mógłby przypuszczać. Anne musiała zdawać sobie z tego sprawę, bo nawet nie próbowała nawiązać rozmowy.

Gdy wreszcie dotarli na miejsce, w milczeniu położył na kamiennej płycie bukiet herbacianych róż, po czym stanął z tyłu, by Anne mogła w spokoju pomodlić się przy grobie siostry. Po kilku minutach odwróciła ku niemu mokrą od łez twarz.

- Rafe - powiedziała cicho - ty też masz prawo rozpaczać.

- Wiem. Wszystko w porządku.

- Chciałam tylko... - Urwała i po chwili podjęła łamiącym się głosem, ze wzrokiem utkwionym w świeże kwiaty, jakby się bała, że kontakt wzrokowy mógłby zostać przez niego odczytany jako zbyt intymny: - Wiem, że czujesz się w obowiązku mi pomagać, ale jeśli chciałbyś się wypłakać... ja też mogłabym ci pomóc.

- Nie, nie trzeba - odrzekł. Tak czy inaczej, to miło z jej strony. -
Dziękuję.

Musiała zrozumieć, że jej pomoc nie jest mu potrzebna, bo bez słowa odwróciła się i położyła wianek obok wiązanki. A potem stała w milczeniu, pewnie żegnając się na swój sposób z siostrą.

Rafe miał nadzieję, że potrwa to jeszcze kilka minut, bo potrzebował czasu, żeby wziąć się w garść. Musiał znów odnaleźć w sobie tę siłę, w której przez całe lata znajdował oparcie, a która nakazywała mu otoczyć opieką każdego, kto tego wymagał.

Na szczęście, on, Rafe Montoya, nie zalicza się do tej kategorii. Bez względu na to, co myśli o nim jego szwagierka. Poza tym Anne będzie tu krótko, więc nie warto tracić czasu na tłumaczenie jej, że nie potrzebuje niczyjego wsparcia. Nigdy nie potrzebował. Poradzi sobie sam.

Niespodziewanie pomocne okazało się wspomnienie dnia pogrzebu. Odkrył to, gdy próbował sobie przypomnieć ludzi zgromadzonych przy trumnie. Byli tam przyjaciele Beth, współpracownicy z jego ośrodka (przez niedopatrzenie zapomniał powiedzieć, że nie chce na ten dzień zamykać biura), grupka byłych podopiecznych, dawni sąsiedzi: Hartowie, Roger z Lindą, Marcia z Jimem...

- Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś - odezwała się Anne, a on ze zdumieniem uświadomił sobie, że stracił poczucie rzeczywistości. Na twarzy Annie nie było już śladu łez. Wyglądała na znacznie bardziej spokojną. Jakby kładąc wianek na grobie, po części uwolniła się od smutnego brzemienia.

- Musiałam pożegnać się z Beth.

- Cieszę się, że to ci pomogło - rzekł, gdy wracali do samochodu. A także do rzeczywistości, z niekończącą się listą zadań do wykonania. To z miejsca przypomniało mu chłopaka, który pojawił się tego ranka, zdenerwowany, bo jego dziewczyna zabrała dziecko i wyjechała do Meksyku. - Posłuchaj, Anne, czy gdybym dziś został na noc w ośrodku, dasz sobie radę?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Oczywiście.

- Na pewno? - zapytał. Dobrze pamiętał, że Beth nienawidziła jego późnych powrotów. - Nie chciałbym zostawiać cię samej. Jeżeli potrzebujesz...

- Ramienia, żeby się wypłakać?

O tym akurat nie pomyślał, ale oczywiście zostanie, gdyby sobie tego życzyła.

- Na przykład - powiedział, sięgając po kluczyki do samochodu.

- Jestem do twojej dyspozycji.

Anne odczekała, aż otworzy drzwiczki, a potem spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie dopuszczasz myśli, że ty mógłbyś czasami przyjąć coś od kogoś, prawda?

Co? Tylko dlatego, że nie życzył sobie jej pomocy?

- Posłuchaj - zaczął i wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

- To ja mam opiekować się ludźmi, a nie oni mną. Ja nie potrzebuję niczyjej opieki.

Wsiadła do samochodu samodzielnie. Z dnia na dzień poruszanie się przychodziło jej łatwiej. Rafe z uznaniem pomyślał o rehabilitantce.

- Zawsze taki byłeś? - zapytała.

- Od dziecka - odparł, a w duchu dodał, że od dnia, w którym jego matka uciekła od obowiązków macierzyńskich i go porzuciła. Od dnia, w którym dowiedział się, że była to jego wina.

Anne sięgnęła po pas, krzywiąc się lekko z bólu, kiedy musiała wyprostować rękę, żeby go zapiąć, a potem popatrzyła na Rafe a.

- Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

Może sądziła, że w ten sposób pomoże mu pozbyć się zadawnionych kompleksów, czy coś w tym rodzaju? Rafe wątpił jednak, by słuchanie o jego dzieciństwie, spędzonym w slumsach Los Angeles, sprawiło jej przyjemność.

- To już opowieść na inną okazję - powiedział, zatraskując drzwiczki z jej strony.

Ledwie zasiadł za kierownicą, Anne odwróciła się, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć.

- Dobrze - powiedziała tonem, jaki często słyszał u Beth, kiedy się na coś uwzięła. - Możesz być pewny, że cię jeszcze kiedyś o to zapytam.

To „jeszcze kiedyś” nastąpiło po kilku dniach, bo Anne nie zamierzała ustąpić. Z każdym dniem utwierdzała się w przekonaniu, że jej szwagier dźwiga brzemień bólu zbyt ciężkie jak na siły jednego człowieka.

Gdy Rafe odebrał ją z kliniki po ostatniej w tym tygodniu rehabilitacji i zaczął przeproszać, że, niestety, będzie musiał zaraz wracać do ośrodka, powiedziała mu, żeby darował sobie jazdę do domu.

- Pojadę z tobą - powiedziała, a gdy zawrócił, ucieszyła się w duchu.

Może wizyta w ośrodku podsunie jej, jak mogłaby pomóc Rafeo'wi?

Była pewna, że coś leży mu na sercu i że jeśli uda jej się skłonić go do mówienia, to może uda jej się również spełnić życzenie Beth i otoczyć go opieką - oczywiście dyskretną, tak by sobie z tego nie zdawał sprawy.

Beth cierpiałaby, gdyby bliskie jej osoby pozostały same ze swoimi problemami. Rafe bardzo potrzebował kogoś, z kim mógłby choćby porozmawiać.

Po przyjeździe do ośrodka okazało się jednak, że Rafe nie ma czasu na pogawędki. Na miejscu czekał Oscar, groźnie wyglądający nastolatek, który miał mu pomóc wstawić nową szybę.

- Jedna kula - powiedział, wskazując palcem wgłębienie na ścianie za biurkiem Rafe'a. - Ktoś miał dobre oko, i tyle.

Anne z trudem stłumiła okrzyk przerażenia.

- Ktoś do ciebie strzelał?

-Nie, ośrodek był zamknięty - powiedział Rafe, podwijając rękawy, podczas gdy Oscar wyjmował z okiennej ramy kawałki tektury. - To stało się tej nocy, ale nie miałem do tej pory czasu, żeby się tym zająć.

Mówił to tonem tak obojętnym, jakby szyba została wybita piłką. Reakcja Anne dała mu jednak do myślenia, bo odwrócił się do niej i zaproponował:

- Wiesz co, odwiozę cię jednak do domu i później tu wrócę. Po co masz tu czekać?

- Nie, nie trzeba. - Poczekaj, a w tym czasie poczytaj leżące na obdrapanym stoliku ulotki. Może potem łatwiej jej będzie odgadnąć, co dręczy tego człowieka. - Wszystko w porządku. Nie przeszkadzajcie sobie.

- To nie potrwa długo - obiecał jej Rafe, po czym wraz z Oscarem zabrał się do wstawiania szyby.

Anne wróciła do poczekalni, rozsiadła się na plastikowej kanapie i zagłębiła w lekturę. Czytając o historii ośrodka, założonego przez Rafe'a, była też mimowolnym świadkiem rozmowy.

Musiała przyznać, że Rafe coraz bardziej jej imponował. Jak on to robi? Jak to możliwe, że wykształcony prawnik potrafi dogadać się z chłopakiem z marginesu, odpowiadającym jedynie monosylabami?

Dlaczego Rafe poświęca się dla innych, a sobie nie pozwoli pomóc? I czemu ona tak się tym przejmuje?

Przejmowała się, choć z natury była pozbawiona instynktów opiekuńczych. To była rola Beth, ona sama natomiast skupiła się na robieniu kariery. Może jednak śmierć siostry zmieniła jej hierarchię wartości, gdyż problemy, z jakimi borykał się szwagier, wydały jej się nagle ważniejsze niż sprawy firmy.

Gdyby tylko udało jej się nakłonić go do szczerzej rozmowy...

- Dziękuję - usłyszała głos Rafe'a.

Z pokoju wyłonił się Oscar, minął Anne, nie zaszczyciwszy jej jednym spojrzeniem, i wyszedł na ulicę. Pewnie skończyli pracę, a ona będzie mogła znów spróbować pocieszyć mężczyznę, którego tak bardzo kochała jej siostra.

- Nie wiedziałam, że prawnicy potrafią wstawiać szyby - powiedziała, kiedy Rafe wszedł do poczekalni, zapinając mankiety koszuli.

- To zależy, gdzie studiowali - odparł, a potem, ścierając z twarzy smugę kurzu, błysnął zębami w uśmiechu. Uczynił to bez ostrzeżenia, przez co wrażenie, jakie zrobił na Anne, było jeszcze silniejsze. - Jak na tę część miasta, mamy dobry adres. Mimo to przydałyby się kuloodporne szyby.

Anne zacisnęła wargi. To chyba nienormalne, żeby tak zareagować na jeden uśmiech. To nawet nie wypada. Wprawdzie Rafe jest wyjątkowo przystojny, ale to przecież mąż jej siostry!

- Czy praca w takim miejscu nie jest niebezpieczna? - zapytała. Bardzo chciała, by jej głos zabrzmiał rzeczowo i naturalnie. Miała nadzieję, że nie zauważył jej mimowolnego rumieńca.

- W zasadzie nie - odparł. Poszedł do drzwi i zdjął z nich tabliczkę. - Choć sam nie miałem żadnych kłopotów, nie pozwalam nikomu pracować w pojedynkę.

Co się ze mną dzieje? - pomyślała, spłoszona. Chciała mu pomóc, tymczasem, jak na złość, wszystkie starannie przygotowane frazy wyleciały jej z głowy. Tylko serce wciąż biło podejrzenie szybko...

- Czy... czy twoi podopieczni noszą broń? - zapytała, byle coś powiedzieć.

Rafe podniósł do góry tabliczkę „Zero narkotyków, żadnej broni”, którą zdjął przed chwilą z drzwi, po czym położył ją na stoliku.

- Nie w ośrodku - odrzekł i zerknął w stronę swojego biura. - Muszę jeszcze coś zabrać i możemy jechać.

- Nie spiesz się - rzuciła za nim, a kiedy zniknął w swoim pokoju, wzięła kilka głębszych oddechów, żeby się opanować. Gdy wrócił z plikiem papierów w ręku, mogła już zadać rzeczowe pytanie:

- Czy tak wygląda wasz typowy dzień pracy?

- Nie codziennie trzeba wstawiać szyby - odpowiedział, po czym z przepaszającym uśmiechem odwrócił się w stronę przedpotopowego telefonu z automatyczną sekretarką, stojącego na biurku. - Przepraszam, że tak to długo trwało.

- Nie ma za co. To nawet ciekawe, móc cię oglądać w akcji. - Nie to chciała powiedzieć! Choć, oczywiście, ciekawe było przysłuchiwać się jego rozmowie z Oscarem. - Czy Oscar odbywa u was praktykę? - zapytała, żeby zmienić temat.

Rafe podniósł telefon i potrząsał nim dopóty, dopóki nie zapaliło się czerwone światełko.

- Nie, po prostu wolę mieć go na oku.

- Jak to?

- Trochę przypomina mnie, jak byłem w tym wieku. -Spojrzał na nią wyzywająco, po czym odstawił telefon na biurko. - Chciałbym go stąd wyciągnąć.

Wrażenie, że Oscar to niebezpieczny typ, było słuszne. W leżącej na stoliku broszurce przeczytała, że Rafe należał w młodości do jednego z gangów w Los Angeles. Skazany jako nieletni, poddał się resocjalizacji, ukończył studia prawnicze i poświęcił się młodzieży takiej jak ta, z której sam się wywodził.

- Przeczytałam, co piszą o tobie w broszurze - powiedziała.

Rafe zachnął się.

- To był pomysł Petera - wyjaśnił, wyłączając światło w korytarzu. - Faceta, który zajmuje się kasą. Peter uważa, że ludzie chętniej dają pieniądze, kiedy widzą konkretnego grzesznika, który się nawrócił.

Jego twarz tonęła w cieniu. Anne wydało się, że głos mu lekko zadrżał.

- Jak czujesz się w roli nawróconego grzesznika? - zapytała.

Zawahał się, a potem z przekonaniem odpowiedział:

- To pomaga naszej sprawie.

A sprawa ta, jak podejrzewała, warta była największych poświęceń. Jeśli nawet wstydził się swojej przeszłości - a na to wyglądało - gotów był się do niej przyznać, skoro mógł w ten sposób pomóc podopiecznym.

- To dla ciebie bardzo ważne, prawda? - powiedziała łagodnym tonem.

- Owszem. - Rafe podszedł do biurka, wyjął z szuflady gruby notes i sięgnął po pióro. - Chcę pomóc tym dzieciakom. Przynajmniej niektórym.

- A tobie kto pomógł?

- Wielu ludzi - odparł. Nie odrywał wzroku od kartki. - Nadal spłacam dług wdzięczności.

Ach tak. To by tłumaczyło oddanie, z jakim angażował się w pracę. Stąd brały się narzekania Beth, że kruczając na rzecz dzieci ulicy przedkładał nad własne małżeństwo. Każdy dług jednak spłaca się w określonym czasie, a ona nie mogła sobie przypomnieć, by Beth mówiła, ile to jeszcze ma trwać.

- Jak długo jeszcze zamierzasz go spłacać?

Odfajkował ostatnie nazwisko na kartce i dopiero wtedy podniósł na nią wzrok

- Beth też ciągle mnie o to pytała.

Czy można się jej dziwić? Musiała dojść do wniosku, że Rafe robił znacznie więcej dla świata, niż świat kiedykolwiek zrobił dla niego.

- Co jej na to odpowiadałeś?

Rafe zamknął notes i schował go z powrotem do szuflady.

- Tak długo, jak długo będzie trzeba - odparł i sięgnął po klucze.
- Te dzieciaki... ktoś musi się nimi zająć.

Wyglądało na to, że jest gotów zamknąć biuro, ale Anne nie chciała jeszcze wychodzić. Nie teraz, gdy po raz pierwszy odrobinę się przed nią odsłonił.

- Kto się tobą zajmował? - zapytała, a kiedy nie odpowiedział, dorzuciła: - Twoi rodzice?

- Mama mnie zostawiła, kiedy miałem trzy lata. - Rozejrzał się po pokoju, by się upewnić, że wszystko zostało pozamykane jak należy. - Wtedy tata zawiózł mnie do sąsiadki, która podrzuciła mnie

ciotce Nicie, a ona obarczyła mną dziadka, który z kolei pozbył się mnie i... - Urwał, jakby dopiero teraz dotarł do niego sens tej opowieści. - To długa historia. No to jak? Jesteś gotowa? Możemy już jechać?

Nie, chociaż wszystko już pochował i pozamykał. Nie można przecież tak tego zostawić. Rafe musi dokończyć opowieść. Może ona pozwoli zrozumieć, czemu niczego od nikogo nie potrzebuje.

- Ile osób cię zostawiło? - zapytała wprost.

- Mam je teraz policzyć? - rzucił, raczej rozbawiony niż urażony.

- To było tak dawno temu.

No dobrze. Nie będzie już więcej nalegać, w każdym razie nie teraz. Choć chętnie by się dowiedziała, co ukrywał za tą nonszalancką pozą. Sięgnęła po torebkę i skrzywiła się z bólu. Cindy ostrzegła ją, by nie siedziała bez ruchu dłużej niż dziesięć minut, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, jakie to ważne, by często zmieniać pozycję. Nagle stwierdziła, że nie potrafi wstać bez pomocy.

Oczywiście Rafe z radością jej pomoże. Robi to przecież nieustannie. Czemu nagle poczuła, że ją to krępuje? Nie, lepiej się nad tym nie zastanawiać. Powinna chyba skupić się na czym innym. Na przykład na...

Na jego pracy.

- Rafe - rzuciła pospiesznie, widząc, że się do niej zbliża - powinnam ci to wcześniej powiedzieć, ale naprawdę jestem pełna podziwu dla tego, co tu robisz.

- Dziękuję. - Nachylił się, by podsunąć jej ramię, gdy wstawiała z kanapy.

- Chciałam powiedzieć, że dzięki takim ludziom jak ty świat zmienia się na lepsze - dodała.

Dlaczego jej pochwała zrobiła na nim takie wrażenie? Nie potrafiła tego odgadnąć, dostrzegła jednak w jego oczach błysk niekłamaney radości.

- Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy - powiedział, trzymając ją za ręce dopóty, dopóki nie poczuła bijącego od niego ciepła. Potem nagle ją puścił i dorzucił: - Dziękuję.

Nie powinno to mieć aż takiego znaczenia, że ktoś docenił moje starania, myślał Rafe, gdy wręczał wypełniony formularz urzędnikowi w sądzie. Anne starała się po prostu być uprzejma, jak ci wszyscy darczyńcy pełni dobrych intencji, którzy tyle mówią o konieczności pomocy młodzieży zagrożonej deprawacją.

A przecież słowa uznania z ust kobiety tak podobnej do tej, która nie znosiła i nie rozumiała jego pracy, wywoływały uśmiech na jego twarzy, ilekroć je sobie przypominał.

Na przykład teraz, gdy czekając na papiery Diega, powtarzał sobie w myślach poranną rozmowę z fizjoterapeutką Anne.

- Ona jest niesamowita - powiedziała Cindy. - Oczywiście miała sporo szczęścia, ale jest niesłychanie pracowita i wytrwała. Idzie jej tak dobrze, że już niedługo będzie mogła sięść za kierownicą.

To dobra wiadomość, bo w swoich planach uwzględniał rozkład zajęć Anne, choć protestowała i mówiła, że weźmie taksówkę.

Będzie mu jednak brakowało rozmów, które prowadzili co dzień rano, w drodze na rehabilitację, i wieczorem, podczas powrotu do domu...

- Proszę, oto zamówione akta - urzędnik wyrywał go z zamyślenia.

- Dzięki - mruknął Rafe.

Wyszedł na ulicę i wyjął komórkę, żeby sprawdzić, czy nie ma wiadomości od Anne. Może trzeba ją odwiedzić do domu? Obiecała mu, że zadzwoni, kiedy będzie gotowa, ale w budynku sądu obowiązywał zakaz używania telefonów komórkowych.

Komórka zadzwoniła, ledwie ją włączył. W pierwszym odruchu ucieszył się, dopiero potem przyszło mu do głowy, że ta przedwczesna radość jest kompletnie bez sensu. Przecież to wcale nie musi być Anne.

A jeśli nawet to ona, co z tego? Przecież to jego szwagierka!

Okazało się jednak, że telefonuje nowa stażystka z ośrodka, Heidi, pełniąca tego dnia dyżur w recepcji.

- Pomyślałam sobie, że trzeba cię zawiadomić - powiedziała. - Telefonowali w sprawie katastrofy kolejowej. Chcą zwrócić bagaże Beth. Poprosiłam, żeby je tutaj przywieźli.

W samą porę. Powinien częściej wspominać Beth, by jego myśli nie zaczęły krążyć wokół spraw, których naprawdę nie powinien rozważać.

- Jeżeli chcesz - ciągnęła Heidi - każę wstawić te walizki do schowka. Odbierzesz je, kiedy do tego dojrzejesz. Sama pamiętam, jak po śmierci mojego taty mama długo nie była w stanie zrobić porządku z jego rzeczami.

Z tym akurat nie będzie problemów. Żył przecież wśród rzeczy należących do Beth. Codziennie widywał stroje żony, które nosiła jego szwagierka.

- Nie trzeba - odparł. - Wpadnę po nie w drodze do domu. Nie powiedzieli ci, czy znaleźli również bagaże Anne?

- Nie, mowa była tylko o rzeczach Beth. Obawiam się, że oni nie są zbyt dobrze zorganizowani.

Anne będzie zmartwiona, że nie przywieźli jeszcze jej walizek. Pewnie to kwestia kilku dni, ale na razie lepiej nic jej nie mówić.

Sam przejrzy bagaże Beth.

Kiedy w nocy zaczął wyjmować ubrania Beth z uszkodzonej walizki, uderzył go ich zapach, tak bardzo przypominający zapach Anne. Może bliźnięta pachną podobnie? A może powód jest taki, że Anne, odkąd przywiózł ją ze szpitala, nosi ubrania Beth i przesiąkła jej zapachem?

Nie, nie powinien nawet dopuszczać takich myśli. Nie powinien porównywać Anne do Beth. I to jeszcze w taki sposób!

Gdy sięgnął po kolejną bluzeczkę, znów poczuł delikatny zapach Anne i zaniknął oczy. Kochał Beth, nie jej siostrę, takie zachowania były więc absolutnie nie na miejscu. Gdyby przypadkiem pomylił Anne z Beth, co się ludziom czasami zdarzało, to co innego. Przecież doskonale wiedział, kto mieszka w pokoju gościnnym na końcu korytarza. Dlatego, zamiast myśleć o tej osobie, powinien skupić się na żonie, na Beth.

Przyszło mu to nawet dość łatwo, gdyż w kosmetyczce natknął się na srebrne kolczyki Beth; wraz z nimi napłynęło wspomnienie

pierwszych wspólnie spędzonych świąt Bożego Narodzenia. Beth była tak zachwycona kolczykami, że od razu je założyła i zażądała, żeby jej zrobił zdjęcie nowym aparatem fotograficznym.

Ten sam aparat fotograficzny zabrali z sobą później tamtego dnia, gdy korzystając z zimowego słońca, wybrali się na piknik do Sabino Canyon. Znaleźli tam zaciszną polankę i spędzili na niej upojne, pamiętne popołudnie.

Pamiętne nawet bez ataku moskitów, który ich romantyczną wyprawę wzbogacił o elementy dramatyczne, kiedy stoczyli się z koca w gęste chaszczce. Zostały im po tym ślady, które odkryli grubo później. Rafe zużył resztki wody do picia, żeby przemyć Beth ranę na udzie, po której została jej blada blizna. Ta „piknikowa pamiątka”, jak ją nazwał, stała się potem jego ulubionym miejscem do całowania. Beth śmiała się przy tym zawsze, zaczynała go łaskotać, wtedy on chwycił ją za rękę i...

Jak bardzo mu jej brakowało!

Kochał Beth, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Przeżyli z sobą tyle pięknych momentów. Przez prawie trzy lata była mu bliższa niż ktokolwiek na tym świecie. Chciał z nią zbudować świetlaną przyszłość, przekraczającą jego najśmielsze marzenia. To prawda, że może nie wszystko w ich małżeństwie układało się idealnie, zważywszy na jego nielimitowany czas pracy, ale był to najlepszy związek w jego życiu.

Z westchnieniem odłożył kolczyki na blat toaletki, postawił obok nich kosmetyczkę, a potem zaczął przeszukiwać boczną kieszeń walizki, w której zostało kilka drobiazgów. Pocztówka z hotelu.

Długopis. Zmięta ulotka z wagonu restauracyjnego, w którym, jak się domyślał, jadły z Anne pożegnalne śniadanie.

Na odwrocie ulotki dostrzegł pismo Beth.

Pomyślał, że byłoby to bardzo wzruszające, gdyby się okazało, że zaczęła pisać do niego list, którego nie zdążyła nadać. Jakby przysłała mu prezent, którego nie miał prawa się spodziewać.

Wygladził kartkę i spojrzał na krzywo zapisany nagłówek:

„Małżeństwo / rozwód. Za i przeciw”. Co takiego?!

Zaczął czytać raz jeszcze, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest w porządku. Beth próbowała pewnie pomóc jakiejś koleżance, której nie układało się w małżeństwie. A może to notatki zrobione podczas oglądania programu w telewizji? Przebiegł wzrokiem po tych wszystkich za i przeciw i nagle poczuł się zdruzgotany. Oto miał przed sobą życie Beth i wszystko wskazywało na to, że nie było w nim dla niego miejsca, bo...

„Samotność”!

To słowo, widniejące na pierwszym miejscu w obu rubrykach, brzmiało jak wyrok. To prawda, że byłaby samotna, gdyby się rozwiedli, ale wyglądało na to, że w małżeństwie także jej to dokuczało.

Zmiął kartkę w palcach, a potem znów ją rozprostował. Zrobił Beth większą krzywdę, niż przypuszczał, odkładając w nieskończoność decyzję o dziecku. Zawiódł ją. Miał to teraz czarno na białym. Jedyne, co mógł jeszcze dla niej zrobić, to przeczytać wszystko do końca. Zacisnął zęby i czytał dalej:

„Nie chce dziecka.

Nie ma go w domu.

Nie chce rozmawiać.

Nie kocha mnie".

Czy Beth naprawdę tak myślała? Najwyraźniej tak, skoro przeciwwagą dla „konieczności dotrzymania przysięgi małżeńskiej”, i „szkoda sprzedawać dom”, były jasno sformułowane zarzuty.

Oto co, jej zdaniem, przemawiało za rozwodem: „Brak dziecka. Brak kontaktu. Brak czasu”.

„Brak czasu”? Jak to? Przecież tak bardzo się pilnował! Poświęcał jej tyle czasu, ile mógł. Nigdy nie zostawiał jej samej bez ważnej przyczyny. Starał się też codziennie zjeść z nią kolację i próbował zabawiać ją miłą rozmową. Oszczędzał jej ponurych szczegółów ze swojej niełatwej pracy. Gotów był także przysiąc, że ich noce sprawiały obojgu jednakową przyjemność.

Jak mogła narzekać na brak kontaktu? Na brak bliskości? Był jej przecież oddany całym sercem i duszą, a mimo to... Mimo to uważała, że to za mało.

Wrzucił zmiętą kartkę do walizki i zatrzasnął wieko. A potem zrzucił walizkę na podłogę i, klnąc jak szewc, zaczął kopać ją z furją. Nie udało mu się jednak wepchnąć walizki pod łóżko. Nic, nic mu się nie udaje! I nigdy mu się nie udawało! Znów szarpnął walizkę, czując palący ból w piersi, i nagle zobaczył stojącą w drzwiach Anne.

- Rafe? - zapytała, marszcząc z niepokojem brwi. - Dobrze się czujesz?

Co za głupie pytanie! Uświadomiła to sobie, ledwie je zadała. Ktoś, kto tak przeklina, na pewno nie czuje się dobrze. Poza tym Rafe wyglądał okropnie. Był potargany, spocony i rozgorączkowany.

- Nie trzeba - rzucił ostrzegawczym tonem, wyciągając rękę. - Ja tylko...

Jeżeli sądził, że go zostawi w tym stanie, widocznie jej nie znał. Podeszła bliżej, bo nie bała się jego furii. Żałowała, że nie przyszła od razu, kiedy usłyszała hałasy.

- Co się stało? - zapytała.

Na szczęście nawet nie próbował udawać, że wszystko jest w porządku. Odstawił walizkę, którą tak wściekle kopał przed chwilą, i przybrał pozę człowieka, który poniósł totalną klęskę.

- Ona zamierzała mnie zostawić! - wybuchnął. Uniósł sfatygowane wieko i wyjął z walizki pomietą kartkę. - Beth. Nie chciała już być moją żoną.

- Och, nie! - wykrzyknęła Anne. W jej głosie rozpacz mieszała się z niedowierzaniem. To niemożliwe, by Beth chciała odejść od męża. Przecież to widać, jak bardzo ją kochał. Poza tym, żadna kobieta nie mogłaby porzucić kogoś takiego jak Rafe Montoya.

- Myślałem... - zaczął i głos mu się załamał. - To prawda, że mieliśmy pewne problemy, ale nigdy nie sądziłem... - Machnął kartką, trzymaną w zaciśniętych, zbielejących palcach. - Wszystko jest tu napisane.

List zamiast pożegnania?

- To niepodobne do Beth - zaprotestowała Anne, gdy schował list do walizki. - Nie wierzę, żeby mogła odejść, zostawiając ci tylko kartkę.

- To akurat prawda - przyznał z goryczą. - Powiedziałyby mi to osobiście. Nie mogłaby tak po prostu zniknąć. -Potem, jakby wróciły do niego przykre wspomnienia, ukrył twarz w dłoniach i wyszeptał: - O Boże!

Widać było, że cierpi. Jak mu pomóc? Jak go pocieszyć?

- Och, Rafe... - zdołała tylko wykrztusić.

- Ja nigdy... - Zaczerpnął tchu, a potem popatrzył na Anne z rozpaczą. - Ona nawet nie wiedziała, jak bardzo ją kocham.

To także wydało się Anne niemożliwe.

- Beth na pewno czuła, że ją kochasz.

- Ale uważała, że za mało - powiedział głucho. - Poza tym nie umiałem jej tego okazać. Zawsze byłem do niczego! - zawołał, załamując ręce.

To oczywiście nonsens. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo kochał żonę. Anne pomyślała, że nie można do tego dopuścić, by zaczął siebie obwiniać. Tym bardziej że nie miał racji.

- W wielu rzeczach jesteś naprawdę świetny!

- Ale nie w tym - powiedział z takim przekonaniem, że aż się wzdrygnęła. Chciała zaprotestować, ale uprzedził ją:

- Nie w miłości. Chciała więcej, niż mogłem jej dać, a ja tego nie wiedziałem.

-Rafe...

- Nie umiem tego robić! - wykrzyknął z rozpaczą. - Nie umiem kochać, nie ma we mnie dość serca, miłości, dość...

- Urwał, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że się aż tak odsłonił. - Wybacz mi, Anne, że cię tym wszystkim obarczam. Nie pozwól mi na to.

Nie chciała, by znów ukrył się pod maską.

- Rafe, ja cię proszę, żebyś to zrobił - powiedziała łagodnie, podchodząc bliżej.

- Ja tylko... - Rafe zaczerpnął tchu, zawahał się, znów wziął głęboki oddech, a potem wyciągnął do niej rękę.

- Wyrzuć z siebie ten ból - poradziła, a on z jękiem przygarnął ją do siebie.

Objęła go mocno i czekała, żeby wreszcie dał upust łzom.

- Nie potrafię - wykrztusił.

- Dobrze już, dobrze. - Ten silny mężczyzna musiałby być krańcowo zdesperowany, żeby się rozpłakać. Musiałby też poczuć się całkowicie bezpieczny. Gdyby tylko mogła mu dać to poczucie bezpieczeństwa. - To normalne, że cierpisz. I normalne, że chce ci się płakać.

Rafe wtulił twarz w jej ramię, ale wciąż był spięty. -Nie...

- To w porządku - powtórzyła Anne, czując, jak ogarnia ją wzruszenie. - Och, Rafe...

Nagle jakby się poddał. Raz i drugi zaczerpnął tchu, potem wstrzymał na moment oddech - i wybuchnął płaczem. Dławił się, zanosił szlochem, a Anne tuliła go mocno, głaskała po głowie i

szeptala słowa pocieszenia, słowa otuchy, ciepłe i czułe, słowa nadziei.

- Już dobrze, Rafe, już dobrze.

- Nie potrafię - powtórzył i objął ją jeszcze mocniej, jakby chciał się na niej oprzeć.

Pomyślała, że będzie dla niego tym oparciem. Da z siebie wszystko.

Rafe musiał to wyczuć, bo nagle przestał walczyć z sobą.

On, człowiek silny, nigdy by nie przypuszczał, że pozwoli sobie na okazanie słabości, nieporadności i bezbronności. Tulił się do Anne, jakby była jego ostatnią deską ratunku, a ona głaskała go po plecach, po ramionach... Jej uścisk obiecywał ciepło, bezpieczeństwo, opiekę i wszelką pomoc, jakiej będzie potrzebował, by przejść przez ból i poczucie straty.

Uważała, że Rafe nie zasłużył na takie cierpienia. Nikt nie powinien się tak męczyć. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to objąć go, przytulić i okazać serce. Szeptać słowa otuchy i pocieszenia, pozwolić mu się wypłakać w swoich ramionach. Wszystko, czego mu teraz potrzeba, to żeby ktoś był przy nim.

Będzie przy nim dopóty, dopóki okaże się to potrzebne. Póki nie ustanie szloch wstrząsający całym jego ciałem.

Powoli Rafe zaczynał się uspokajać; płacz stawał się coraz cichszy.

- Już dobrze - powtarzała szeptem, głaszcząc go po plecach, po rękach, po głowie. Gdy wreszcie odsłonił twarz, zobaczyła, że mu się

udało, że przewyciężył sam siebie. Uradowana, podniosła bezwiednie rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

Rafe przygarnął ją mocniej do piersi. Anne poczuła, że zalewa ją fala ciepła, ogarniająca ich oboje.

Odskokczyli od siebie jak oparzeni. Co to miało oznaczać?

- Och, nie - wyszeptał Rafe z przerażeniem. - Anne... Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Wszystko w porządku - zapewniła go pospiesznie, chociaż czuła, że to nieprawda.

- Nie zamierzałem... - zaczął, ale mu przerwała.

- Wiem. - Żadne z nich nie mogło się przecież spodziewać, że sprawy przybiorą taki obrót. Tuląc Rafe'a i głaszcząc, chciała go pocieszyć, natchnąć otuchą, a nie podniecić! - Ja też nie miałam zamiaru.

- Ja tylko... - próbował się tłumaczyć urywanym głosem - ja byłem tylko...

- Przygnębiony, to wszystko. - W tym stanie ducha ludzie robią różne dziwne rzeczy, prawda? Powinni potraktować to jak wypadek. Bo to był wypadek, choć nadal... - Oboje byliśmy przygnębieni - powtórzyła. - To przez tę rozmowę o Beth. Posłuchaj, ja nie chciałam...

- Wiem. Wszystko w porządku.

Jak to w porządku? Przecież to jej szwagier. To prawda, że chciała go pocieszyć, utulić, a mimo to w którymś momencie się zapomniała. Podobnie jak Rafe.

Nagle ze zgrozą uświadomiła sobie, że odtąd nie będą już mogli udawać, że wszystko jest jak dawniej. Poza tym bez względu na to, jak niewinnie potraktowała życzenie Beth, cały ten incydent zdarzył się wyłącznie z jej winy. Zamieszkała przecież w domu tego mężczyzny, polubiła jego towarzystwo i zaczęła go zachęcać, żeby dał upust swoim uczuciom, a teraz...

- Przeprowadzę się do hotelu - zdecydowała.

- Anne, nie musisz tego robić. - Wyglądał, jakby było mu przykro, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. - To się nie powtórzy - zapewnił.

Musiał pomyśleć, że przestała mu ufać. Zaczął siebie obwiniać, tak jak ona poszukała winy w sobie.

- Wiem - odparła Anne. Oczywiście, że to się więcej nie powtórzy, bo oboje będą bardzo się pilnować. - Nie chciałabym stwarzać... krępującej sytuacji.

- Wszystko w porządku. - Rafe wsunął ręce do kieszeni i odwrócił się do Anne. - Oboje wiemy, że to zdarzyło się przez przypadek.

- Tak. - Pomyślała, że może lepiej trzymać się tej wersji, niż przyznać, że nagle coś między nimi zaiskrzyło. Może wtedy wszystko szybciej wróci do normy. Ona znów stanie się prężną kobietą sukcesu, a on opiekunem trudnej młodzieży. Nawróconym gangsterem, który ożenił się z jej siostrą. - Tak, racja.

- Nie ma sprawy - stwierdził Rafe z takim przekonaniem, że Anne odetchnęła głęboko.

- Nie ma sprawy - potwierdziła. Spróbowała spojrzeć mu w oczy bez emocji i z radością stwierdziła, że jej się udało. Skoro on potrafił patrzeć na nią bez cienia zmieszania, bez obawy - to i ona potrafi. - Nie ma sprawy - powtórzyła raz jeszcze i odetchnęła z ulgą. - Wszystko w porządku. Nie ma się czym przejmować.

RS

Rozdział 4

Nie ma się czym przejmować, powtarzał w myślach Rafe, gdy nazajutrz rano jechał do pracy. Bez Anne, która zabrała samochód Beth, zapewniając go, że sobie poradzi.

Nie ma się czym przejmować. Wjechał na parking za budynkiem ośrodka.

Oboje są przecież ludźmi honoru i żadne z nich nie chciało zdradzić pamięci Beth. Dlatego nie będzie robił sobie wyrzutów z powodu Anne. W końcu to, co robili, robili z miłości i szacunku dla Beth. Z pewnością by sobie życzyła, żeby jej bliscy mieli dobrą opiekę.

- Nasz prawnik musiał nieźle zabalować tej nocy - powitał go Oscar.

Rafe wzdrygnął się i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że chłopak ma na myśli późniejszą niż zwykle godzinę jego przyjazdu.

- Rzeczywiście, wstałem dziś dość późno - przyznał, otwierając drzwi ośrodka.

- Cholo chce się z tobą zobaczyć - powiedział Oscar.

Ta wiadomość ucieszyła Rafe'a, gdyż od dawna szukał kontaktu z szefem Wilków.

- Może przyjść, kiedy zechce. Będę czekał. - Postanowił, że mimo licznych zajęć w ośrodku nie przestanie opiekować się szwagierką. Nie tylko ze względu na pamięć Beth, ale również dlatego, że czuł się dłużnikiem Anne. Pozwoliła mu się wypłakać,

utuliła go jak dziecko. Nie musiała tego robić, ale była przy nim i z nim całym sercem.

Świadomość jej bliskości napełniła go uczuciem bolesnej słodyczy.

Nie znaczy to jednak, że nie potrafiłby obyć się bez Anne. Co to, to nie. Nawet jeśli dobrze było mieć przy sobie kogoś, z kim mógł porozmawiać o swoich sprawach. Poza tym za miesiąc i tak jej tu nie będzie, bo wróci do Chicago. Nie ma nawet warunków na to, by mogła stać mu się nieodzowna. Tym samym nie powinien się niczego obawiać.

W drodze powrotnej z pracy Rafe zdążył przygotować się psychicznie na to, że zastanie Anne w domu. Na szczęście, bo w przeciwnym razie doznałby szoku, ujrzawszy po wejściu do kuchni nakryty stół oraz kobietę tak podobną do Beth, wyjmującą z piekarnika smakowicie pachnącą zapiekankę.

- Nie musiałaś tego robić - zaprotestował. Położył papiery na kuchennym blacie, a potem umył ręce. Był mile zaskoczony, bo Beth już dawno przestała czekać na niego z kolacją. Choć, trzeba przyznać, czasami zdarzało mu się wrócić w porę. - Chciałem zamówić pizzę.

- Po co? Masz przecież pełną lodówkę. - Była to prawda. Zadbali o to przyjaciele i sąsiedzi. - Wiem, że Beth była wspaniałą kucharką, i nie zamierzam przejmować rządów w jej kuchni... to znaczy, w twojej kuchni... ale podgrzanie zapiekanki to żaden kłopot.

Anne zrobiła jednak nie tylko to. Na stole stał szklany półmisek z sałatą, koszyczek chrupkiego pieczywa oraz dzbanek mrożonej herbaty.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedział Rafe. Począł, aż Anne usiadzie i dopiero wtedy sam zajął miejsce przy stole. - Po całym dniu mozolnych ćwiczeń i próbach nadrobienia zaległości w pracy nie powinnaś brać się za gotowanie.

Anne sięgnęła po jego talerz.

- Tyle dla mnie zrobiłeś ostatnio. Pozwól, żebym i ja czasami mogła ci pomóc.

Rafe pomyślał, że jeśli już chciała zrobić coś dla niego, odgrzanie zapiekanki było w sumie lepsze niż to, co nagle przyszło mu do głowy.

- W porządku - powiedział i sięgnął po kromkę chleba. - Dzięki.

Przyjemne pół godziny, jakie nastąpiło potem, przypominało mu dawne kolacje z Beth. Przyłapał się nawet na tym, że zaczął rozmawiać z nią jak z Beth, nie zastanawiając się nad tym, czy Anne zna ludzi, o których mowa.

Ona zaś robiła wszystko, by podtrzymać konwersację. Była zbyt uprzejma, by mu wytknąć, że nie poznała człowieka, od którego wynajmował wraz z Beth ich pierwsze mieszkanie, albo że siostra opowiedziała jej więcej historii z ich życia, niż przypuszczał.

Tak czy owak, Anne chętnie wysłuchiwała jego opowieści, a potem sama zdała mu relację z wydarzeń minionego dnia. Wspomniała mu, między innymi, że w samochodzie Beth znalazła niedokończone projekty nowych lalek, i zapytała, czy nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby spróbowała je skończyć.

- Uważam, że wręcz powinnaś to zrobić - powiedział Rafe i pomyślał, że gdyby próbowała przejąć rolę nieżyjącej siostry w jego

domu, byłoby to bardzo niestosowne. Za to przejęcie obowiązków Beth w firmie było posunięciem naturalnym. - Myślę, że Beth chciałaby, żebyś dokończyła za nią tę pracę.

Anne popatrzyła na niego z wahaniem, a potem pozbierała ze stołu brudne talerze i podeszła do zlewu. Zupełnie jakby chciała stworzyć między nimi pewien dystans.

- Dobrze - odrzekła, odwracając się plecami do Rafe'a -ale pamiętaj, że nie chciałabym się narzucać.

- Skąd ta myśl? Przecież to także twoja firma. Teraz w całości należy do ciebie. - Dotąd nie zastanawiał się, co zrobi z udziałami Beth, ale przekazanie ich Anne wydało mu się najrozsądniejszym wyjściem. - Któregoś dnia trzeba będzie o tym porozmawiać - dodał.

Wypił ostatni łyk mrożonej herbaty i wstawił szklanki do zlewu.

- Później, dobrze? - poprosiła, po czym opłukała talerze i ustawiła je na suszarce. - Nie ma przecież pośpiechu, a ja jeszcze nie za bardzo się we wszystkim orientuję.

Rafe zebrał pozostałe rzeczy ze stołu, a Anne wymyła w tym czasie naczynie do zapiekank.

- Cindy mówi, że idzie ci naprawdę świetnie.

- Z ćwiczeniami fizycznymi. Mam jeszcze poważne kłopoty ze zrozumieniem tych wszystkich raportów z Chicago.

Doktor Sibley wciąż jej tłumaczył, że trudno przewidzieć skutki tak poważnego wypadku. Pocieszał ją jednak, że skoro fizycznie szybko wraca do formy, powinna niedługo w pełni odzyskać pamięć.

Nie mogła się tego doczekać, gdyż miała nadzieję, że będzie wtedy wiedziała, jak pomóc Rafe'owi. Jeśli Beth ułożyła tę listę za i

przeciw podczas ich podróży pociągiem, musiała o tym z siostrą rozmawiać.

- Myślę, że lada moment zaczniesz sobie wszystko przypominać
- pocieszył ją Rafe.

Skinęła głową, zajęta wyrzucaniem resztek do plastikowego pojemnika.

- Wiem. Chwilami wydaje mi się, że widzę moje mieszkanie i biuro, jednak nadal najwyraźniejsze wspomnienia dotyczą naszego dzieciństwa.

Czy zdawała sobie sprawę z tego, że mówiąc o dzieciństwie używała zawsze liczby mnogiej? Rafe chciałby to wiedzieć.

- Odnoszę wtedy wrażenie, jakbym oglądała film - ciągnęła Anne, podchodząc do lodówki. - Z tą różnicą, że to ja w nim występuję. Widzę, jak Beth i ja siedzimy z naszą babcią na kanapie, a ona czyta nam bajki...

Rafe mógł je sobie bez trudu wyobrazić, i był to uroczy obrazek.

- Musiałaś być wtedy bystrą dziewczynką - powiedział, przypominając sobie opowieści Beth. - Żałuję, że cię wtedy nie znałem.

Musiało to zabrzmieć zbyt poufale, bo Anne jakby się zachnęła. Najwyższy czas zmienić temat. Może znów coś z dzieciństwa?

- Trzymałyście zwierzątka w domu?

Zabrzmiało to dość koślawo, ale Anne ochoczo podjęła wątek.

- Tylko dwie złote rybki. - Zamknęła lodówkę i odwróciła się do Rafe'a. - Nazwałyśmy je Psotka i Śmieszka.

- Ładnie - przyznał z uśmiechem, bo pomyśl, by nadać rybkom imiona, wydał mu się zabawny.

- Tak naprawdę chcieliśmy mieć konia.

Było to prawdopodobnie równie nieosiągalne jak jego marzenia z tego okresu.

- Ja marzyłem o porsche - przyznał się z westchnieniem.

- Wiem. - Anne odkręciła kurek i ze zrozumieniem pokiwała głową.

Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek opowiadał o tym Beth, ale widocznie tak było, a ona później powtórzyła to siostrze. Myśl, że Anne zapamiętała taki drobiazg, ucieszył go bardziej, niżby przypuszczał.

- Widać z tego - rzucił pospiesznie - że żadne z nas nie dostało tego, o czym marzyło... To znaczy... - chciał się wytłumaczyć, ale Anne mu przerwała:

- Nie, ja dostałam to, czego chciałam. Mam przecież dużą firmę w Chicago i sama ją prowadzę.

To prawda, pomyślał. Z tego powodu Anne nie odczuwa ani potrzeby, ani ochoty na bliższe kontakty z mężczyznami. Wiedział to od Beth. Mówiła mu, że jej siostra całkowicie poświęciła się karierze.

- Racja - przytaknął, wyrzucając do kosza pogniecione papierowe serwetki. - Masz co robić.

- Za miesiąc będę w Chicago - ciągnęła Anne.

A niech to wszyscy diabli! Na myśl o tym poczuł ukłucie w sercu.

- Posłuchaj - przerwał jej ostro - mam jeszcze parę rzeczy do skończenia w ośrodku. - Wprawdzie nie było to nic, co nie mogłoby poczekać do jutra, doszedł jednak do wniosku, że sprzątnie kuchni z Anne to spacer po polu minowym. Dlatego lepiej wyjść zaraz, zanim będzie za późno.

Anne musiała przeżywać podobne rozterki, bo gdy sięgała po płyn do mycia naczyń, na jej twarzy odmalowała się ulga.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Zostań tam tak długo, jak będzie trzeba.

Jak widać, Anne wyraźnie nie podzielała opinii Beth, że wieczorami jego miejsce jest w domu. Powtórzyła też, że da sobie radę.

- Nie masz mi za złe, że zostawiam cię samą?

- Nie, jedź już - nalegała, wlewając płyn do zlewu. - Ta młodzież potrzebuje cię bardziej niż ja.

Była to prawda. Poza tym szansa, że pojawią się Oscar, Paul czy Vicente, była znacznie większa w nocy niż w ciągu dnia.

- Szczerze mówiąc - powiedział - brałem pod uwagę, żeby przedłużyć godziny pracy ośrodka. - Rozważał to już w ubiegłym miesiącu, lecz po namyśle zrezygnował, bo nie chciał zostawiać Anne samej. Teraz sytuacja się zmieniła. Miał poważne powody, by jak najdłużej przebywać poza domem. - I to już na stałe. Niektóre z tych dzieciaków potrzebują miejsca, gdzie mogłyby wpaść po godzinach.

- To świetny pomysł - przyznała Anne.

Pierwszą reakcją Rafe'a była radość, że go pochwaliła, ale potem zrobiło mu się przykro. Co, oczywiście, było bardzo niestosowne.

- Wobec tego lepiej, żebym już jechał. - Sięgnął po papiery i kluczyki do samochodu.

- Tak - mruknęła Anne. Gdy odwracał się do drzwi, ujrzał na jej twarzy ten sam wyraz konsternacji, jaki miewała Beth, kiedy wychodził wieczorem do pracy. - Lepiej, żebyś już jechał..

Dobrze, że wyszedł. Anne skończyła sprzątać w kuchni i wróciła do swojego pokoju. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że zjedzenie przygotowanej przez nią kolacji będzie takim przeżyciem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Jeszcze chwila, a zacznie utożsamiać się z siostrą. Prawdę mówiąc, tego wieczoru rzeczywiście czuła się jak Beth - używała przecież jej naczyń, miała na sobie jej ubranie i gawędziła mile z jej mężem.

- Czas z tym skończyć! - zapowiedziała sobie stanowczo.

To samo powtórzyła, gdy myła głowę waniliowym szamponem Beth. Tak go polubiła, że postanowiła używać go również po powrocie do Chicago.

I powtórzyła jeszcze raz, gdy usłyszała, że Rafe zajeżdża przed dom. Zgasiła wtedy lampkę nocną i usiłowała zasnąć.

Po źle przespanej nocy doszła do wniosku, że pewne sprawy między nią a Rafe'em wymagają wyjaśnień. Dlatego wstała bardzo wcześnie, by spotkać się z nim w kuchni, zanim wyjedzie do pracy.

- Nie musisz wracać do domu na kolację - zaczęła. - To dobry pomysł, żeby przedłużyć godziny otwarcia ośrodka. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że powinieneś pracować do późnej nocy czy coś w tym rodzaju.

Rafe spojrział na nią dziwnym wzrokiem i sięgnął po kluczyki.

- Mówię poważnie - dorzuciła. - Jestem ci taka wdzięczna, że mnie wszędzie wozileś, ale teraz już nieźle sobie radzę. Nie musisz tkwić w domu tylko ze względu na mnie.

- Dobrze - odrzekł. - Ty też nie musisz mi gotować. To było miłe z twojej strony, ale to nie należy do twoich obowiązków.

Pomyślała, że i tak musi gotować dla siebie, ale wołała z nim teraz nie dyskutować.

- Wiem - powiedziała. - Tak czy inaczej, nie spiesz się. Zostań tak długo, jak będziesz chciał.

W progu Rafe zawahał się, a potem pokręcił głową ze zdumieniem.

- To dziwne uczucie słyszeć takie słowa. Beth nienawidziła moich późnych powrotów.

- No tak, ale ona była twoją żoną - przypomniała mu Anne, nim zniknął za drzwiami.

Żona ma prawo stawiać różne wymagania, ale nie szwagierka. Nie ktoś, kto jest w tym domu tylko gościem i kto ma własne życie w Chicago.

Anne nie mogła się doczekać, kiedy tam wróci. Gdyby tylko potrafiła przypomnieć sobie coś więcej z tego życia w Chicago.

- Przypomnisz sobie - zapewniała ją Cindy tego popołudnia w trakcie ćwiczeń. - Pracowałam już z ludźmi, którzy mieli podobne kłopoty z pamięcią. Po powrocie do domu bardzo szybko odzyskiwali formę.

Anne miała nadzieję, że tak będzie i z nią. Już teraz rozpoznawała w słuchawce głos dyrektora do spraw handlowych i coraz lepiej orientowała się w sprawach, które co rano omawiali.

- Wiem - przyznała i, krzywiąc się z bólu, spróbowała rozprostować ręce. - Chciałabym tylko, żeby to się stało jak najszybciej.

- Masz już dość spotkań ze mną? - Cindy roześmiała się, podsuwając jej pod kark małą poduszczkę. - Wszędzie każą ci robić te same ćwiczenia. Również w Chicago.

To prawda, ale w Chicago będzie przynajmniej u siebie i odzyska własne życie.

Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że ten rodzaj życia całkiem jej odpowiadał, co było o tyle dziwne, że dotąd skupiona była wyłącznie na robieniu kariery. Rafe przypomniał jej, że to ona po powrocie z Harvardu potrafiła przekształcić hobby siostry w świetnie prosperującą firmę. Wcześniej Beth wstawiała lalki do paru sklepików, ale kiedy Anne wzięła sprawy w swoje ręce, już po roku uruchomiły filie na terenie całego kraju. Rafe powiedział jej też, że Beth powtarzała, że nikt nie ma takiej głowy do interesów jak Anne.

Był to kolejny powód, dla którego powinna jak najszybciej wracać do Chicago. Koniec z używaniem samochodu Beth, jej naczyń i kosmetyków, koniec z noszeniem jej ubrań. I, co najważniejsze, koniec z niestosownymi myślami o jej mężu.

Henry był zachwycony, gdy zadzwoniła do niego, żeby go poinformować o rychłym powrocie.

- To wspomniała wiadomość. Czy jest szansa, że wrócisz w przyszłym miesiącu?

- Z całą pewnością. Obiecuję - odparła, żałując że nie może go zapytać, jaką osobą była prywatnie, poza miejscem pracy. Dziwiło ją to, że nie mogła sobie przypomnieć przyjaciół. Owszem, znajomi i przyjaciele Beth dzwonili do niej z wyrazami współczucia, ale musiała przecież mieć i własnych. - Czy nie ma dla mnie korespondencji prywatnej? -zapytała Henrygo.

Henry połączył ją z sekretarką imieniem Tina, której twarzy nie pamiętała, ale która powiedziała jej, że dzień wcześniej nadeszła przesyłka, zawierająca oprawiony w skórę dziennik.

- Pamiętasz, jaka byłaś zmartwiona, że nie zdążyli go przysłać przed twoim wyjazdem? Nareszcie jest.

Może rzeczywiście prowadziła dziennik, choć nie mogła sobie tego przypomnieć. Może jednak wystarczy przeczytać parę stron, a wszystko ułoży się w logiczną całość.

- Prześlij mi go tutaj, jak będziesz miała wolną chwilę -poleciała.
- To nic pilnego. Dzięki, Tina.

Dziennik... Może dzięki niemu odzyska wreszcie równowagę i pozna swoje miejsce na tym świecie? Cindy, doktor Sibley i cała reszta uprzedzali ją, że to jeszcze potrwa, zanim znów poczuje się sobą. Z tym gotowa była się pogodzić.

Ale żeby chwilami czuć się jak własna siostra, to chyba nie w porządku.

Tego wieczoru, kiedy Rafe był w pracy, zjadła kolację, wstawiła jego porcję do lodówki, a potem rozsiadła się przy kuchennym stole z notatnikiem oraz długopisem znalezionymi w szufladzie Beth.

Od czego tu zacząć?

Może od daty. To mało oryginalne, ale od czegoś trzeba zacząć.

Ludzie często prowadzą rozmowy ze swoim pamiętnikiem. To coś jak pisanie listu. Anne odnosiła jednak niejasne wrażenie, że dawniej rzadko pisywała listy. W obecnych czasach prawie wszystko można załatwić przez telefon albo przez Internet. Mimo to u góry strony napisała: „Kochany pamiętniku!”, a potem popatrzyła z namysłem na nagłówek.

Nie, to nie tak. Nie chce pisać. Woli porozmawiać. Rozmowa jest z reguły bardziej skuteczna niż pisanie listów bądź pamiętnika. Jest też bardziej autentyczna, bardziej angażująca, bo wymaga wymiany zdań z drugim człowiekiem.

Niestety, mogła sobie przypomnieć dawne rozmowy tylko z jedną osobą - swoją siostrą. A Beth już nie ma.

Nie, to głupie! Oddarła górną część kartki. Pisanie to nie jest dobry pomysł. Chyba że skreśliłaby kilka słów do Beth... „Kochana Beth” - zaczęła. „Przeraźliwie mi cię brak”. „Wiem”.

Niemal słyszała głos siostry, który przypominał jej własny. Odpowiedź była logiczna i Anne poczuła się po niej lepiej, tak jak wówczas, gdy rozmawiały przez telefon. To akurat potrafiła sobie przypomnieć.

„To okropne, że Cię tu nie ma” - pisała coraz szybciej. „Mam wrażenie, jakby mi odebrano część mojej osoby. Nikt nigdy nie

zrozumie, jak upiorna jest świadomość, że już nigdy nie będzie można z kimś porozmawiać".

„Wiem".

„Nawet jeżeli nie porozumiewaliśmy się codziennie, wiedziałam, że jesteś, że Cię mam - a teraz nie mam już nikogo. Po śmierci mamy, taty i babci zostałyśmy tylko my dwie: ty i ja. A teraz jestem całkiem sama".

Anne uświadomiła sobie, że zbiera jej się na płacz. Jednak ten niecodzienny dialog z siostrą był pewną formą oczyszczenia. Może nie tak dobrą jak rozmowa przez telefon, ale zaspokajającą jej rozpaczliwą potrzebę bliskości.

„Nienawidzę być sama" - pisała, gdy pierwsza łza spadła na kartkę. „Wprawdzie na zewnątrz staram się tego nie okazywać, ale w głębi duszy jestem przerażona. A choć wiem, że Twój duch jest przy mnie, to jednak nie to samo".

„Wiem".

Oczywiście, że Beth o tym wie. Wiedziały przecież o sobie wszystko i...

Skoro Beth wszystko wie, nie ma sensu milczeć w sprawie Rafe'a. Jak wytłumaczyć jej tę nagłą namiętność, jaka ogarnęła Anne tamtej nocy? To bezsensowne uczucie, którego sama nie rozumiała? Beth tym bardziej go nie zrozumie.

Nie, nie będą o tym rozmawiać, póki sama się w tym nie rozezna. Anne wyrwała kartkę, a potem wyrzuciła z siebie prawdę:

„Wiesz, co jest z tego wszystkiego najgorsze? To uczucie, że zaczynam przejmować Twoje życie".

„Teraz to jest Twoje życie”.

Może w jakimś ogólnym sensie owszem, jednak zabrzmiało to tak, jakby sobie życzyła zamieszkać w domu w Tucson z Rafe'em.

„Tak być nie może!” - zaprotestowała, walcząc z łzami. „Nie tu jest moje miejsce. Nie chcę przejmować twojego domu, twoich ubrań i udziałów w naszej firmie”.

„A jednak to robisz”.

Tak, to prawda. A za jaką cenę? Za cenę życia siostry.

„To nie należy do mnie” - pisała, zalana łzami. „Tylko do Ciebie i nie chcę Ci tego odbierać”.

Bez względu na to, jak bardzo by tego wszystkiego pragnęła.

„Beth, nie miałam zamiaru... Ja nigdy nie chciałam, żebyś umarła!”

Słumiła szloch i czekała na reakcję siostry, ale jedyną odpowiedzią było milczenie.

„Naprawdę nie chciałam” - powtórzyła błagalnym tonem.

„Przysięgam”.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

„Chciałam, żebyśmy zawsze byli razem - ty i ja”.

Przysięgły to sobie, splatając małe palce lewych dłoni. Były wtedy w trzeciej klasie podstawówki i Anne przyniosła z biblioteki książkę o Indianach.

„Pamiętasz?”

Może za głośno płacze? Może jeśli przestanie, uda jej się usłyszeć głos siostry? Nie potrafiła jednak się uspokoić, nie mogła też wyobrazić sobie odpowiedzi Beth.

A tak w ogóle, skąd ta pewność, że siostra ją zrozumie?

„Tęsknię za Tobą” - powtórzyła, szlochając rozpaczliwie. „Beth, tak mi Ciebie brakuje”. „Wiem”.

Nareszcie głos jej siostry.

„Nic nie jest takie samo jak przedtem” - ciągnęła. „Jesteś jedyną osobą, która to rozumie, ale nie możemy rozmawiać jak dawniej!”

„Wiem”.

Dobre choć i to, że Beth jej znowu odpowiada. Jakby udało im się nawiązać kontakt, choć bardzo wątki.

„Ty wiesz, że nigdy bym nie próbowała zająć Twojego miejsca, prawda? Ja naprawdę nie chcę tego robić!”

Cisza.

„Naprawdę” - powtórzyła Anne, lecz choć wyteżęła słuch, nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Beth już nie ma. Znowu... Nadal...

- Tęsknię za tobą - wyszeptała. Czuła, że musi wyjaśnić te sprawy między nią a siostrą, ale jak? Nie miała już z kim porozmawiać. Choć z całych sił próbowała powstrzymać się od łez, płacz wstrząsał całym jej ciałem i duszą. Łzy strumieniami lały się po twarzy, szloch zdawał się wręcz rozsadzać ściany kuchni, ale to nieważne, bo i tak nikt tego nie usłyszy. Nikt nigdy tego nie usłyszy, bo jej siostra odeszła. A ona została sama jak palec. I wszystko będzie nie tak.

Gdy Rafe zajechał pod dom, w kuchni paliło się światło. Anne jeszcze nie śpi, ale to żaden problem. Powie jej po prostu „cześć”, życzy dobrej nocy, a potem pójdzie prosto do łóżka, zabierając swoje

papiery. Nie będzie już więcej omawiał z nią spraw służbowych. Tak będzie dla nich obojga najlepiej.

Może by tak zrobił, gdyby się nie okazało, że Anne siedzi przy stole w kuchni, z twarzą ukrytą w dłoniach, i płacze tak, jakby serce miało jej pęknąć.

- Anne?

Drgnęła i popatrzyła na niego, próbując się opanować.

- Przepraszam - wykrztusiła, choć nie miała za co przepraszać. - Właśnie rozmawiałam z Beth i...

Czy dlatego była taka przygnębiona? I co to miało znaczyć, że rozmawiała z Beth?

- To znaczy, pisałam. - wyszeptała, wskazując na mokrą od łez, wyrwaną z bloku kartkę. - Próbowałam napisać do niej list.

Rafe wiedział od Beth, że Anne była bardzo przywiązana do swojego dziennika. Nic więc dziwnego, że próbowała teraz znaleźć ukojenie, przelewając myśli na papier. Beth była inna. Nie lubiła pisać.

- Rozumiem - powiedział.

- Jakbyśmy znów rozmawiały, tylko tym razem wyobrażałam sobie jej odpowiedzi i... - Anne urwała, popatrzyła na mokrą, pogniecioną kartkę i przeniosła wzrok na szwagra. - Rafe, ja już tak dłużej nie mogę. Nie mogę tu zostać.

To samo pomyślał tamtego wieczoru, ale odkąd zaczął pracować do późna, sytuacja zmieniła się na lepsze.

- Możesz, naprawdę - zaczął, ale ona nie dała mu dokończyć i powiedziała coś, co by mu nie przyszło do głowy.

- Mam wrażenie, że zaczynam wcielać się w życie mojej siostry. A to przecież nie jest moje życie.

Oczywiście, że nie, pomyślał, lecz to jeszcze nie powód, żeby wyjeżdżać z Tucson. Zwłaszcza że do końca rehabilitacji zostały tylko cztery tygodnie.

Poza tym niby dlaczego miałyby czuć się winna?

- Przecież nigdy nie chciałaś żyć jak Beth - przypomniał jej. - Beth wielokrotnie mówiła, że ty byłaś mózgiem rodziny, a ona sercem, i każda z was robiła to, co jej bardziej odpowiadało.

- To znaczy, że moje miejsce jest w Chicago. - Anne wstała od stołu. - A nie tutaj.

- Nie na zawsze, to prawda. - Doskonale o tym wiedział i nie mógł zrozumieć, czemu ta myśl tak go gnębi. Nie czas jednak na zajmowanie się własną osobą, kiedy Anne jest zrozpaczona. - Tak czy inaczej, nie pozwolę ci zasiąść za kierownicą w tym stanie.

- To żaden problem - powiedziała, podchodząc do telefonu. - Wezmę taksówkę.

-Anne, zaczekaj! - zaprotestował i zasłonił sobą telefon. Wszystko to działo się za szybko, nie mógł pozwolić jej odejść w ten sposób. - Nie jesteś w stanie...

- Próbuję przejąć życie Beth - przerwała mu z rozpaczą. - A przecież to jej życie. Dlatego wracam do Chicago.

- Tak, oczywiście. - Przecież wiadomo, że będzie musiała tam wrócić, nawet gdyby bardzo chciał ją tu zatrzymać. -Czy jesteś jednak pewna, że Beth chciałaby, żebyś w tym stanie jechała do Chicago? I była tam zupełnie sama?

Zapadła cisza.

- Anne?

- Nie - wyszeptwała.

- Sama widzisz - powiedział z ulgą. - Beth by tego nie chciała. -
Tak samo jak on. - Jeszcze za wcześnie.

Pomyślała, że gdy skończy się okres rehabilitacji, znów zacznie być sobą. Podobnie jak on. Będą mogli powiedzieć sobie „do widzenia” z tą samą naturalną serdecznością jak zawsze, kiedy byli po prostu szwagrem i szwagierką. I to będzie wszystko.

- Wyjadę jutro - rzuciła.

Rafe poczuł, że to jeszcze nie koniec batalii.

- Posłuchaj, Anne - zaczął. Usiadł przy stole w nadziei, że i ona usiądzie. - Wiem, co przeżywasz...

- Nic nie wiesz. - Zajęła miejsce, lecz nadal była spięta. - Nie ty zdradzasz swoją siostrę...

- Ty też tego nie robisz! - przerwał jej, ale ona zdawała się go nie słyszeć. Ukryła na moment twarz w dłoniach, a potem znów spojrzała mu w oczy.

- Czuję, że stopniowo przywłaszczam sobie jej życie -
powiedziała cicho. - A to nie w porządku.

Oczywiście, że nie byłoby to w porządku, ale to nieprawda. Nie przejmowała życia Beth. To nonsens.

- Kończysz tylko zaczęty przez nią projekt, to wszystko. Anne potrząsnęła głową.

- Gdyby tak było... Czuję, że chcę mieć jej pracę, że tę pracę kocham. Jest mi tak dobrze w tym domu, w jej ubraniach, z jej... -

Urwała, jakby dalsze słowa nie chciały przejść jej przez usta, a po chwili dorzuciła: - Nawet mieszkam z jej mężem!

Ach, tak! To znaczy, że pragnęła tego samego co on! Ale Anne nie musi niczego się obawiać. Są przecież parą dojrzałych, rozsądnych ludzi.

- Do niczego nie doszło - przypomniał jej, choć czuł, że to mała pociecha. Coraz trudniej przychodziło mu zachować ten emocjonalny dystans, w którym znajdował oparcie bezpośrednio po katastrofie. Wiedział jednak, co powinien uczynić, i tak postąpi, bo jest człowiekiem honoru. - I nie dojdzie, Anne. Masz na to moje słowo.

Widocznie jednak jego słowa nie pocieszyły jej tak jak powinny, bo nadal na niego nie patrzyła.

- Nie myśl sobie...

- Sądzę, że w ostatnich dniach byliśmy bardzo przygnębieni - zaczął ostrożnie, by jej nie wystraszyć. Musi być przecież jakiś sposób, żeby ją zatrzymać. Anne nie może odjechać w takim stanie ducha. Może za mało się starał, by odzyskała poczucie bezpieczeństwa? - Oboje bardzo kochaliśmy Beth, prawda?

- Prawda.

Skoro tak, powinien się na tym skupić, bo to najważniejsze.

- Oboje wiemy też, że Beth chciałaby, żebyś tu została -ciągnął.

- Prawda?

Anne zawahała się. Wyraz zmieszania nie zniknął z jej twarzy.

- No... tak... Wiem, że tego by chciała. Rzecz w tym... Pomyślał, że musi podsunąć jej argument, którego będzie mogła się uchwycić, a który im obojgu zapewni poczucie bezpieczeństwa.

- Za niespełna miesiąc kończysz terapię - powiedział.

Niespodziewanie Anne odpowiedziała uśmiechem, który tak kochał u Beth.

- Uważasz, że zdołamy przetrwać te cztery tygodnie? - zapytała, a on dopiero wtedy uświadomił sobie, że dla niej będzie to równie ciężką próbą jak dla niego. Nie wolno mu jednak zapomnieć o przyczynie, dla której zaproponował jej gościnę.

- Beth chciałyby, żebyś tu była - powiedział, a Anne z westchnieniem zamknęła oczy. Wiedziała o tym tak samo jak on. Świadomość tego pozwoli im przeżyć następne tygodnie, podczas których będą się nawzajem wspierać. - Dlatego musisz tu zostać. Będzie dobrze, zobaczysz.

Pokiwała powoli głową i znów na niego spojrzała.

- Dobrze, ale tylko przez te cztery tygodnie.

- Póki Cindy nie powie, że możesz jechać. - Jeżeli się okaże, że to za mało, będzie się później martwił, jak z tego wybrnąć. Teraz musi zrobić to, co do niego należy. - Osobiście odwiozę cię na lotnisko - dorzucił.

Blady uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Liczę na to.

Rafe wolał nawet nie myśleć o chwili, kiedy będzie musiał pożegnać się z Anne. Oczywiście rzecz nie w tym, że nie potrafił się bez niej obejść. Nie była mu przecież do niczego potrzebna. Ani do zwierzeń, ani do tego, by poczuł się chciany, by widział, że ktoś czeka w oknie na jego powrót. Nie, nic z tych rzeczy. Na cztery tygodnie... Może być. Czemu nie?

- Czyli wszystko w porządku - powiedział. - Wobec tego idę spać. Zobaczymy się rano.

Anne także musiała uznać, że najlepiej będzie się rozejść, bo chwyciła papier i długopis, i ruszyła w stronę korytarza.

- Dobranoc, Rafe. Słodkich snów.

„Słodkich snów”?!

Tak właśnie co noc żegnała go Beth! A teraz słyszy to z ust kobiety o tym samym głosie i uśmiechu, o tych samych ruchach... Oczywiście nie powinno go to dziwić. Były przecież identycznymi bliźniaczkami. Poza tym pewnie przez te lata, kiedy mieszkały razem, mówiły sobie dobranoc.

Gdy patrzył za jej znikającą sylwetką, poraziła go nagle szaleńcza i kompletnie irracjonalna myśl. Może Beth za pomocą czarów wcieliła się w Anne?

Co było, rzecz jasna, kompletną bzdurą. Czepianiem się złudnych nadziei. Nie mówiąc już o tym, że powód był tak przyziemny. On, Rafe Montoya, nigdy by nie przypuszczał, że mógłby upaść tak nisko, by pragnąć swojej szwagierki. A ponieważ mimowolnie obudziła w nim pożądanie, próbował sobie teraz wmówić, że mogła to być jednak jego żona. Wstyd! Jakie to żalosne, upokarzające!

Zapomnij o tym! Wszedł do swojego pokoju, w którym pewnej nocy omal nie pocałował szwagierki. Takie myśli to strata czasu. Kto jak kto, ale on powinien coś o tym wiedzieć.

Ale... jeśli zaszła pomyłka?

Oczywiście to wymysł. Wystarczy sobie przypomnieć, w jak naturalny sposób Anne zaakceptowała jego decyzję o przedłużeniu godzin pracy. Beth nigdy by się z tym nie pogodziła.

Anne starała się zrobić dla niego, co tylko mogła. I była taka miła, troskliwa. Zupełnie jak Beth. On ani tego nie chciał, ani nie potrzebował.

Może jednak doszło do pomyłki?

RS

Rozdział 5

Nie, tu nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Czują żar ogarniający ich oboje, nacisk jego muskularnego ciała. Uniosła biodra, by wyjść mu naprzeciw...

Nie!

Anne usiadła na łóżku, zlane potem, a serce głucho dudniło jej w piersi. Już po raz drugi tej nocy śniła o Rafe. Tak być nie może! Najwyższa pora coś z tym zrobić!

Jednak sny były tak realistyczne, jakby rzeczywiście znalazła się w jego łóżku z podłużnym oknem nad wezgłowiem, miękką pościelą... Wyraźnie czuła gorący tors Rafe'a i pieszczotliwy dotyk jego warg...

Nie! Przestań! Czegoś takiego z pewnością nie może pamiętać.

Zapaliła lampkę nocną, żeby się rozbudzić. Lepiej już nie spać do rana, niż znów mieć takie sny. Mimo wszystko siostra nie opowiadałaby jej przecież, jaki Rafe jest w łóżku. Nie mówiłaby z nią o rzeczach tak intymnych, jak gładkość skóry czy zapach. Nie zwierzałaby się, jak reagował na pieszczoty.

A to oznacza, że to wszystko sobie wyobraziła, przekraczając tym samym granice przyzwoitości. Nie wolno jej już nigdy więcej do tego dopuścić. Dlatego będzie czuwała do rana. Może to głupie pozbawiać się snu. Przecież Cindy wielokrotnie powtarzała, jak ważny jest wypoczynek podczas rehabilitacji. Następnej nocy będzie inaczej, bo w ciągu dnia postara się odgadnąć, co różniło ją od Beth.

Odwoła się do własnych wspomnień, pragnień, marzeń... Spróbuj rozdzielić to, co jej własne, od tego, co należało do siostry.

Podjęcie tak ważkiego postanowienia do tego stopnia wyczerpało Anne, że zasnęła jeszcze na kilka godzin. Obudziła się, kiedy Rafe brał prysznic, i w pierwszej chwili pomyślała, że bezpieczniej będzie zostać w łóżku, niż wstać, zaparzyć kawę, wycisnąć sok pomarańczowy i przygotować śniadanie. Ostatnio weszło jej to w zwyczaj i trzeba przyznać, że bardzo polubiła ten poranny rytuał.

Dlatego właśnie lepiej nie wchodzić Rafe'owi w drogę. Tyle że byłoby to wobec niego nie w porządku. Przecież to nie jego wina. Nie zasługuje na to, by zaczynać kolejny dzień ciężkiej pracy bez filiżanki dobrej kawy. A skoro już będzie parzyła kawę, taką jak lubi, to chyba logiczne, że przy okazji ugotuje jajka na miękko, pokroi chleb i przygotuje grzanki, także takie, jak lubi. Przecież zrobiłaby to samo dla każdego, kto by ją do siebie zaprosił. To nic nie znaczy. To tylko kwestia przyzwoitości.

A jednak zrobiła na Rafe większe wrażenie, niż mogła się spodziewać.

- Anne - powiedział - to bardzo miło z twojej strony. Mówiłem ci, żebyś przestała przygotowywać...

- ... ale nie przestanę - przerwała mu. - Dobre śniadanie na dobry początek. Oboje mamy dziś masę roboty.

Rafe z uśmiechem pokiwał głową.

- Dziś wieczorem mam się spotkać z Cholem. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wrócę późną nocą.

- To szef gangu, prawda? Myślisz, że pozwoli ci zająć się jego ludźmi?

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze - powtórzył. Dotknął kieszeni, w której nosił mały, srebrny medalik. Podarunek od ciotki, wyjaśnił kiedyś Anne, zażenowany. Nosił go przy sobie, odkąd zaczął pracować również w nocy.

- Czy to bezpieczne, wpuszczać tego typu do biura?

- Tak - mruknął, ale było to stwierdzenie na wyrost, szybko więc się poprawił: - Dostyc bezpieczne. Chyba nie zaplanowałaś na dziś wizyty w ośrodku?

Nawet o tym nie pomyślała.

- Nie. Mam inne plany.

Zgodnie z powziętym w nocy postanowieniem zamierzała sporządzić kompletną listę różnic między nią a Beth, co mogło jej zająć większą część dnia.

Po dwugodzinnej sesji rehabilitacyjnej z Cindy i przejrzeniu faksów z Chicago przystąpiła do mozolnego oddzielania swojego życia od życia siostry.

Po pierwsze, koniec z noszeniem ubrań Beth.

Popołudnie spędziła w najbliższym centrum handlowym i wróciła do domu z torbą strojów oraz kosmetyków, które powinny wystarczyć jej do końca pobytu.

Koniec z szamponem waniliowym Beth.

Buteleczka, opróżniona do połowy, wylądowała w szafce pod umywalką, a jej miejsce zajął szampon „Zielone jabłuszko”.

Nie powinna także używać klamry do włosów, leżącej na blacie umywalki. Wprawdzie Rafe powiedział jej, że może brać wszystko, czego potrzebuje, z szafki Beth, ale nowa spinka, którą kupiła, równie dobrze spełni swoją rolę.

Teraz należało odnieść rzeczy Beth do jej sypialni. Anne wystarczyło kilka minut, by powiesić w szafie spódnice, spodnie i bluzki, odstawić buty na miejsce i przypomnieć sobie, gdzie należy odłożyć biżuterię.

Kiedy otworzyła szufladkę, w której Beth trzymała szkatułkę z biżuterią, serce ścisnęło jej się w piersi. „On mnie nie kocha”.

Pomyślała, że to bez sensu. Mimo to uczucie rozpacz, jakie ją ogarnęło na widok szkatułki, było tak porażające, że musiała na moment oprzeć się o komódkę.

„Nie dba o mnie”.

Był to kolejny problem Beth. Miała wrażenie, że słyszy jej pełen rozpacz głoś. Bezwiednie otworzyła szkatułkę i zobaczyła samotną obrączkę - ślubną obrączkę Beth.

„Równie dobrze moglibyśmy nie być małżeństwem. Skoro Rafe zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie potrzebował, obrączka nie ma żadnego znaczenia. Nasze małżeństwo praktycznie przestało istnieć”.

Wszystko nagle wydało się Anne jasne. Doskonale rozumiała decyzję Beth, by zostawić obrączkę; niemal czuła jej gniew i przeświadczenie, że Rafe bardziej dba o podopiecznych swojego ośrodka niż o własną rodzinę.

„Wiem, że zgodziliśmy się poczekać na dziecko, ale przecież nie w nieskończoność". Och, Beth.

„To nie fair. Myślałam, że dziecko zbliży nas do siebie, tymczasem zawsze jestem na drugim miejscu". Ale Rafe... „On mnie nie kocha".

Jak to boli. Bardziej niż ćwiczenia z Cindy, bardziej niż świadomość, że została sama na świecie. Ból Beth odczuwała jak własny. Doskonale też rozumiała rozpacz siostry, gdy odkładała obrączkę do szkatułki. Jej złudną, irracjonalną nadzieję, że potrafi udawać, że nigdy nie była zamężna. Tęsknotę za bliskością, przed którą Rafe się bronił.

Był to ból jej siostry, nie jej, mimo to odczuwała go całym swoim jestestwem. Choć nie mogła nic na to poradzić, modliła się w duchu, by udało jej się to zmienić. Chciała sprawić, by Rafe wreszcie otworzył serce, żeby pojął, jak bardzo jest kochany...

- Anne?

Na dźwięk jego głosu dobiegającego z kuchni wzdrygnęła się przestraszona. Co robił w domu o trzeciej po południu? Zamknęła szybko szkatułkę, zatrzasnęła szufladę i spojrzała w lustro.

Co powiedzieć Rafe'owi? A może nie będzie musiała nic mówić, bo ma wszystko wypisane na twarzy?

Przyjrzała się sobie w lustrze. Nie, może tylko oczy jej trochę pociemniały, ale Rafe z pewnością niczego nie zauważy. To nawet lepiej, przynajmniej na razie, póki nie zdecyduje, czy porozmawiać z nim o cierpieniach Beth, czy raczej pominąć tę kwestię milczeniem.

- Już idę! - zawołała z udanym spokojem. - Tylko wyłożę zakupy.

W salonie Rafe niecierpliwie rozglądał się wokoło. Pomyślała, że skoro nie wie, co mu powiedzieć i jak on na to zareaguje, lepiej na razie nie poruszać tematu jego kłopotów małżeńskich.

- Zostawiłem w domu protokół z rozprawy - wyjaśnił Rafe.

- Paulowi będą potrzebne te papiery... O, są!

- Trzeba było zadzwonić, to bym ci je dostarczyła. Nie musiałbyś jechać taki kawał drogi.

Rafe nie krył zaskoczenia.

- Dzięki - powiedział, sięgając po skoroszyt leżący na stoliku obok sofy. - Nie przyszło mi to do głowy... dzięki!

Beth pewnie by czegoś takiego nie zrobiła. Beth nienawidziła jego pracy. Zresztą to całkiem zrozumiałe, skoro tak bardzo był nią zaabsorbowany. Sama nie pozbyła się jeszcze tego przykrego uczucia „bycia zawsze na drugim miejscu”, jakie ogarnęło ją, gdy przeglądała biżuterię Beth. Czy mogła dziwić się swojej o pięć minut młodszej siostrze, że tak bardzo cierpiała z tego powodu? Przy tym warto podkreślić, żonie należą się znacznie większe względy niż szwagierce.

- Kiedy znów coś takiego się zdarzy, zadzwoń do mnie - zaproponowała. - Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

- Doceniam twoją propozycję. - Rafe pozbierał papiery i spojrzał Anne w oczy. Gdyby to był ktoś inny, można by nawet powiedzieć, że nieśmiało. - Muszę wracać do ośrodka.

To dobrze. Będzie miała kilka godzin na podjęcie decyzji, do jakiego stopnia może być z nim szczerą.

- U ciebie wszystko w porządku? - odezwał się nagle i tak ją tym pytaniem zaskoczył, że nie wiedziała, jak zareagować. Czy powinna powiedzieć mu o obrączce Beth? Na pewno nie zauważył jej braku na palcu Beth, gdyż ciało zwrócono w zaplombowanej trumnie. Poza tym był tak zdruzgotany wizją, że chciała go porzucić, że może lepiej mu nie wspominać o pozostawionej obrączce. To prawda, że zawiódł kobietę, która go kochała, ale dość wycierpiał. Po co go dodatkowo dręczyć?

- Tak, w porządku - odparła. - Jak najbardziej.

- Wyglądasz, jakbyś miała za sobą ciężki dzień.

Miał rację, a ta jego troskliwość była kolejnym argumentem przemawiającym za tym, by nie przypominać mu o problemach Beth. Bez względu na to, jak oszczędnie okazywał uczucia i jak uporczywie odwlekał decyzję o dziecku, wystarczająco wiele przeszedł. Po co przysparzać mu dodatkowych cierpień? Beth na pewno byłaby tego samego zdania, bo Beth zawsze chciała najlepiej dla tych, których kochała.

- Nie aż tak bardzo ciężki - odparła i w tym momencie przypomniała sobie jego wyznanie, że Beth zawsze chciała czegoś więcej, niż mógł jej dać. To prawda, ale ile można wymagać od jednego człowieka? - Nie martw się o mnie, Rafe. Zajmij się dziećmi z ośrodka.

- Pędzę - rzucił z uśmiechem, gdy szedł w stronę drzwi. - Zobaczymy się później.

Pewnie znacznie później. Postanowiła zostawić mu ugotowaną kolację. Tak niewiele mogła dla niego zrobić. Rafe nie sprawiał wrażenia człowieka, który chce, żeby się nim ktokolwiek opiekował.

Ale ona chce się nim opiekować. I będzie to robiła przynajmniej przez te cztery tygodnie, bo Rafe zasługuje na to, żeby ktoś się nim zajął.

Oczywiście nie tak jak żona.

Co to za miła, niekonfliktowa osoba, uznał Rafe, gdy jechał do ośrodka. A także później, kiedy po powrocie do domu, tuż przed północą, znalazł półmisek lasagnii w lodówce, wraz z instrukcją, jak go odgrzać.

Niesamowita kobieta. Troskliwa zupełnie jak Beth, a zarazem tak różna, jeśli chodzi o stosunek do jego pracy.

Tej nocy został długo w ośrodku, gdyż trafiła mu się sprawa, o jakiej marzył od lat. Cholo zwrócił się do niego, choć nie wprost, z prośbą o pomoc. Ale o tym pomyśli jutro.

Na klawiaturze mikrofalówki wystukał numer zapisany przez Anne. Lubił, kiedy w pierwszych miesiącach ich małżeństwa Beth zostawiała mu przygotowaną kolację. Gdy się zorientował, że zaczyna na to liczyć, kazał jej przestać. Pewnie sądził wówczas, podobnie zresztą jak teraz, że lepiej nie przywiązywać się do takich luksusów, jak ugotowana przez żonę kolacja.

Wpatrując się w świecące cyferki na mikrofalówce, uświadomił sobie, że coraz trudniej przychodzi mu rozstać się z raz rozbudzoną nadzieją, że Beth, jakimś cudem, mogła przeżyć wypadek. Że ekipa

lekarzy oraz dobry znajomy mogli się jednak pomylić przy identyfikacji zwłok.

Nie, to absolutnie niemożliwe. Mimo to tego ranka zadzwonił na pogotowie, żeby zapytać, czy taka pomyłka byłaby możliwa.

Powiedziano mu, że szef ekipy ratowników wyjechał na kilka dni.

- Mogę pana skontaktować z jego zastępcą - oświadczył człowiek na drugim końcu linii. - Jeśli chodzi panu o konkretne odpowiedzi, lepiej poczekać na Dona.

Czekał, aż Don go poinformuje, że pomyłki tego kalibru się nie zdarzają. W każdym razie nie częściej niż cuda. Kto jak kto, ale on powinien o tym wiedzieć. Po tym, jak mama go zostawiła, jak Nita podrzuciła go sąsiadom, i wtedy, kiedy umarł Gramp, a Carlos zginął, gdy Rose rzuciła go, choć przysięgała mu wieczną miłość... Po tych wszystkich koszmarnych przeżyciach powinien się nauczyć, że nie ma cudów.

Jednak nie wyzbył się nadziei. Gdy po trzech dniach w rozmowie telefonicznej Don oświadczył, że taka pomyłka jest niemożliwa, nalegał dopóty, dopóki nie wymógł na Donie obietnicy, że raz jeszcze skontaktuje się ze wszystkimi członkami ekipy ratunkowej.

- Rafe, skończyłeś już? - Heidi, która co kilka minut zaglądała do pokoju, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. - Mamy pewien problem. Cholo chce się z tobą zobaczyć, ale nie wejdzie tu bez broni.

- Zajmę się tym - odparł i poszedł pertraktować z szefem gangu, który, na co liczył, nareszcie dojrzał do tego, by poprosić o pomoc.

- To bardzo ważne - oświadczył Cholo, ledwie Rafe pojawił się w poczekalni. - Wiem, że macie swój regulamin, ale...

- Wyjdźmy na dwór. - Rafe położył mu rękę na ramieniu i wyprowadził na dwór. - Czy twój kuzyn jest gotów przyjąć prawnika?

Kuzyn Chola, Billy, został aresztowany pod zarzutem morderstwa dokonanego po zabawie, w której uczestniczyła połowa ulicznej młodzieży z południowego Tucson.

- Już ci mówiłem, że to mnie chcą dopaść - powiedział szef Wilków - ale nie chcę o tym rozmawiać na ulicy. Potrzebne jest ustronne miejsce.

- Będę czekał na wiadomość - oznajmił spokojnie Rafe. Nie mógł okazać Cholowi, jak bardzo zależy mu na tej sprawie. Dzięki niej jego ośrodek może zyskać wiarygodność. -Będę przez większość dnia w biurze.

Cholo obrzucił go spojrzeniem, którego Rafe sam używał w razie potrzeby.

- Billy tego nie zrobił.

- Tak, już to mówiłeś. - Mogliby wszystko załatwić na ulicy, wtedy chłopak zachowałby twarz, ale prędzej czy później i tak trzeba będzie zagrać w otwarte karty. Rafe z udaną obojętnością odwrócił się do drzwi, jakby chodziło o zwyczajnego klienta, który wróci albo nie.

- Jeżeli nadal będziesz chciał, żebyśmy się zajęli tą sprawą, daj mi znać.

Cholo czekał, a gdy Rafe już prawie zniknął za drzwiami, rzucił za nim:

- Dziś w nocy.

- Dobrze - powiedział Rafe. - Będę tu, ale pamiętaj, że w nocy obowiązują te same zasady.

Wszedł do środka i na widok zafrasowanej twarzy Heidi zadał sobie pytanie, jakie jest ryzyko, że szef gangu wróci nocą, uzbrojony w nóż i pistolet.

Całkiem spore, ale on sobie z tym poradzi. Zaczną rozmawiać na dworze, a kiedy chłopak już się w to wciągnie, zaproponuje mu wejście do środka, by zadzwonić do sędziego. Tu znów pojawi się sprawa broni, ale jakoś z tego wybrną.

- Myślisz, że jeszcze wróci? - zapytała Heidi.

- Mam nadzieję. - Z tego, co słyszał, Billy był kozłem ofiarnym, a możliwość wybronienia niewinnego chłopaka i tym samym uwiarygodnienia ośrodka, to zbyt poważna szansa, by ją przepuścić. - Dowiedz się, czy możemy dostać kopię raportu policyjnego. Chcę, żeby od początku wszystko było przeprowadzone jak należy.

- Myślisz, że wróci, jeżeli nie będzie mu wolno wnieść broni?

- Mam nadzieję - powtórzył Rafe i nagle do niego dotarło, że w tym dniu wszystko obracało się wokół nadziei. Gdyby usłyszał od ekipy ratowników to, czego pragnął...

Sama nadzieja jednak nie wystarczy. Trzeba działać. Trzeba robić coś więcej, niż tylko marzyć o tym, że Beth przeżyła katastrofę. Jeśli przeżyła, to....

Rafe popatrzył na stojącą na biurku fotografię żony i przysiągł sobie, że jeśli Beth przeżyła, wszystko będzie wyglądało inaczej. Jeżeli los da mu szansę, naprawi błędy. Zrobi wszystko, żeby Beth była szczęśliwa. Jeśli będzie to wymagało powiększenia rodziny, zgodzi się na dziecko mimo że ośrodek jest dopiero w fazie rozruchu. Znajdzie czas i na to, żeby być ojcem. Zrobi wszystko, co w jego mocy.

Oderwał wzrok od zdjęcia. Zagalopował się, to tylko pobożne życzenia. Nie było przecież żadnych dowodów na to, że popełniono pomyłkę. Nie dysponował niczym prócz własnych pragnień... a w jego przypadku to zawsze było za mało, by stał się cud.

- Rafe, Oscar chce, żebyś do niego zadzwonił.

Pora działać. Racja. Rafe sięgnął po telefon, a potem się zawahał. Jeżeli chce zdobyć dowody na to, że zaszła pomyłka, musi postępować w ten sam sposób jak w każdym innym śledztwie. Należy znaleźć kogoś, kto może coś wiedzieć. Trzeba zapomnieć o ekipie ratowników. Potrzebny mu ktoś inny...

Jake Roth!

Zaraz, zaraz, skąd ten facet dzwonił? Z Nowego Jorku? Z Bostonu? Tak, to musiał być Boston. Sięgnął po książkę telefoniczną. Już za pół godziny rozmawiał z żoną Jake'a Rotha.

- Szwagier Anne? Oczywiście, że pana pamiętam. Rozmawialiśmy w ubiegłym miesiącu, kiedy dzwoniliśmy z Jakiem, żeby dowiedzieć się o zdrowie Anne. Jak ona się czuje?

Delikatna sprawa... Rafe patrzył na fotografię uśmiechniętej Beth. Nie może przecież zapytać, czy Jake mógł być ślepy, czy głupi, a może jedno i drugie.

- Nadal ma pewne kłopoty z pamięcią - odparł. - Dlatego pomyślałem sobie, że należałoby przypomnieć jej parę szczegółów z przebiegu katastrofy.

- Jestem pewna, że Jake z radością panu pomoże - zapewniła pani Roth. - Wróci za kilka godzin. Mam mu powiedzieć, żeby do pana zadzwonił?

- Tak, bardzo proszę. - Rafe podał jej numer ośrodka, gdyż nie chciał, by ktoś niepokoił Anne telefonami w sprawie najtragiczniejszego zdarzenia w jej życiu. - Mam po prostu kilka pytań. Prawdę mówiąc, więcej niż kilka, ale od czegoś trzeba zacząć.

Uspokojony, mógł zająć się Oscarem. Potem dziewczyną, której chłopak zniknął wraz z jej samochodem. Ogrodnikiem, któremu pracodawca nie chciał wypłacić pensji. Wreszcie mężczyzną zaniepokojonym aresztowaniem jego byłej żony.

Był to dzień jak co dzień, ale w Rafe'a wstąpił nowy duch. Choć pewnie skończy się na kolejnym wielkim rozczarowaniu, w jego sercu wciąż tliła się nadzieja.

Kiedy usłyszał dzwonek telefonu, wziął głęboki oddech, zanim odebrał. Nie będzie niczego sugerował świadkowi. Powstrzyma się też od przedwczesnej interpretacji jego odpowiedzi. Musi tylko sprawdzić, czy mogła zajść pomyłka, a wtedy... Wtedy będzie się zastanawiał, co dalej.

- Przykro mi, że Anne nadal ma kłopoty z pamięcią - zaczął Jake. - Mindy mówi, że przypomnienie pewnych szczegółów z tamtego ranka mogłoby jej pomóc.

- Właśnie tak sądziłem - powiedział Rafe. - Wiem, że był pan z nią, kiedy to się stało. A nie widział pan przypadkiem jej siostry?

- To była pańska żona, prawda? Nie, bardzo mi przykro. Nawet nie wiedziałem, że razem podróżowały. Dowiedziałem się dopiero po wypadku, kiedy Mindy zadzwoniła do szpitala.

Tak, ale to jeszcze nie musi nic znaczyć. Może najlepiej będzie zapytać wprost?

- Pewne pytanie wciąż nie daje mi spokoju: czy mogło się zdarzyć, że pomyłono Anne z Beth?

- Sugeruje pan, że mogłem wtedy rozmawiać z Beth? - zdumiał się Jake. - Nigdy jej nie poznałem, ale gotów jestem przysiąc, że spotkałem wtedy Anne. Poznałbym ją wszędzie.

Tak, ale Jake nie mógł przecież wiedzieć, że, jeśli pominąć stroje i fryzurę, Anne wyglądała tak samo jak Beth.

- A czy ona pana poznała?

- Tak mi się zdawało. Równie dobrze mogłem jej się przedstawić, kiedy weszła do wagonu. - Na moment zapadło milczenie. - Czy ona nie wie, kim jest?

- Wszyscy od początku mówili jej, że jest Anne. - Było to zresztą logiczne, bo miała fryzurę Anne oraz jej torebkę.

- Może powinien pan ją zapytać, czy nie ma czasami wrażenia, że przed wypadkiem mogła być pańską żoną - zasugerował Jake. - Jeżeli nią jednak jest, pewnie chciałyby to wiedzieć.

- Tak, może i tak. - Choć, jeśli uwzględnić tę listę za i przeciw, mogła zepchnąć wszelką myśl o małżeństwie w głąb podświadomości.

Czyżby znowu miał ją utracić? Nawet gdyby się okazało, że to Beth?

- Dzięki - powiedział Rafe i odłożył słuchawkę.

A tak właściwie, co on najlepszego wyprawia? Szykuje się do kolejnej katastrofy? Nie, to tylko przywidzenie, i nic więcej. Po prostu spodobała mu się siostra żony i żeby się usprawiedliwić, wymyślił sobie, że Beth przeżyła wypadek. I nie tylko przeżyła, ale chciała naprawić ich małżeństwo.

Niestety, pobożne życzenia to o wiele za mało. Nie ma też najmniejszego sensu targować się z Panem Bogiem. Mimo to ścisnął w palcach srebrny medalik.

Tym razem będzie dobrze.

Tylko daj mi jeszcze jedną szansę.

Tym razem Beth nie będzie już sama. Obiecuję. Tym razem będzie jak należy.

Anne zdawała sobie sprawę, że to do niej niepodobne. Nie należy przecież do kobiet, które śnią o mężczyźnie, godzinami rozmyślają o jego uśmiechu i cieszą z tego, że są mu potrzebne. Nie zakochiwała się. Mimo to była bliska zakochania się w szwagrze.

- To tylko stres - powiedziała do Cindy, wyciągając się na materacu do ćwiczeń. - Te kołatania serca mam dlatego, że denerwuję się na myśl o zaległościach w pracy. Zaczynam wymyślać, co ugotuję na obiad, żeby o tym zapomnieć. To do mnie niepodobne.

- Gotowanie może być bardzo relaksujące - stwierdziła Cindy. - Nie ma w tym nic złego.

Oczywiście, że nie ma, ale to Beth zwykła zajmować się takimi sprawami. Nie Anne. Nie urodzona kobieta interesu, która ma warsztat siostry przekształciła w spore przedsiębiorstwo, która ma świetną pracę i interesujące życie w Chicago. Jak tylko wróci do siebie, wszystkie te uczucia do Rafe'a pękają jak bańka mydlana.

- Nigdy nie byłam domatorką - wyjaśniła, choć te słowa dziwnie zabrzmiały w jej ustach - ale ostatnio zaczynam się przejmować zupełnie innymi sprawami niż przedtem.

- Mówiłam ci, że to się zdarza. Ludzie po tak traumatycznych przeżyciach często się zmieniają.

Zmieniają się, owszem, ale nie aż tak, żeby zakochać się we własnym szwagrze. Gdyby chodziło o obcego mężczyznę, to co innego.

- Moim zdaniem - ciągnęła Cindy - jeżeli czujesz, że coś zaczyna być dla ciebie ważne, spróbuj włączyć to w swoje życie. Wróć do Chicago, zamieszkać w domu z ogrodem, kup sobie psa.

Gdyby dzięki temu przestała marzyć o Rafe, już przeglądałaby ogłoszenia matrymonialne w gazecie. Jednak na samą myśl o tym przechodził ją zimny dreszcz.

- Dziewiętnaście, dwadzieścia - powiedziała terapeutka i Anne rozluźniła mięśnie. - A teraz drugi bok.

Nie, nie zamierza szukać mężczyzny. Ma pracę, do której musi wrócić. A także Rafe'a, którym należy się opiekować.

- Jesteś dziś bardzo spięta - zauważyła Cindy, podając jej ciężarki. - Czy dobrze się wysypiasz?

- Ubiegłej nocy źle spałam - przyznała Anne. Obudziła się o wpół do drugiej, a potem znów o czwartej, spocona i rozpalona, i bała się później nawet pomyśleć o tym, co jej się śniło. Choć niektóre z tych snów były całkiem przyzwoite. Na przykład ten, w którym kupowała Rafe'owi koszulę.

- Może powinnam więcej ćwiczyć.

- Powinnaś być bardziej aktywna - poprawiła ją Cindy. - Nie chcę, żebyś nadmiernie forsowała mięśnie, natomiast uważam, że dobrze by ci zrobił spacer albo wypad do kina.

Tak, ale nie chciała robić tego sama. Oczywiście znajomi Beth zapraszali ją na lunch „kiedy tylko będzie miała ochotę”, ale coraz głębsze wchodzenie w życie siostry to zły pomysł. Co do kina - Rafe pewnie zawiózłby ją, gdyby o tym wspomniała, ale nie chciała go zmuszać, żeby jej towarzyszył. Może w tej sytuacji rzeczywiście powinna kogoś poznać.

- Pomyślę o tym - powiedziała.

- Posłuchaj, gdybyś chciała wpaść na wieczorek poetycki Jeffa, byłby zachwycony, widząc znajomą twarz - zaproponowała Cindy. Jej chłopak miał tego dnia zaprezentować swoje wiersze w kawiarence uniwersyteckiej.

- Może wpadnę. - Rafe'a pewnie i tak nie będzie do północy. - Jeżeli mi się uda, przyjadę o ósmej.

Zjawiała się nawet wcześniej, o wpół do ósmej, lekko zdenerwowana. Uspokoila się kiedy się zorientowała, że jej nowe

dzinsy i biała koronkowa bluzka wpasowują się w ogólne tło. Jeśli zdarzy się tak, że wspomnienie tego wieczoru wyprze z jej pamięci Rafe'a, to jeszcze lepiej. Jeśli nie, to przynajmniej napije się dobrej kawy. Co też uczyniła, a przy tej okazji wysłuchała wierszy oraz koncertu muzyki gitarowej, a także pogawędziła z paroma nowo poznanymi osobami. W tym z dwoma panami, którzy poprosili o jej numer telefonu. Nie powinno jej to zaskoczyć, a jednak zaskoczyło. Widocznie nie wyglądała na kobietę, która w każdej wolnej chwili marzy o swoim szwagrze.

- Za kilka tygodni wracam do Chicago - powiedziała, ale mężczyźnie, który przedstawił się jako Greg, to nie przeszkadzało.

- Wobec tego spotkajmy się przed twoim wyjazdem - zaproponował.

Podawała mu swój numer telefonu, zastanawiając się, co będzie, jeżeli Greg natrafi na Rafe'a. Pewnie nic. Rafe poprosi ją uprzejmie do telefonu jak zwykle, kiedy ktoś do niej dzwonił. A ona będzie przynajmniej miała spokojne sumienie, że zrobiła, co mogła, by pozbyć się snów pełnych coraz bardziej krepujących detali.

- Dobrze, zadzwoń do mnie - powiedziała, po czym szybko wyszła z kawiarni, bojąc się, że mogłaby zmienić zdanie. W drodze do domu będzie miała mnóstwo czasu, żeby utrwalić sobie w pamięci obraz Grega. A kto wie, może jutro obudzi się bez tego żenującego uczucia gorąca, które we śnie ogarniało całe ciało?

Widocznie jednak droga powrotna nie trwała wystarczająco długo, bo wchodząc do domu, nadal myślała o Rafe. A kiedy zobaczyła, że czeka na nią przy drzwiach, a w domu palą się

wszystkie światła, ogarnęła ją radość. Trwało to tylko do chwili, gdy Rafe ujął się pod boki, spojrzął na nią groźnie i huknął:

- Gdzieś ty się podziewała, do jasnej cholery?!

RS

Rozdział 6

- W kawiarni - odparła, zaskoczona.

Rafe poczuł, że tężeją mu mięśnie. To prawda, że zostawiła wiadomość o wieczorku poetyckim. W niczym nie zmieniło to jednak faktu, że gdy po powrocie do domu jej nie zastał, wpadł w gniew.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Bardzo dobrze. O co chodzi? Nie znalazłeś mojego liściku?

- Znalazłem dwie godziny temu, ale... - Urwał. Ostatecznie to nie jego sprawa. Ona ma przecież prawo chodzić, gdzie jej się podoba. Rzecz w tym, że to on nie chce, nie może jej utracić! To, oczywiście brzmi bez sensu. Anne mieszka w Chicago, więc tak czy inaczej ją utraci. A tak w ogóle, co on sobie wyobraża?

- Martwiłem się o ciebie - mruknął.

Anne rozchmurzyła się, posłała mu znajomy uśmiech i weszła do salonu.

- To miło z twojej strony, ale całkiem niepotrzebnie. Masz przecież dość zmartwień z dziećmi z ośrodka.

Cóż z tego, że miała rację? Czy to cokolwiek zmienia?

- Przeraziłem się, kiedy nie zastałem cię w domu - wyjaśnił. - Oczywiście wiem, że potrafisz o siebie zadbać, ale... - Umilkł. Może powinien jej powiedzieć wprost, że chciałby się nią zaopiekować na dłużej.

- Nie spodziewałeś się, że zastaniesz pusty dom? - dokończyła za niego. Położyła na stoliku czerwoną torebkę i zwróciła ku niemu twarz. - Powinnam była zadzwonić do ośrodka.

- Nie - wykrztusił, starając się nie zwracać uwagi na jej ruchy, na ciało prześwitujące poprzez koronkową bluzkę. -Nie musisz się tłumaczyć przede mną. Ja tylko... Nic już. Nie ma sprawy.

Anne wzięła głęboki oddech i usiadła na sofie, dokładnie tak jak zrobiłaby to Beth.

- Chcesz posłuchać, jak było na wieczorku poetyckim? Powinien posłać ją do łóżka, ale nie potrafił. Poza tym Anne sprawiała wrażenie równie rozbudzonej jak on.

- Jasne - odpowiedział, rozsiadając się na drugim końcu sofy. Na tyle daleko, by nie dotknęli się nawet przypadkiem. Anne tak pięknie wyglądała, że nie do końca sobie ufał. -Opowiedz mi, jak się udało.

- No więc... - zaczęła, rozpromieniona. Nie widział jej dotąd w tak dobrym humorze. - To było pierwsze publiczne wystąpienie chłopaka Cindy. Nie wydawał mi się szczególnie dobry, ale nie znam się na poezji.

Podobnie jak on. I jak Beth, z którą często śmiali się z tego powodu.

- Był też gitarzysta, naprawdę świetny. A wszystko odbywało się w kawiarence uniwersyteckiej.

Mógł sobie bez trudu wyobrazić Anne w tej koronkowej bluzce. Na pewno przyciągała wszystkie spojrzenia...

- Tak - mruknął. Anne ma oczywiście prawo ubierać się, jak chce, i chodzić, gdzie chce, ale... - Było dużo ludzi?

- Jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób. - Spuściła wzrok. - Nie rozmawiałam ze wszystkimi.

Tylko z kilkoma. Poczul przykry skurcz żołądka. I każdemu z nich się podobała.

- Może zadzwoni tu pewien mężczyzna - ciągnęła, a na jej twarzy pojawił się blady rumieniec - ale to nic pewnego.

- Wyglądałaś tego wieczoru tak pięknie, że na pewno zadzwoni - rzucił ponuro, choć bardzo się starał, żeby jego głos zabrzmiał obojętnie.

- No cóż... - Anne wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w dłonie splecione na podołku. - O to właśnie chodziło.

Oczywiście to nie jego sprawa, jednak na myśl o tym, że jakiś obcy facet miałby do niej dzwonić, zacisnął pięści.

- Można zapytać, jaki przyświecał ci cel? - burknął. Westchnęła, jakby odpowiedź była całkiem oczywista.

- Próbowałam coś zrobić, żeby nie myśleć o tobie.

Ach, to tak. Zanim jednak zdążył zareagować, Anne pochyliła głowę i powiedziała:

- Nie, zapomnij o tym, co mówiłam. - A potem, gdy on wciąż przeżuwał tę wiadomość, spojrzała mu w oczy. - Przepraszam - mruknęła. - To mój problem, nie twój.

Nie, to nieprawda. Nie tylko jej. A choć nie powinno go to cieszyć, że mają wspólny problem, na myśl o tym, że oboje czują to samo, poczul wielką ulgę.

- Mój również - przyznał głośno. - Nie tylko twój.

Zobaczył w jej oczach błysk nadziei, ale potem potrząsnęła głową.

- To nie to samo. Ty nie masz takich snów.

Rafe nigdy nie pamiętał swoich snów, choć Beth budziła go czasami z czegoś, co jej zdaniem wyglądało na senny koszmar.

- Jakich snów?

- Ja tylko... - zawahała się i popatrzyła w kupieniu na swoje ręce, a potem nagle zaczerpnęła tchu i spojrzała mu w oczy. - No, dobrze, powiem ci. Którejś nocy przyśniło mi się, że jestem Beth.

- O Boże! - wyrwało się Rafe'owi.

- To znaczy... coś w tym rodzaju. Byłam z tobą na otwarciu twojego ośrodka i przybijałam tabliczkę na drzwiach.

Pomyślał, że albo widziała to zdjęcie na biurku, albo... siedzi naprzeciwko własnej żony! Żony, która zamierzała go opuścić, ale to już inna sprawa. W tej chwili wołał skupić się na tym śnie, w którym otwierali ośrodek.

- Beth rzeczywiście zrobiła coś takiego - powiedział cicho.

Patrzył jej w oczy i czekał na błysk przypomnienia.

Czekał na próżno. Cud się nie zdarzył. Anne pokręciła przecząco głową.

- Sam widzisz. Beth, a nie ja. Muszę odzyskać własne życie.

Skoro tak, może teraz przyszła pora, by zapytać. Nie brutalnie: „Czy ty nie jesteś przypadkiem Beth?”, ale tak, by delikatnie uruchomić uszkodzony mechanizm jej pamięci.

- A może nie bez powodu śni ci się, że jesteś Beth - zauważył ostrożnie.

Zacisnęła powieki, a na jej twarzy odmalowała się rozpacz.

- Mam ciągle wrażenie, że próbuję przejąć jej życie - powiedziała drżącym głosem. - Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby z tym skończyć. Myślałam, że wystarczy, jeśli przestanę nosić jej ubrania i używać jej kosmetyków.

Jak widać, nie wystarczyło. Patrząc na jej zboloną twarz, Rafe pomyślał, że zrobiłby wszystko, by oszczędzić jej tych bolesnych rozterek.

- Posłuchaj - zaczął łagodnie- może to zabrzmie dziwnie, ale...

- Wiem - przerwała mu, zanim zdążył dokończyć. - Może jakaś częśćka Beth żyje we mnie. Też o tym myślałam.

Boże, jak ona musi się męczyć! Bez względu na to, czy to Beth, czy Anne, trzeba jej pomóc.

- Mamy przecież te same geny - ciągnęła Anne - więc jest w tym jakiś sens. Tak czy inaczej, muszę dokonać pewnych zmian w moim życiu.

Dobrze, skoro tego właśnie potrzebuje. A może zdarzy się cud i Anne odkryje, że jednak jest jego żoną? A jeśli tak, to on tym razem dopilnuje, żeby wszystko było jak należy.

- Jakie zmiany masz na myśli? - zapytał.

- No więc... - zarumieniła się, a jego naszła chęć, by dotknąć choćby jej ręki. Jednak, jeśli to nie jest Beth, lepiej nie budzić licha.

- Jakie zmiany? - powtórzył z uporem. Anne zaczerpnęła tchu.

- Zacznę wychodzić wieczorami. Tak jak dziś. Muszę stłumić w sobie pewne pragnienia. Nie mogę przecież pragnąć... - ugryzła się w

język, żeby nie powiedzieć „ciebie” , po czym dokończyła - nie mogę pragnąć życia Beth.

Ale on i tak wszystkiego się domyślił. Jej wyznanie podziałało na niego jak mocny trunek. Anne pragnie go równie mocno jak on jej! Co mają robić w tej sytuacji? Trzeba to wszystko raz na zawsze rozwiązać, w tę czy w inną stronę. I to już, natychmiast.

- Mogę cię o coś zapytać? - Gdyby można było to sprawdzić, nie wzbudzając jej podejrzeń, wybrałby sposób bardziej taktowny. Niestety, w tej sytuacji pozostawało mu tylko zapytać wprost: - Czy masz bliznę na udzie?

Popatrzyła na swoje spodnie, jakby się dziwiła, skąd mógł wiedzieć, co się pod nimi kryje, ale na jej twarzy nie dostrzegł potwierdzenia, tylko zdumienie.

- Czemu pytasz?

Pomyślał, że jeśli to Beth, to może chciałaby usłyszeć, skąd wzięła się ta blizna. A jeśli nie, on także postara się zapomnieć o tym epizodzie. Dlatego tak ważny jest początek.

- Wiesz co... - zaczął niepewnie. W obliczu bliskiego rozstrzygnięcia był chyba nawet bardziej zdenerwowany niż przed trzema laty, w dniu oświadczeń. - Zróbmy sobie coś do picia, a potem ci opowiem o pewnych świętach Bożego Narodzenia.

W zasadzie powinna odmówić pod byle pozorem, powiedzieć mu dobranoc i pójść do swojego pokoju. Bo z jakiejś niepojętej przyczyny - może z powodu wypitych wcześniej kaw - była bardzo pobudzona i czuła, że będzie jej trudno utrzymać ręce przy sobie.

I nie tylko to. Nie mogła także oderwać wzroku od Rafe'a, a zarazem nie potrafiła odrzucić jego propozycji. A skoro Rafe proponuje, żeby się czegoś napili, musi to znaczyć jedno: że historia, jaką zamierzał jej opowiedzieć, nie będzie krótka.

- Dobrze - zgodziła się, idąc za nim do kuchni. - Ale ja już dziękuję za kawę.

- Może, wobec tego, napijemy się wody z cytryną? - zaproponował, bo zapamiętał, co piła po każdej sesji z Cindy.

- Ja przyniosę - powiedziała. Wzięła cytrynę i ukroiła dwa plasterki, a Rafe napełnił wodą dwie szklanki. - A teraz opowiedz mi tę historię.

Rafe usiadł przy stole i splótł ręce, jakby miał zeznawać przed sądem.

- Jest świąteczny poranek. A my po raz pierwszy wspólnie rozpakowujemy gwiazdkowe prezenty.

Musiał mówić o sobie i Beth, bo jego wcześniejsze święta na pewno nie były warte tego, by o nich wspominać.

- W porządku. - Anne upiła łyk wody. Czowała, że zapowiada się długa opowieść, a ona jest tak rozbudzona, że może go słuchać do rana. Tylko słuchać, oczywiście. Nic więcej. Nieważne, o czym będzie mówił tym swoim niskim, aksamitnym głosem. -

Rozpakowujemy prezenty - powtórzyła.

- Dostałem wtedy cyfrowy aparat fotograficzny. - Głos Rafe'a miał tak magnetyczną moc, że chłoneła każde jego słowo. - Zabraliśmy go ze sobą do Sabino Canyon.

- Na wycieczkę - mruknęła. Beth musiała jej o tym opowiadać, bo nagle przed oczyma stanął jej bardzo wyraźny obraz pustej drogi, prowadzącej przez odludny kanion. -Wiem.

- Zeszliśmy ze szlaku, żeby się trochę rozejrzeć. Robiliśmy zdjęcia, i tak dalej. Wiesz, jak to jest. Wszystko wydaje się takie zabawne, kiedy człowiek jest szczęśliwy.

Tak, to prawda. Chwilami miała nawet wrażenie, że słyszy ich śmiechy i głos Rafe'a mówiącego, że szkoda marnować baterię na zdjęcia takiego faceta jak on.

- W każdym razie - ciągnął, patrząc na nią przenikliwie - kiedy skończyliśmy fotografować, postanowiliśmy zatrzymać się na piknik, bo wzięliśmy z sobą kanapki i wszystkie resztki z kuchni.

Tak Pozostałości ze świątecznego stołu.

- Kawalki indyka i szwajcarskiego sera - powiedziała. Rafe pokiwał głową, a w jego oczach zapaliły się ogniki.

- W aucie miałem koc. Pamiętasz ten stary niebieski wóz? Był w opłakanym stanie.

Rzeczywiście. I samochód, i koc.

- Rozłożyliśmy koc na polance - ciągnął Rafe. - Wokół rosły gęste chaszczki, ale nam to nie przeszkadzało. Ważne było to, że polanka leżała z dala od drogi.

Tak, pamiętała mały skrawek trawy, na którym rozpostarli koc, pamiętała gęste krzaki i błękit nieba nad głową.

- Wokół nie było żywego ducha - powiedziała.

Rafe znów pokiwał głową, nie spuszczając z niej wzroku.

- Więc rozpakowaliśmy kanapki, powoli, bo nam się nie spieszyło. Wydawało nam się, że mamy mnóstwo czasu...

- Tak - wyszeptała. Opowieść Rafe'a była tak wyrazista, tak realistyczna, że niemal czuła, jakby tam z nim wtedy była. Jakby cieszyła się słońcem i tą cudowną chwilą relaksu. A także oczekiwaniem na to, co miało potem nastąpić.

- Byliśmy oboje bardzo podnieceni, pamiętasz? Wokół ani żywego ducha, tylko my dwoje, na łonie natury. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy tam zostać nawet przez cały dzień. No więc, jest cudownie, mamy czas, jesteśmy gotowi, ale zaczynamy się niecierpliwić. Bo chcemy się całować i dotykać, ale przeszkadzają nam ubrania.

Tak, koszula, którą dostał pod choinkę. I jej nowe czarne spodnie. Zawadzają im. A najgorsze są te buty turystyczne.

- Ale nareszcie udało nam się zrzucić z siebie wszystko. Jesteśmy tylko my i koc. Zapomnieliśmy o wszystkim, o niebie i krzakach...

To prawda, bo liczył się tylko ten powolny rytuał zbliżania się do siebie. Ta fala gorąca, która ich z wolna ogarniała. To rosnące napięcie, szczyt rozkoszy i radość spełnienia.

- Tak, zapomnieliśmy o wszystkim - powtórzył Rafe schrypniętym głosem. - W każdym razie ja zapomniałem. A powinienem zauważyć, że leżymy zbyt blisko chaszczy. Że ta stercząca gałąź...

- To było kompletnie nieważne! Rafe urwał i wstrzymał oddech.

- Tak, to było kompletnie nieważne - powtórzył. - Nawet tego nie zauważyłem, pamiętasz?

Zapadła cisza - pulsująca cisza.

- Ale - dorzucił - ale została po tym blizna. Tak, ale to była JEJ piknikowa pamiątka, To... To...

To MOJA pamiątka!!!

MOJA blizna!!!

- Moja piknikowa pamiątka! - Moja, Beth, nie Anne! -Rafe, to znaczy... - Nagle doznała olśnienia i zakreśliło jej się w głowie, a zaraz potem poczuła, że podtrzymują ją jego silne ramiona. - Rafe, to ja!

- Beth! - Jego szept był potwierdzeniem, spełnioną modlitwą o cud. - Wróciłaś do mnie!

Tak, wróciła do niego i snują teraz wspomnienia przy kuchennym stole, który razem kupowali. A w jej duszy niedowierzenie ustępuje miejsca porażającej pewności, że należy do tego mężczyzny. To, rzecz jasna, bez sensu, bo miała być Anne, ale mimo wszystko, kimkolwiek tak naprawdę była, jej miejsce było i jest tutaj, właśnie tutaj. I nigdzie indziej.

- Tu jest moje miejsce - powiedziała. - Nie wiem, jak to się stało, ale...

- Ale żyjesz - wyszeptał, miażdżąc ją w uścisku. - O Boże!
Dzięki ci, Boże! Beth!

To było bardzo dziwne uczucie, usłyszeć z jego ust swoje imię. Brzmiało znajomo i naturalnie, a jednak dziwnie.

- Myślałeś, że jestem Anne. Ja też tak uważałam. - Jak w ogóle mogli tak pomyśleć? - Anne jest w Chicago.

Mięśnie otaczających ją ramion na moment stężały. Wtedy domyśliła się prawdy. Jeszcze zanim zdążył otworzyć usta.

- Nie, poczekaj... To ona zginęła zamiast mnie, prawda? Rafe spuścił głowę.

- Tak mi przykro - odezwał się z westchnieniem. - To straszne, że musisz po raz drugi przeżywać śmierć siostry.

Przez cały ten czas oplakiwała niewłaściwą osobę! Mimo to ból był równie dotkliwy. Podobnie jak uczucie osamotnienia, które prześladowało ją od dłuższego czasu. Straciła przecież ukochaną siostrę, swoją bliźniaczkę. Imię nie miało tu żadnego znaczenia. Natomiast cała reszta zmieniła się, i to diametralnie. Rafe jest jej mężem, a to jej dom. Tu jest jej miejsce, wśród znajomych ubrań, talerzy, które sama sobie wybrała, a także własnych kosmetyków. To jej ulubiony waniliowy szampon i to jej mężczyzna, choć myślała, że należy do jej siostry, i miała wyrzuty sumienia. Mężczyzna, o którym wciąż śniła.

- Rafe - powiedziała cofając się, by móc widzieć jego twarz - tak bardzo za tobą tęskniłam.

Ciemne oczy Rafe'a rozbliły ciepłym światłem.

- Ja też za tobą tęskniłem i wciąż miałem nadzieję, że to ty, Beth, chociaż nie wierzę w cuda.

Powiedział to z tak zabobonnym lękiem, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Musiał ją naprawdę kochać, a ona w ciągu ostatnich tygodni robiła wszystko, by powiększyć dystans pomiędzy nimi. Ale teraz już nigdy więcej nie będzie musiała walczyć sama z sobą. Gdy sobie to

uświadomiła, poczuła się niewymownie szczęśliwa. Rzuciła się Rafe'owi w ramiona i bez reszty poddała się temu błogiemu uczuciu.

To było właśnie to, o czym marzyła. Może nie do końca, bo już nigdy nie zobaczy siostry, ale za to ten mężczyzna już zawsze będzie u jej boku. Bo do siebie należą. Tu i teraz.

- Myślę - zaczęła stłumionym głosem - że powinniśmy sprawdzić, czy moja piknikowa pamiątka nadal jest na swoim miejscu.

Rafe spojrział na nią zamglonym wzrokiem, a na jego ustach pojawił się zmysłowy uśmiech.

- Świetny pomysł.

Owszem, i nareszcie będzie mogła spać we własnym, małżeńskim łóżku. A nie w gościnnym pokoju, gdzie spędzała samotne noce. Oczywiście, o ile zdołają pokonać długi korytarz prowadzący do sypialni, co wcale nie było takie pewne...

Rafe nie miał takich wątpliwości, bo chwycił ją na ręce i ruszył w stronę sypialni.

W pewnym momencie zawahał się jednak i przystanął.

- Jest pewien problem - mruknął. - Nie mogę... To znaczy, nie możemy, póki nie mamy pewności, że to bezpieczne.

Co takiego? Przekręciła się w jego ramionach i zajrzała mu w twarz. Chciała z niej wyczytać, co miał na myśli.

- Dziecko - powiedział, spoglądając jej obiecująco w oczy. - Beth, jestem gotowy, jak tylko się dowiem, że jesteś już zdrowa. Powinienem zapytać Cindy, czy nie ma przeciwwskazań, żebyś zaszła w ciążę...

- Mówisz serio? - Jeżeli istnieje coś takiego jak noc cudów, to musi być właśnie to. Mając kompletną rodzinę, już nigdy nie będzie samotna. - Rafe, naprawdę dojrzałeś do tego, żeby mieć dziecko?

- Jak tylko usłyszę, że to bezpieczne - powtórzył. Przygarnął ją mocniej do piersi i znów ruszył w stronę sypialni. - Choćby jutro rano, o ile uda nam się dodzwonić do doktora Sibleya. A tej nocy będę cię po prostu trzymał w ramionach.

Nie, to nie wystarczy. Nie tej nocy, gdy zdarzyło się tyle cudów.

- Nie - zaprotestowała, kiedy przenosił ją przez próg sypialni. - Jestem zabezpieczona. Moje pigułki są... Och, nie!

Przez te ostatnie tygodnie nawet nie myślała o czymś takim jak antykoncepcja. Ale przecież Rafe prowadził pogadanki na temat bezpiecznego seksu w swoim ośrodku.

- Nie masz prezerwatyw? - zapytała, oblewając się rumieńcem.

- Niestety, nie - powiedział, kładąc ją ostrożnie na łóżku. - Dawniej trzymałem je w samochodzie, ale...

- W moim samochodzie! - Beth usiadła i oczy jej się zaświeciły. - Tak, w skrytce na mapy. Widziałam je któregoś dnia. Jedno z tych opakowań, które rozdawałeś w ośrodku.

- Naprawdę? - rzucił przytłumionym głosem, który wzbudził w niej dreszcz podniecenia. - Zaraz wracam. I Beth... - Położył jej na moment ręce na ramionach, a potem cofnął je nagle, jakby się oparzył. - Nie ruszaj się!

A jednak się poruszyła. Po powrocie Rafe przekonał się, że choć wyszedł zaledwie na minutę, Beth zdążyła już rozpuścić włosy i zdjąć z siebie wszystko, prócz białej koronkowej bluzki. To wystarczyło, by

zabrakło mu tchu. Ale to jeszcze nie koniec. Zgasiła również lampę w sypialni i zapaliła na komódce kilka świeczek, więc pokój zatonął w migocącej poświacie.

Gdy stanął w progu, oderwała wzrok od kolejnej zapalanej świecy i spojrzała na niego przeciągle. Wtedy poczuł przepływający między nimi strumień energii. Przez moment stali oboje bez ruchu, patrzyli na siebie, a potem Beth oblała się rumieńcem.

Rafe wsunął pakiecik do kieszeni. Nie spuszczał z niej wzroku. Co za niesamowita kobieta! Patrzyła na niego tak nieśmiało, a zarazem tak ciepło i zachęcająco. Jej intencje były aż nadto wyraźne. I bardzo mile widziane.

- Poruszyłaś się - stwierdził.

Jeszcze bardziej poczerwieniała i trzęsącymi się rękami odłożyła ostatnią, niezapaloną świeczkę.

- Chciałam, żeby było... nadzwyczajnie.

I było nadzwyczajnie. A i ona także była nadzwyczajna.

- Jesteś cudowna - powiedział cicho.

Przeszedł przez pokój i pogłaskał ją po karku. Marzył o tym od dłuższego czasu. Te ostatnie tygodnie, podczas których starał się trzymać od niej z daleka, wydawały mu się niemal wiecznością. Ale teraz, kiedy wszystko się odmieniło, nie musiał się już spieszyć. Niech ta chwila trwa jak najdłużej. I niech im będzie jak najlepiej.

Beth przytuliła się do niego, drżąc z rozkoszy, ale potem odsunęła się i sięgnęła po zapalki.

- Wydaje mi się, że mieliśmy te świece od zawsze - wyszeptała. Widać było, że jest zdenerwowana. - Może czas je wreszcie zużyć.

Serce Rafe'a napełniło się tkliwą czułością.

- Nie spiesz się - poprosił cicho. Cofnął się i patrzył, jak zapala ostatnią świeczkę. - Mamy mnóstwo czasu.

- Myślę, że tak - odparła z nieśmiałym uśmiechem.

- Pomóc ci? - zapytał, widząc, że drżą jej ręce. Wziął od niej zapalki i zapalił ostatnią świecę.

Co za kobieta! Patrzył z zachwytem na Beth. Nie tylko w ciągu minuty przekształciła ich sypialnię w magiczne miejsce, ale i sama wyglądała zjawiskowo w tej koronkowej, nieznannej mu bluzce.

- Jesteś wspaniała, wiesz o tym?

Nie patrząc mu w oczy, powiedziała cicho:

- Mam wrażenie, jakby to był znów nasz pierwszy raz. A wtedy, pamiętasz, bałeś się, że sprawisz mi ból. Więc niech tym razem będzie... lepiej.

- Ach, Beth - wyszeptał i położył jej ręce na ramionach, żeby ją pocałować.

Tylko raz, powiedział sobie, gdy uniosła ku niemu twarz. Tylko jeden krótki pocałunek - a jednak zdawał się trwać wiecznie. Poczuł, jak Beth topnieje w jego ramionach, jak stapiają się w jedno, i przyciągnął ją gwałtownie do piersi.

Tak, Beth, tak!

Muskał ustami jej wargi, a ona drżała w jego uścisku. Żeby się nie rozpraszać, zamknął oczy i sycił pozostałe zmysły jej bliskością.

Zalała go fala czułości, ciepła i szczęścia. Na ten moment czekał przez całe życie. I na Beth.

- Beth - wyszeptał, delektując się tym dźwiękiem - Nigdy dotąd nie było nam tak cudownie.

Mruknęła zachęcająco i przytuliła się jeszcze mocniej, podsycając ogień, który już w nich płonął. Pomyślał, że tego właśnie pragnął, za tym tęsknił. I szkoda mu nawet było czasu na to, by dojść do łóżka. Był tak podniecony, że chciał ją mieć tu i teraz, a te dwa metry, to o wiele za daleko.

- O tak - wyszeptała z ustami przy jego piersi i ten cichy szept sprawił, że przestał nad sobą panować.

Niezdarnymi palcami zaczął zdejmować z niej bluzkę. Owładnięta tym samym pragnieniem, zaczęła mu pomagać i już po chwili koronki zsunęły się na podłogę.

Potem Rafe położył Beth na podłodze i podsunął pod nią kłęb zdjętych ubrań.

- Teraz! - wydyszał, gdy uniosła biodra, by wyjść mu naprzeciw.

Czuł, że pragnie go równie mocno jak on jej, ale to wszystko działo się tak szybko! Zbyt szybko! Powinien zwolnić, powinien przedłużyć tę chwilę, ale nie potrafił już nad sobą zapanować.

Jak mógłby zadać gwałt swoim pragnieniom, gdy Beth tak go do siebie tuliła, tak zapraszała. A była przy tym znacznie gorętsza i słodsza, niż zapamiętał.

Nie, on nie może teraz przestać! Nie teraz, gdy jego palący dotyk podsycza w niej ogień. Gdy jego język, usta i ręce z taką wprawą wynoszą ją na szczyty rozkoszy. Może innym razem będzie potrafiła

czekać i znajdować w tym swoistą przyjemność, ale teraz chciała już tylko, by wszedł w nią, spragniony i rozpalony, i wypełnił ją aż po brzegi swoją namiętnością.

Teraz!

Tak! Tak!

- Tak! - wykrzyknęła ponownie i wtedy stopili się w jedno, a świat wokół przestał istnieć. - O tak, Rafe! Tak! Tak!

W tej samej chwili Rafe krzyknął chrapliwie, a jego ciałem zaczęły wstrząsać spazmatyczne dreszcze. Przygarnęła go mocno do siebie, tak jakby nigdy nie chciała się z nim rozłączyć.

- Nie odchodź - wyszeptała.

Rafe przyciągnął ją bliżej, by mogła wtulić głowę w zagłębienie jego ramienia.

- Beth. - Głos miał schrypnięty, przepojony uczuciem. -Moja Beth...

Wtedy pojęła, że nareszcie odsłonił przed nią tę stronę swojej duszy, którą skrzętnie przed wszystkimi ukrywał. Wrażliwą, delikatną i bezbronną...

Wtulona w niego pomyślała, że należą do siebie i zawsze należeli. Tak jak teraz... Choć, może niezupełnie. Nie na podłodze, kiedy pod ręką jest takie wygodne łóżko.

Jednak, żeby się do niego dostać, trzeba by wstać i zrobić kilka kroków, a na to żadne z nich nie miało w tej chwili ani siły, ani ochoty.

Zamiast tego wtuliła się w ciepłe ciało Rafe'a i czule ucałowała jedyne miejsce, do jakiego mogła dosięgnąć, czyli słoną od potu pierś, w której biło jego serce.

- Słodkich snów - wyszeptała.

RS

Rozdział 7

- Obudź się - usłyszała głos Rafe'a, a wraz z nim napłynął kuszący aromat kawy. - Jeżeli w tej chwili nie usiądziesz, wracam do łóżka. To może być niebezpieczne, bo w nocy zużyliśmy wszystkie prezerwatywy.

Rzeczywiście, przypomniała sobie na wpół śpiąca, próbując zrozumieć sens jego słów. Dobrze, spróbuje usiąść, ale to taki wysiłek! Jeśli skoncentruje się na jego głosie... Nie, lepiej nie, bo od razu ma ochotę zaprosić go do łóżka. Może powinna pomyśleć o kawie.

- Dobrze - mruknęła i uniosła się lekko, by mógł jej podsunąć poduszki pod plecy. A potem, po raz pierwszy tego ranka, spojrzała uważnie na Rafe'a.

Wyglądał wprost fantastycznie. Mimo cienia zarostu na brodzie i policzkach, mimo potarganych włosów wręcz prosił, by na niego popatrzeć. Na sobie miał tylko dżinsy, a kiedy się odwrócił, by wziąć kawę ze stolika, zobaczyła ciemne kędziory na karku, wyrobione mięśnie pleców i wyblakły tatuaż na lewym ramieniu - dawny znak przynależności do gangu.

Tatuaż, którego chciał się pozbyć, kiedy będą na to pieniądze.

- Jesteś taki przystojny - powiedziała. Rafe spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Powiniennem dać ci trochę dłużej pospać - zauważył, wręczając jej kubek kawy. - Nie należy wierzyć własnym oczom zbyt wcześnie rano.

Może nie, wierzyła jednak własnemu sercu. Przesunęła się na łóżku, żeby zrobić miejsce dla Rafe'a, a on usiadł obok niej i westchnął z zadowoleniem.

- To nasz pierwszy wspólny poranek. Albo coś w tym rodzaju - powiedziała.

- Tak, pierwszy. - Upił łyk kawy, odstawił kubek i pogłaskał Beth po policzku. - Podobają mi się twoje włosy. Wyglądasz jeszcze ładniej niż przedtem.

Pomyślała, że nie oglądał jeszcze jej nowej fryzury ze świadomością, że to jej fryzura.

- Zmieniłam swój styl, kiedy byliśmy z Anne w Kalifornii - wyjaśniła. - Chociaż teraz myślę, że to był bardzo zły pomysł. Gdybym tego nie zrobiła, wiedziałbyś od razu, że to ja.

- Tak czy owak, chciałem, żebyś to była ty - trzeźwo stwierdził Rafe. - Mówiłem sobie, że nie mam prawa żywić jakiegokolwiek nadziei, ale wciąż nie mogłem tak do końca uwierzyć, że już cię nie ma.

Na myśl o tym, ile bliskich osób utracił, Beth zalała falą współczucia.

- Rafe, tak mi przykro, że musiałeś przez to wszystko przejść - powiedziała.

Rafe wziął od niej kubek i odstawił na stolik, a potem zamknął jej dłonie w swoich dłoniach.

- Do końca życia nie będę miał prawa na nic się skarżyć. Kiedy Bóg sprawia taki cud, wszystko inne przestaje się liczyć.

Może i tak? Nigdy nie myślała o tym w ten sposób.

- Gdybym jeszcze narzekał, byłoby to lekceważenie najwspanialszego daru, jaki dostałem od losu. Dlatego nie będę obarczał nikogo winą za to, że dokonano błędnej identyfikacji. Poza tym nie miałaś obrączki...

Więc nie wiedział, że zostawiła ją w domu! Był tak wdzięczny za cud, jakim był jej powrót, że gotów był zapomnieć o całej reszcie.

Pomyślała z przykrością, że będzie musiała mu o wszystkim powiedzieć. Zwłaszcza że znów chciała poczuć na palcu obrączkę. I to już, w tej chwili, bo teraz, gdy odzyskała męża, obrączka ta znów stała się symbolem ich związku.

- Poczekaj chwileczkę - powiedziała. Wstała z łóżka, podeszła do komódki i ze szkatułki na biżuterię wyjęła obrączkę. - Włóż mi ją na palec - zwróciła się do Rafe'a.

- To mi wygląda na...

- Bo tak jest - zawahała się, a potem pomyślała, że prawda zawsze jest lepsza od kłamstwa. - Zostawiłam ją w domu, kiedy wyjeżdżałam na wakacje z Anne. Widziałeś tę listę za i przeciw? - Jakże teraz żałowała, że ją sporządziła. - Rafe, ja już tak nie myślę. Chcę być z tobą.

Rafe patrzył na nią przez chwilę, a potem bez słowa wyciągnął rękę.

Z westchnieniem ulgi podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona.

- Ja też chcę, żebyś ze mną była - wyszeptał. Czowała jego gorący oddech, gdy wsuwał jej na palec obrączkę. - Na tej liście pisałaś, że czujesz się samotna, ale nie było to nigdy moim zamiarem.

Przysięgam ci, że od dziś będzie inaczej.

Inaczej, to prawda. Nagle poczuła, że znów budzi się w niej pożądanie. Ta rozmowa była jednak zbyt ważna, żeby się teraz rozpraszać.

- Przysięgam - powtórzył Rafe, patrząc jej w oczy. - Tym razem będzie lepiej. Już ja o to zadbam.

- Już to zrobiłeś. - Beth podniosła z podłogi jego koszulę i narzuciła ją na siebie, po czym podjęła temat. - Skoro chcesz mieć dziecko, to znaczy, że stawiasz naszą rodzinę na pierwszym miejscu. - Jeszcze dziś dowie się, czy wolno jej już teraz zająć w ciążę, czy będą musieli poczekać jeszcze kilka miesięcy, ale tak czy inaczej odstawi pigułki.

Rafe musiał czytać w jej myślach, bo bez wahania oświadczył:

- Chcę, żebyś miała wszystko, czego tylko zapragniesz.

Naprawdę - dorzucił, po czym przypieczętował to pocałunkiem.

Wierzyła mu, ale nie mógł jej dać wszystkiego, czego pragnęła.

- Chciałabym, żeby Anne była z nami - powiedziała łamiącym się głosem.

- Ja też bym tego chciał.

Serce na moment zamarło jej w piersi i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że źle go zrozumiała. Że Rafe nie chciał, by Anne właśnie w tej chwili wkroczyła do ich sypialni, tylko pragnął, by odzyskała siostrę.

A jednak tej nocy, kiedy sądził, że ona to Anne, patrzył na nią w taki sposób... Nie, lepiej teraz o tym nie myśleć.

- Muszę się jeszcze raz pożegnać. - Sięgnęła po kubek z kawą. - Przez cały ten czas, kiedy opłakiwałam siostrę, opłakiwałam samą siebie. - Teraz jednak wspomnienie Anne było tak wyraźne i żywe, że poczuła się, jakby ponownie utraciła swoją drugą połowę. - Tym razem zaniósę kwiaty właściwej osobie.

- Oczywiście - zgodził się Rafe. - Pojedziemy, kiedy tylko zechcesz. - Nagle zawahał się. - Z wyjątkiem dzisiejszego popołudnia. Muszę odrobić zaległości. Chyba że uda mi się namówić któregoś ze stażystów...

- Nie, nie ma sprawy - przerwała mu Beth. Nie mogła przecież wymagać od niego, żeby zrezygnował ze spotkań, na które poumawiał się, kiedy nie wiedział, że ona żyje. A jego przeprasający wzrok świadczył o tym, że zamierzał wszystko zmienić. - Mogę pojechać sama. Myślę, że z czasem nie będzie to już takie bolesne.

Rafe patrzył na nią przez chwilę pociemniałymi oczyma, a potem skinął głową.

- Tak, z czasem jest lepiej.

- Wiesz to z własnego doświadczenia, prawda? - Pamiętała, że stracił znacznie więcej bliskich niż ona. Najpierw, kolejno, całą swoją rodzinę, potem przyjaciela, którego uważał za brata, a na koniec dziewczynę, której oddał serce. - Straciłeś nie tylko rodziców, ale wszystkich...

- Tak... - przerwał jej, zanim zdążyła dokończyć - ale dużo się dzięki temu nauczyłem. Stałem się silniejszy - dodał jakby od niechcienia.

- To prawda - przyznała. - Była to pierwsza rzecz, jaka zwróciła moją uwagę, kiedy się poznaliśmy. Zawsze byłeś taki stanowczy, a zarazem opiekuńczy.

Rafe wzruszył ramionami.

- Człowiek musi być twardy, jeżeli chce przeżyć - powiedział, wstając.

Tam, gdzie dorastał, wśród rywalizujących z sobą gangów, pewnie tak, ale przecież nie tutaj. On jednak nadal był spięty, jakby niebezpieczeństwo wciąż czaiło się gdzieś w pobliżu.

- Nie musisz już być taki - powiedziała. - Twoje życie się zmieniło.

Gdy nachylił się i zaczął zbierać z podłogi porzucane ubrania, wyskoczyła z łóżka, żeby mu pomóc. Swoje rzeczy z pokoju gościnnego przeniesie później. Teraz najważniejsze jest to, by mu dotrzymać towarzystwa. Spróbuje przy tym nie myśleć o Anne. Przynajmniej na razie. Schyliła się, podniosła koronkową bluzkę i sięgnęła do szafy po wieszak.

- Ale jako dzieciak... - ciągnęła temat, bo w tej chwili liczył się tylko Rafe - już wtedy grałeś twardziela, prawda?

Rafe wrzucił do kosza brudną bieliznę, po czym odwrócił się.

- Tak jak teraz Oscar. Tylko że jemu potrzebna jest do tego broń - dorzucił ze smutnym uśmiechem.

- A tobie nie.

Przez chwilę nie odpowiadał, a kiedy odwróciła się od szafy, sprzątał kubki ze stolika.

- Zajęło mi to trochę czasu, żeby to zrozumieć - powiedział. - Jeżeli potrzebuje się noża, żeby mieć poczucie siły, jest to objaw słabości. Troska o innych - w tym tkwi prawdziwa siła.

- Jesteś najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam - wyznała Beth. Oparła się o jego ramię i podała mu usta do pocałunku. - Już pierwszego dnia, w tym schronisku dla bezdomnych, powiedziałam moim przyjaciółom, że jesteś jak rycerz w lśniącej zbroi, który chce ocalić świat przed złem.

Rafe uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- W tej chwili tylko przed zimną kawą.

Miał rację. Pewnie przyszła pora, by rozpocząć nowy dzień. Byłoby jednak cudownie, gdyby mogli każdy poranek zaczynać od takich rozmów. Niestety, wystarczył jeden rzut oka na zegarek, by im uświadomić, że są bardzo spóźnieni.

- Mam sesję z Cindy - zaczęła Beth, zastanawiając się, ile czasu zajmie im prysznic i ubranie się. Nagle sobie uświadomiła, że już nie musi korzystać z łazienki dla gości, i wtedy do niej dotarło, że Cindy nie wie jeszcze o zmianie tożsamości swojej pacjentki. - Ona nie wie, kim jestem!

- Ty to ty, i już.

- No tak, ale tyle rzeczy trzeba będzie odkręcić. - Mieszkanie siostry, firma, nagrobek na cmentarzu... Liczba spraw do załatwienia zdawała się ją przytłaczać.

Rafe musiał się tego domyślić, bo objął ją i mocno przytulił.

- Beth - powiedział. - Wszystko będzie dobrze. Nie musisz się tym przejmować.

W jego głosie zabrzmiał taki spokój, że niemal czuła, jak rozluźniają się jej napięte nerwy. Spojrzała na Rafe'a, zastanawiając się, jak mógł składać takie obietnice, i zobaczyła, że patrzy na nią z tą samą niezmaconą pewnością siebie, w jakiej się zakochała, kiedy się poznali.

- Nie zapominaj - wyszeptał - że masz swojego rycerza w lśniącej zbroi.

Rycerz w lśniącej zbroi nie pozwoli na to, żeby coś stanęło mu na drodze.

Ani morze papierkowych formalności, ani urzędnicza niechęć, ani tabuny niedowiarków żądających dowodów na to, że Anne Farrell to w rzeczywistości Beth Montoya.

Jego misją jest chronić Beth oraz podopiecznych ośrodka. Zwłaszcza że zaostrzający się konflikt pomiędzy Wilkami i Jastrzębiami oznaczał większe zagrożenie dla młodzieży. A świadomość, że ma pełne poparcie Beth, dodawała mu jeszcze otuchy.

Beth dbała o niego znacznie bardziej niż wtedy, gdy oboje sądzili, że jest Anne.

- Za dużo pracujesz - powiedziała z wyrzutem, kiedy po raz drugi z rzędu wrócił późną nocą i zastał ją w łóżku. - Rafe, zdaję sobie sprawę z tego, jakie to ważne, ale nie możesz się tak bardzo forsować.

- Nic mi nie będzie - zapewnił ją z przekonaniem. - O mnie się nie martw. Masz teraz tyle spraw na głowie. Choćby to zawiadamianie znajomych, że jednak żyjesz...

Jej pobłażliwy uśmiech utwierdził go w przekonaniu, że wszystko nadal jest w porządku, i że jego późne powroty nie są już dla niej takim problemem jak dawniej, przed wypadkiem.

- Powiem ci, że to nawet zabawne - stwierdziła, kiedy kładł kluczyki na komódce. - Wszyscy mi mówią, jak bardzo im mnie brakowało. W piątek jestem umówiona na lunch z moją koleżanką ze studiów. A Henry uważa, że powinnam objąć stanowisko Anne.

Nagle ogarnął go dziwny niepokój. Może zresztą denerwował się niepotrzebnie. Przeprosiła go przecież za tę nieszczęsną listę „za i przeciw”. Mimo to wciąż tkwił w nim podświadomy lęk, że Beth mogłaby go opuścić.

- W Chicago? - rzucił z udaną obojętnością.

- Nie, mogłabym stąd kierować firmą - odparła głosem podejrzenie zaspanym, choć zapalona lampka oraz otwarta książka sugerowały, że czytała w łóżku. - Podoba mi się myśl, że mogłabym zrobić coś dla niej, bo to przecież Anne rozkręciła tę firmę.

- Oczywiście - przyznał z ulgą. W ostatnich dniach był świadkiem jej rozpaczki, ilekroć wspominała Anne, i uważał, że to okropne, iż przyszło jej po raz drugi opłakiwać siostrę. - Rób, co chcesz, byleś poczuła się lepiej.

Ziewnęła ukradkiem. Czyżby jednak spała przed jego przyjściem?

- Nie wiem, czy to w ogóle możliwe - stwierdziła - ale to był miły pomysł. - Mimo to powiedziałam Henryemu, że raczej nie mogę, bo wkrótce będę zbyt zajęta. W końcu, przygotowanie się do narodzin dziecka wymaga wiele czasu.

Dziecko. Słusznie. Musi znaleźć czas na dziecko. Musi zrobić wszystko, żeby udowodnić Beth, jak wiele dla niego znaczy.

- Jeszcze przez osiem tygodni będziesz miała spokój - powiedział. - Pamiętaj, co mówił lekarz? Że najpierw musisz oczyścić swój organizm z lekarstw.

- Wiem, ale osiem tygodni to tyle co nic. - Wsunęła się pod kołdrę, potwierdzając jego przypuszczenia, że zapaliła lampkę tylko dla niego. - A przy okazji, w kuchni czeka na ciebie pieczeń - mruknęła sennie. - Możesz ją sobie podgrzać, jeśli jesteś głodny. I jeszcze raz powtarzam, nie chcę, żebyś się tak przemęczał.

Rycerze nigdy nie są przemęczeni, myślał sześć godzin później, jadąc jeszcze przed świtem do swojego ośrodka. Muszą wciąż chronić innych ludzi, i w tym tkwi źródło ich siły. Ludzi takich jak Beth, która naprawdę zasługuje na wszystko, co tylko jest w stanie jej ofiarować.

Takich jak kuzyn Chola, Billy, których system prawny z góry dyskryminuje.

Takich jak Oscar, który wciąż dopytuje się, czy nie trzeba czegoś naprawić w ośrodku. Co może znaczyć tylko jedno: że chłopak rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy.

To zresztą dobrze, bo będzie miał dla niego zajęcie. Zleci mu odszukanie uczestników zabawy, w trakcie której dokonano zabójstwa. Jeżeli znajdą choćby jednego świadka, zanim sprawa trafi na wokandę, może uda mu się zapobiec kolejnemu starciu pomiędzy gangami.

A im szybciej upora się z tą sprawą, tym prędzej będzie mógł się poświęcić Beth. Właśnie dlatego umówił się z Oscarem już tego

ranka, bladym świtem. Żeby sporządzić listę nazwisk i przygotować plan działania, zanim w ośrodku zacznie się ruch.

- Posłuchaj - zaczął, otwierając drzwi wejściowe - doceniam to, że chcesz mi pomóc. - Gdy wręczył mu przygotowany zawczasu dziesięciodolarowy banknot, na twarzy chłopaka odmalowała się ulga.

- Myślę, że to nie będzie zbyt czasochłonne.

- Nie ma problemu.

Chyba jednak musiał być jakiś problem, skoro chłopak tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy. Może przyczyną są narkotyki, może bieda w domu, ale cokolwiek to było, na pewno da się załatwić. Zanim jednak zadzwoni do pracownika socjalnego, sam spróbuje wybadać grunt.

- Powiedz mi, Oscar, co to za dziewczyna? - rzucił od niechcienia.

Chłopak stropił się.

- Bianca - odpowiedział tonem pełnym szacunku. - W przyszłym tygodniu ma urodziny.

- Aha. - Więc już pierwszy strzał okazał się celny. - Rozumiem.

- Ona jest... - Chłopak urwał, jakby zdał sobie sprawę, że nie sposób opisać jej słowami. - Ona jest fantastyczna.

Tak, te same objawy, pomyślał Rafe. Chłopak jest na najlepszej drodze do tego, by się zakochać ślepo i bezkrytycznie. Jak on sam przed laty w Rose Moreno. Zanim na własnej skórze nie doświadczył bolesnej prawdy, że nie można być pewnym nikogo oprócz siebie.

- Tylko spokojnie, chłopcze, dobrze? - rzucił z udaną obojętnością, otwierając szafkę z dokumentacją. - Nawet gdyby odeszła, to jeszcze nie koniec świata.

- Na pewno nie odejdziesz. - Oscar wziął listę potencjalnych świadków i wycelował w Rafe'a ołówkiem. - Jej mama pracuje w szpitalu i nie zamierzają nigdzie odchodzić.

Można jednak odejść w inny sposób. Można się znudzić. Można umrzeć. Można mieć dosyć tego, że ktoś ciągle cię potrzebuje.

- Dobrze już, dobrze. - Rafe rozłożył papiery na biurku. - Nie przejmuj się tak bardzo, bo wszystko może się jeszcze zmienić.

- Wiem. Weźmy choćby powrót twojej żony. Jezu, takie rzeczy ogląda się w kinie!

Chyba rzeczywiście. Triumfalny powrót przy akompaniamencie rzewnej muzyki. Kamera dyskretnie zatrzymuje się na drzwiach sypialni i na ekranie pojawia się tytuł. Białe litery krzyczą „Koniec”, a potem napis przekształca się w „Początek”.

- Masz rację - powiedział i dotknął schowanego w kieszeni medalika. - Nowe początki, i tak dalej. - Chwilami rzeczywiście miał uczucie, jakby zaczynał zupełnie nowe życie z nową żoną. Żoną, która rozumie, jak ważna jest jego praca, mimo iż starał się ukrywać przed nią jej mroczniejsze aspekty. Sama mu to przecież powiedziała. A on wciąż z radością powracał do tego w myślach.

„Powinnam ci powiedzieć to wcześniej, ale naprawdę podziwiam cię za to, co robisz”.

„Wystarczy, że zadzwonisz. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc”.

„Zostań tak długo, jak będziesz musiał. Tacy ludzie jak ty zmieniają świat, i tylko to się liczy”.

- Żona bardzo się zmieniła od czasu tego wypadku - powiedział Oscarowi, po czym spojrzął na listę świadków. -Nareszcie uwierzyła w sens tego, co tu robię.

Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy się poznali, gdy bez wahania wsparła go w jego misji. A on uznał, że projektowanie lalek oraz jego ośrodek zajmą im tyle czasu, że przez następne cztery czy pięć lat nie będzie mowy o powiększeniu rodziny...

Plany mają jednak to do siebie, że można je czasami zmienić. Więc jeżeli Beth chce już teraz mieć dziecko - a chce, i to bardzo - uszanuje jej pragnienie, tak jak ona szanowała jego marzenia.

- Bianca jest dokładnie taka sama - oświadczył Oscar. -Uważa, że wszystko co robię, jest świetne.

Nic dziwnego, że chłopak potrzebował pieniędzy, skoro miał taką dziewczynę. Miło też było na odmianę usłyszeć, że pociąga go coś innego, a nie tylko Wilki.

- Co planujesz na jej urodziny?

- Ona lubi kwiaty. Dam jej bukiet z samego rana. Będzie myślała, że to już wszystko, tymczasem resztę dostanie wieczorem. A może nawet po południu, jeśli wszystko się uda. W każdym razie będzie mnóstwo kwiatów.

Typowe rozumowanie zakochanego...

- Tak, to już jakiś plan - przyznał Rafe.

W sumie, całkiem niezły. Może i on da dziś Beth kwiaty, bez względu na to, do której zostanie w pracy. Szczerze mówiąc,

podejrzewał, że wróci do domu jeszcze później niż zwykle, bo miał nadzieję namówić Vicente'a z gangu Jastrzębi, żeby wpadł na rozmowę do ośrodka.

Tak, to dobry pomysł z tymi kwiatami. Dobrze wiedzieć, że ma poparcie Beth. Ale to nie znaczy jeszcze, że mu się ono należy.

Nie, od dziś wszystko się zmieni. Od dziś będzie robił, co tylko się da, żeby ją przekonać o swojej miłości. Ofiaruje jej wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła. Kwiaty, dziecko, czego tylko zapagnie... Nie może przecież utracić jej po raz drugi.

Beth wróciła z poczty, gdzie odebrała przesyłki z Chicago. Chcąc ją przekonać, jakie to ważne, by firma pozostała w rękach rodziny, Henry przysłał jej wszystko, co tylko mógł. Dlatego wydawanie przesyłki trwało bardzo długo. W tym czasie Rafe zadzwonił do domu i nagrał wiadomość, że wróci późno. Przepraszał ją za to gorąco i namawiał, żeby położyła się wcześniej, nie czekając na jego powrót. „Nie jesteś jeszcze w najlepszej formie i powinnaś się porządnie wysypiać”.

Dobrze. W porządku. Może z nim żyć, nawet jeśli będzie wracał bardzo późno. Zresztą, już mu to wcześniej powiedziała. Ale sześć nocy w tygodniu to chyba lekka przesada.

Rafe wytłumaczył jej oczywiście, że w sytuacji, gdy Wilki i Jastrzębie prowadzą z sobą wojnę, jedynym wyjściem było prowadzenie odrębnych negocjacji z szefami obu gangów. A w chwili obecnej on był jedyną osobą, która miała kontakty z obiema stronami.

To całkiem zrozumiałe. To bez wątpienia ważna misja i ona nie ma prawa narzekać. Tym bardziej że wreszcie dostrzegła, jak Rafe

Montoya zmienia świat. Wprawdzie oczyma Anne, ale jednak dostrzegła.

Zauważyła także uwielbienie w oczach Rafe'a, gdy patrzył na tę pewną siebie, samodzielną kobietę, którą uważał za Anne.

Ją także stać na pewną niezależność i zrobi z niej jak najlepszy użytek. Przede wszystkim zajmie się firmą, póki nie znajdą kogoś, kto będzie mógł objąć stanowisko Anne w Chicago. Nie będzie marnować życia, czekając, aż mąż wróci z pracy, by mogli odbudować ich związek i przywrócić dawną intymność.

Niestety, na odbudowanie związku i przywrócenie intymności potrzeba dużo czasu. Nie da się tego zrobić, jeśli małżonkowie nie widują się całymi dniami. Powiedziała to Rafe'owi następnego wieczoru, gdy po powrocie do domu położył na jej biurku największy bukiet róż, jaki w życiu widziała.

- Jakie piękne, dziękuję, ale wolałabym ciebie zamiast róż.

- Jutro - obiecał. Podszedł od tyłu, by pocałować ją w czubek głowy, i położył jej ręce na ramionach. - Jutro wrócę wcześniej. I albo się gdzieś wybierzemy, albo zostaniemy w domu. To już będzie zależało od ciebie.

Gdyby to od niej zależało, mieliby dla siebie znacznie więcej czasu, żeby odbudować poczucie bliskości, jakiej doświadczyli tego ranka, gdy Rafe po raz drugi włożył jej na palec ślubną obrączkę.

- Zostaniemy w domu - zdecydowała szybko. - I zjemy razem kolację. Nie będziesz musiał niczego odgrzewać w mikrofalówce.

Rafe zaczął delikatnie rozmasowywać napięte mięśnie jej karku.

- Nie musisz gotować co wieczór - powiedział niepewnym tonem. - Masz dość innych obowiązków. Przejęłaś pracę Anne i jeszcze projektujesz nowe lalki.

- Firmą zajmuję się tylko tymczasowo - przypomniała mu, prostując się na krześle tak, by mógł pomasażować również jej plecy. - Rozmawiałam z Henrym. Powiedział mi, że ma już kilku kandydatów na miejsce Anne.

- Ale nie sprzedawaj się zbyt tanio - poradził Rafe. - Masz lepszą głowę do interesów, niż ci się wydaje.

Musiał mieć na myśli jej działalność z ostatnich tygodni, a nie wrodzone umiejętności.

- Prawdę mówiąc, to nie była moja głowa do interesów - stwierdziła. - Ja tylko robiłam to, co, według mnie zrobiłaby Anne.

- Przecież imię nie ma tu najmniejszego znaczenia. Nadal jesteś tą samą osobą.

Niestety, nie była tą samą osobą, która już w szkole potrafiła w mgnieniu oka ogarnąć wszystko swoim umysłem, budząc powszechny podziw. Osobą, która umiała z każdym rozmawiać na każdy temat, i zawsze była w centrum uwagi. Ani osobą, której uśmiech wystarczył, by męskie oczy lśniły z zachwytu.

Jednak, chociaż Rafe patrzył na Anne w taki właśnie sposób, to ją, Beth, pokochał i z nią się ożenił. To ją chciał uczynić matką swoich dzieci, to jej przynosił kwiaty, to jej potrzebował.

Musi o tym pamiętać. Uścisnęła go, po czym sięgnęła po różę.

- Dziękuję za kwiaty. Wstawię je do wazonu, a potem wyjmę twoją kolację z piekarnika.

Rafe odsunął się, a ona wstała, żeby pójść do kuchni.

- Nie musisz zostawiać mi kolacji - zauważył - zwłaszcza kiedy wracam tak późno. To naprawdę niepotrzebne.

Przystanęła w drzwiach i zastawiła mu drogę, z olbrzymim bukietem w objęciach.

- Rafe, troszczysz się o wszystkich wokoło. Pozwól, by czasami inni mogli zatroszczyć się o ciebie.

- No... ja tylko... - Rafe głośno chrząknął, wyprostował się i zrezygnowany podniósł ręce. - Dzięki.

To dobrze, że wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi. Może nie chciał, żeby go rozpieszczać, ale przecież to dopuszczalne w małżeństwie. Sam też powiedział, że chce, by od tej pory ich małżeństwo było takie, jak sobie wymarzyła.

Weszła do kuchni i położyła róże na blacie obok zlewu, żeby mieć wolne ręce, gdyby Rafe czegoś potrzebował. Ale on już wyjmował półmisek z piekarnika. Widocznie nie potrzebował kelnerskiej obsługi, tylko rozmowy.

- Opowiedz mi, jak ci minął dzień - poprosiła.

Rafe postawił półmisek na stole, po czym sięgnął do górnej szafki.

- Najpierw ty mi opowiedz - powiedział, wręczając jej szklany wazon. - Miałaś zjeść lunch z Deb, prawda?

- Było naprawdę miło - stwierdziła, układając róże w wazonie. - Ona chce zapisać się na kursy jogi, więc o tym rozmawialiśmy. Po lunchu zaczęłam rysować projekt nowej lalki, a potem zajęłam się papierkową robotą. A co ty robiłeś?

Rafe nie umiał tak gładko opowiadać o tym, co robił. Tak było jednak wcześniej, zanim jej obiecał, że wszystko się zmieni. Tego wieczoru spróbował zdać Beth szczegółową relację ze spotkania z szefem Jastrzębi, który uporczywie twierdził, że to Wilki są agresywne i prowokują konflikty.

- Myślisz, że uda ci się ich pogodzić? Milczał przez chwilę, a w końcu odparł:

- Sprawy wyglądają nieciekawie, ale nie chciałem opowiadać o tym w domu.

Ciekawie czy nie, to przecież bardzo ważna sprawa.

- Chętnie posłucham - powiedziała.

- Wiem. - Rafe wstał i podszedł do półeczki z przyprawami. Ale chyba nie chodziło mu o pieprz, tylko o to, by zakończyć rozmowę. -
Dzięki, Beth.

No cóż, jeżeli nie chce porozmawiać z nią o swoim najważniejszym projekcie, znajdzie mu jakiś inny temat. Cokolwiek, byle nabrał zwyczaju omawiania z nią swoich spraw, tak jak to robił z Anne.

- A co u Oscara?

Odwrócił się, wyraźnie rozluźniony, i odpowiedział:

- Wszystko w porządku. Ma dziewczynę.

- Ach, to świetnie. - Oczyma duszy zobaczyła, jak Rafe i Oscar siedzą w ośrodku i rozmawiają o swoich kobietach. Choć pewnie głównie opowiadał Oscar, bo Rafe nigdy nie był zbyt skory do zwierzeń.

Westchnęła ciężko i znów zajęła się kwiatami.

- Ty byłeś taki sam w jego wieku, prawda? Cisza, a potem Rafe mruknął:

- Uhm. Coś w tym rodzaju. Pomyślała, że idzie im jak po grudzie.

- Myślisz, że on rozmawia ze swoją dziewczyną?

Jedno trzeba było Rafe'owi zapisać na plus - nawet nie próbował udawać, że nie pojął aluzji. Dlaczego wciąż był taki oporny, taki spięty? Przed czym tak się bronił?

- Beth, co konkretnie chcesz wiedzieć?

- Chciałabym wiedzieć, czym żyjesz. Jeżeli nie chcesz, nie musisz opowiadać mi o swoim ośrodku. Powiedz mi po prostu, co jest dla ciebie ważne.

Podszedł do niej, chwycił ją za ramiona i patrząc jej w oczy, rzekł z pasją:

- Ty jesteś ważna!

- No to opowiedz mi o twoich studenckich czasach. Albo o urodzinowych przyjęciach. - O czymkolwiek, byle zbudować most, który ich połączy. - Albo mi opowiedz, kiedy postanowiłeś zostać rycerzem w lśniącej zbroi.

To już niełatwe zadanie. Uświadomiła to sobie, ledwie spojrzała na stropioną twarz Rafe'a.

- Trudno mi to orzec - stwierdził, nie spuszczając z niej wzroku.

- Nie myśl sobie, że chcę cię czymś zbyć. Ale... ale muszę się zastanowić.

Dobre choć to, że się starał. To ważniejsze niż sama historia.

- W porządku - ustąpiła i zrobiło jej się lżej na sercu. -Opowiesz mi jutro, dobrze?

Rafe wziął głęboki oddech i wyprostował się jak rycerz ruszający do boju.

- Dobrze, skoro tak sobie życzysz.

W jego głosie nie było entuzjazmu. Może jednak, jeśli zaczniesz mówić o tym, co dla niego ważne, będą mieli coś, na czym da się zbudować wspólny fundament; coś, co ich połączy.

- Wobec tego jutro - powiedziała, chwytając wazon. - Po pracy.

- Jutro - powtórzył, a potem pochylił się, żeby przypieczętować obietnicę pocałunkiem. - Ale to niezbyt ciekawa historia. To znaczy... nie spodziewaj się żadnych rewelacji.

Rozdział 8

Następnego ranka w drodze do ośrodka Rafe obiecał sobie, że spełni oczekiwania Beth.

Historia jego życia nie jest zabawna. Wolałby też oszczędzić jej bardziej ponurych szczegółów i nie zwierzać jej się ze swoich trosk i lęków. Zrobi jednak wszystko, żeby to był miły wieczór. Ma przed sobą cały dzień na ułożenie sensownego planu. Liczył też na pomoc współpracowników.

- Najbardziej nastrojowa restauracja? - powtórzyła Heidi, która często opowiadała im o romantycznych kolacyjkach ze swoim chłopakiem. - Jak na rocznicę ślubu? Czy jakąś mniej uroczystą okazję?

Ani jedno, ani drugie.

- Chcę po prostu okazać żonie, ile dla mnie znaczy.

- Już trochę późno, żeby zrobić rezerwację u Salieriego - stwierdziła Heidi. - Ale zawsze można spróbować. A jeżeli to ma być naprawdę romantyczna eskapada, zabierz ją na zakupy do domu mody.

Czy Beth by się to podobało? Pytanie czysto retoryczne, bo już wcześniej umówiła się na popołudniową sesję z Cindy. Można by jednak rozważyć coś takiego na przyszłość.

Kolacja u Salieriego. Zakupy w eleganckim salonie mody.

John, jeden z praktykantów, wystąpił z jeszcze inną propozycją.

- Może w małżeństwie jest inaczej - powiedział - ale ja odniosłem wrażenie, że kobiety potrzebują czasami czegoś mniej tradycyjnego. Może, na odmianę, zabierz ją na wyścigi psów albo do San Xavier Mission. Zaproponuj jej coś oryginalnego.

Wyścigi psów. Zwiedzanie zabytków. Punkt dla Johna za kreatywność.

- Dziękuję wam - powiedział Rafe. - Gdyby ktoś miał jeszcze jakiś pomysł, jestem otwarty na każdą sugestię.

Zadzwoił jeszcze do paru osób i wysłuchał kilku nowych pomysłów na to, jak okazać kobiecie, że jest najważniejsza w jego życiu. Na termin ostatecznego podjęcia decyzji wyznaczył sobie południe.

Na pewno nie będzie to wyprawa do teatru, choć Beth pewnie byłaby zadowolona. Ale podczas przedstawienia nie można rozmawiać, a jej przede wszystkim zależało na rozmowie.

Nie pojedą też, mimo cudownych wspomnień, do Sabino Canyon, bo Beth nie jest jeszcze w najlepszej formie, a poza tym wejście do kanionu zamykają o zachodzie słońca.

Odpadają też tańce, bo większość lokali otwiera się o godzinie, o której Beth marzy już tylko o tym, by się położyć do łóżka.

Musi to być coś naprawdę romantycznego i nietypowego.

„Zostaniemy w domu. Zjemy razem kolację”.

Wyjście mało oryginalne. To takie typowe dla Beth, by na pierwszym miejscu stawiać jego potrzeby. Nie chciałby jednak, żeby co wieczór musiała mu gotować, a potem wstawiać danie do

piekarnika i kłaść się samotnie do łóżka. Na coś takiego uskarżała się przecież zbyt często przed wypadkiem.

Z tego też powodu kolacja w domu absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Za to kolacja u Salieriego, z pewnością bardzo romantyczna, byłaby pewnie poza zasięgiem jego finansowych możliwości. Wprawdzie Beth nie zrobiłaby mu sceny, ale mógł sobie wyobrazić jej zakłopotaną minę, gdyby wyjął kartę kredytową w takim miejscu.

Może kolacja, ale w tańszym lokalu, za to mniej tradycyjnym, jak to określił John?

Na przykład w knajpce, do której się wybrali na pierwszą randkę. Pewnego razu, kiedy miał wolny dzień, wstąpił po południu do schroniska dla bezdomnych, w nadziei, że trafi na zmianę dyżurów. I trafił idealnie, bo Beth właśnie wychodziła do domu.

Odprowadził ją aż na parking, gdzie czekały na nią koleżanki. Przez całą drogę opowiadała mu zabawne historyjki o dzieciakach, którymi się opiekowała. I gdy już miała wsiąść do samochodu, zebrał się na odwagę i zapytał, czy nie wybrałaby się z nim kiedyś do miasta.

- A może teraz? - zapytała i, ku jego zdumieniu, powiedziała koleżankom, żeby wracały bez niej. - Będiesz mógł mnie później odwiedzić do domu, prawda?

Odwiózł ją po pięciu godzinach, oszołomiony i zaskoczony tym całkiem nowym uczuciem. Bo nikt, nawet Rose, nie działał na niego tak jak Beth.

Beth, która z podziwem wysłuchiwała jego planów otwarcia ośrodka, gdzie trudna i zaniedbana młodzież mogłaby uzyskać pomoc prawną.

Beth, która z zapałem opowiadała mu o lalkach dla dzieci z zespołem Downa.

Beth, dzięki której po raz pierwszy od lat dopuścił do siebie myśl, że mógłby znów kogoś potrzebować. I że potrafi kogoś przy sobie zatrzymać na dłużej.

Nadal zresztą miał tę nadzieję. Ale teraz sprawy przedstawiały się całkiem inaczej. Tego ranka, gdy rozmawiali o liście „za i przeciw”, Beth powiedziała mu, że chce z nim zostać. Dlatego musi zrobić wszystko, by nie zmieniła zdania. Musi pamiętać, jak bardzo jej na tym zależy, żeby mogli razem spędzać jak najwięcej czasu. Dlatego miał nadzieję, że kolacja w knajpce, miejscu ich pierwszej randki, przypadnie Beth do gustu.

I rzeczywiście. Kiedy zadzwonił do niej i zaproponował wieczór, który miał być czymś w rodzaju podróży sentymentalnej, Beth wpadła w zachwyt.

- Mam tam przyjechać? - zapytała. - Potem moglibyśmy spacerować się po Fourth Avenue i obejrzeć kiermasz wyrobów artystycznych.

- Dobrze, tak zrobimy. Ale to ja przyjadę po ciebie. Jak randka, to randka. Dobrze?

Kiedy zajechał pod dom, Beth była już gotowa. Miała na sobie tę samą koronkową bluzkę, w której tak mu się podobała, i te same obcisłe dzinsy.

- Ten strój przynosi mi szczęście - powiedziała, kiedy jechali do miasta. - Jeżeli ma to być wyprawa szlakiem najmilszych wspomnień, on też jest na tej liście.

- Na mojej też - przyznał szybko i pomyślał, że pewnie nie chodzi jej o strój, tylko o to, co się zdarzyło, kiedy miała go na sobie.

Beth uśmiechnęła się z aprobatą, a jemu zrobiło się lekko na sercu. Wygląda na to, że wszystko idzie dobrze. Że sobie poradzi. Że może jeszcze być mężczyzną, jakiego sobie wymarzyła.

Trzymał się tej myśli, kiedy jedli placki kukurydziane z jego talerza, a potem sałatkę z jej półmiska, i rozmawiali o tym, jak zmieniło się to miejsce od ich poprzedniej wizyty. A także później, gdy szli szerokim bulwarem, po którego obu stronach artyści rozstawili kramy.

- Kup mi jakąś pamiątkę - powiedziała Beth, wskazując na stolik z ceramicznymi broszkami, wyglądającymi, jakby zrobiły je dzieci na lekcji prac ręcznych. - Żeby mi przypominała ten wieczór, ilekroć otworzę szkatułkę z biżuterią.

Ponieważ nie powiedziała, że zamierza nosić tę rzecz, wybrał broszkę w kształcie słoneczka, w jaskrawe żółtoczerwone paski.

- Będzie świecić nawet w ciemnościach - powiedział, a ona roześmiała się głośno.

- Anne byłaby zachwycona. Ach, czy ci mówiłam, że dziś przyszły jej dzienniki?

Rzeczywiście, mówiła mu, że ktoś z Chicago miał przysłać rzeczy Anne do przejrzania. Szczerze mówiąc, nie był zachwycony

tym pomysłem. Uważał, że powinno się oszczędzić Beth takich przeżyć.

- Chcesz, żebym rozpakował te paczki?

- Nie, schowałam wszystko do szafy w pokoju gościnnym. A dzienniki przeczytam za parę miesięcy, bo teraz na ich widok chce mi się płakać.

- Tak, zrób tak. - Odkąd odzyskała pamięć, płakała dość często. I wciąż jej się wydawało, że w jakiś sposób zawiodła siostrę. Że całymi latami Anne mogła liczyć na jej wsparcie, a nie dostała go w chwili, gdy go najbardziej potrzebowała. Więc może lepiej znów skierować rozmowę na temat biżuterii? - A może chcesz jeszcze księżyc, do pary z tym słońcem?

Odpowiedziała uśmiechem, a on poczuł dumę, że jego podstęp zadziałał.

- Nie - powiedziała. - Słońce wystarczy. A teraz, kiedy mamy już odfajkowane zakupy, możemy się trochę przespacerować.

Opowiesz mi, jak to się stało, że zostałeś rycerzem.

Miał nadzieję, że o tym zapomniała, bo w sumie była to nieciekawa historia. I niespecjalnie heroiczna, zwłaszcza jeśli uwzględnić początki.

Obiecał jednak Beth, że spróbuje jej wytłumaczyć, dlaczego obrona innych jest dla niego taka ważna. Cóż z tego, że jedyne wspomnienie, jakie mu się nasuwa, pochodzi sprzed niemal dwudziestu lat.

Zaczerpnął tchu, ujął ją pod rękę i ruszyli przed siebie zatłoczoną ulicą.

- To się zaczęło po tym, jak ciotka Nita wyjechała, a ja wylądowałem u dziadka - zaczął. - Byłem tym „nowym” na podwórku i na ulicy.

- Chwileczkę, ile miałeś wtedy lat?

Kuzynka ojca zostawiła go u Nity, kiedy miał jakieś siedem czy osiem lat, a mieszkał u niej przez chyba dwa lata.

- Myślę, że z dziesięć. I nie byłem zachwycony tą przeprowadzką. Wprawdzie ciotka rzadko bywała w domu, ale zdążyłem się do niej przywiązać. Tak czy inaczej, od początku byłem nastawiony na nie, a to wystarczający powód, żeby oberwać.

- Czy twój dziadek cię bił?

Beth była do tego stopnia wstrząśnięta, że z ulgą pominął fragment wspomnień dotyczący faceta Nity.

- Nie, nigdy - odparł, mierząc uważnym wzrokiem tłum, by się upewnić, że szalejące na deskorolkach dzieciaki nie stanowią zagrożenia. - Mówiłem o bandzie.

Beth pokiwała głową.

- Tej twojej?

- Tak. - To już zupełnie inna historia, niemająca nic wspólnego z obroną kogokolwiek. A przynajmniej nieczęsto. - Z początku wylądowałem na samym dole piramidy. Nie licząc tego małego Nardo, który był chłopcem do bicia.

- Był młodszy od ciebie?

- Starszy, ale kompletnie bezbronny. - Oszczędzi jej szczegółów, jak okrutnie ludzie potrafią krzywdzić słabszych, choć pewnie musiały

słyszeć coś na ten temat. - Wreszcie zapowiedziałem im, że jeśli ktoś tknie Narda, będzie miał ze mną do czynienia.

- Więc tak to się zaczęło - powiedziała cicho Beth. - Bronieś kolegi.

- Nie. - Gdyby tak było... ale prawda wyglądała znacznie bardziej prozaicznie. - Nie chciałbym nigdy mieć takiego kolegi.

- Ale biłeś się w jego obronie.

- Niezbyt skutecznie. - Nie można naraz pokonać zbyt wielu przeciwników. Kiedy skończyli go bić, nie był w stanie pomóc Nardowi. - Następnym razem, gdy go zaczepili, powiedziałem to samo, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Aż wreszcie dali mu spokój.

- Ale ciebie dalej bili?

- Jeszcze kilka razy. - Żałował, że nie może opuścić tej części, bo wtedy jego opowieść brzmiałaby znacznie lepiej. - Ale jego już nie. A ja później zdałem sobie sprawę, że opieka nad Nardem dodawała mi sił.

Zapadła cisza. Stanęli przy sztalugach portrecisty i Beth zapytała:

- W jaki sposób?

- Sam nie wiem. - Wtedy się nad tym nie zastanawiał. - Ale podziałało. Im bardziej zajmowałem się ludźmi w potrzebie, tym lepiej radziłem sobie z całą resztą. Tak było w poprawczaku i na studiach, i pewnie tak jest nadal.

Beth uśmiechnęła się, a on odetchnął z ulgą. Może tego właśnie spodziewała się po ich randce? Szczerej rozmowy o sprawach, o jakich nigdy z nikim nie rozmawiał. Oczywiście nie wszystko nadaje

się do opowiadania, ale jest jeszcze parę historyjek, z którymi może się z nią spokojnie podzielić.

- I dlatego zostałeś rycerzem? - zapytała. Sam nigdy nie myślał o sobie w ten sposób, ale nie można powiedzieć, by mu się nie podobało to określenie.

- Tak. - Wiedział, że Beth rozumie, iż w dzisiejszym, obojętnym świecie ktoś taki jak on jest zaniedbanej młodzieży bardzo potrzebny.

- Dokładnie dlatego.

Ujęła go za rękę.

- I nadal to robisz.

Owszem, kiedy tylko nadarzy się szansa.

- Tak - odpowiedział. - Tylko raczej nie w lśniącej zbroi. Gdy roześmiała się, zrobiło mu się ciepło na sercu. Jak na ich pierwszej randce, gdy słuchała go z niekłamanym podziwem.

- Bo do twojego ośrodka nie wolno wnosić mieczy, prawda?

- Szczerze mówiąc, nikt nigdy nie próbował, ale na miecze też byśmy się nie zgodzili.

- Szkoda. - Wciąż uśmiechnięta, odwróciła się od malarza i ruszyła w stronę kolejnego stoiska. - To bardzo zabawne rozmawiać o tobie.

Zabawne? Tego by raczej nie powiedział, z uwagi na niektóre epizody z ostatnich lat w Los Angeles. Przynajmniej spełnił jej prośbę i odsłonił przed nią pewne fragmenty swojego życia. Na razie powinno jej to wystarczyć.

- Następnym razem twoja kolej - powiedział - bo o tobie w ogóle nie zdążyliśmy rozmawiać.

- Wszystko przez to, że tak dużo mówię. - Gdy mijali kolejne stoisko z biżuterią, rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Weź sobie wolny weekend, dobrze? Będiesz miał wtedy dość czasu, żeby mi opowiedzieć, co robisz, aby nie powtórzyła się historia z „West Side Story”.

O tym akurat wolałby nie rozmawiać, bo negocjacje z Vicentem i Cholem wymagały działań, o których lepiej jej nie informować. To była ta mroczna strona jego życia, w którą nie chciał jej wciągać.

Może jednak uda mu się wykroić wolny weekend? Może jedna ze zwaśnionych stron ustąpi w zamian za obietnicę ochrony?

- Zobaczymy, jak się sprawy potoczą - mruknął. Odpowiedziała uśmiechem promiennym jak jej ceramiczne słoneczko.

- Jasne. Już się nie mogę doczekać - dorzuciła, ujmując go za rękę.

- Okropnie mi się dłuży czas do weekendu - powiedziała Beth do Karen i Deb, kiedy czekały na powrót Lori z trzeciej już wyprawy do toalety. Poranne mdłości koleżanki, trwające przez cały dzień, nie były niczym godnym pozazdroszczenia. Mimo to Beth nie miałyby nic przeciwko temu, by coś takiego spotkało ją za kilka miesięcy. - Rafe wreszcie zaczyna dopuszczać do siebie myśl, że mógłby się czymś ze mną podzielić.

Karen, najnowsza uczestniczka kursów szycia patchworków, spojrzała na nią uważnie.

- Tak jak dzieci dzielą się swoimi zabawkami?

- Nie, nie - odparła. Chodziło jej raczej o to, by otworzył przed nią swoją duszę. - On nigdy w życiu nie przyznał się do tego, że jest przerażony albo smutny, albo coś w tym rodzaju.

- Tacy już są ci mężczyźni - stwierdziła Deb, z którą Beth dzieliła niegdyś pokój w akademiku. Deb pozostała jedyną niezamężną kobietą w ich gronie i może właśnie dlatego miała najbardziej trzeźwe spojrzenie na mężczyzn.

O problemach małżeńskich nie mogła mieć jednak pojęcia. Dlatego mogła nie wiedzieć, że zatajanie pewnych spraw to nic dobrego w związku.

- Skrytość to żadna zaleta - stwierdziła Beth. - A już na pewno nie pomaga w wytworzeniu zażyłości.

Lori musiała je usłyszeć, bo po powrocie do stolika powiedziała:

- Są różne rodzaje zażyłości.

- To dobrze, że Rafe zaczyna się przed tobą otwierać - wtrąciła się Deb. - Może to dowód, że niektórzy mężczyźni potrafią się zmienić.

- Ale nie Jim - oświadczyła Karen, sięgając po ciastko. - Jeżeli mój mąż chce zachować pewne sprawy tylko dla siebie, to jego prawo. Tak uważam.

Czyżby Karen nie chciała dzielić z nim wszystkiego, co go dotyczy? Beth była zgorszona.

- Przecież jesteś jego żoną! - wykrzyknęła.

Karen wzruszyła ramionami, odsunęła talerz i naląła sobie mrożonej herbaty.

- Wiem, ale każde małżeństwo jest inne. Ty jesteś urodzoną opiekunką, a ja nie.

Racja. Zajmowanie się ludźmi było jej powołaniem i największą siłą. A teraz, kiedy zabrakło Anne i jej telefonów, z których obie czerpały energię, rozmowy z Rafe'em nabrały jeszcze większego znaczenia.

- Beth ma z nas wszystkich najsilniejszy instynkt opiekuńczy - dorzuciła Lori znad swojej robótki, a Deb przytaknęła z przekonaniem.

- Zawsze taka byłam - powiedziała Beth. Odkąd mogła sięgnąć pamięcią, wszystkim pomagała: babci gotować obiady, ojcu - pokonywać ataki depresji. Anne także wносиła swój udział, ale nie w taki sposób. - Może byłabym inna, gdybym została wzorową uczennicą, ale ktoś musiał przecież opiekować się rodziną.

- Będiesz wspaniałą mamą - stwierdziła Karen. - Założę się, że Lori będzie cię błagać, żebyś się zgodziła opiekować jej dzidziusiem.

- Pewnie, że tak - powiedziała Lori, wygładzając kawałek niebieskiego materiału w różowe króliczki.

- Już się nie mogę doczekać. - Beth była zdania, że opieka nad mającym się urodzić za pięć miesięcy dzieckiem Lori i Erica będzie świetną praktyką, zanim ona i Rafe doczekają się własnego maleństwa. - Z przyjemnością pomogę, na ile tylko potrafię.

- No to pomóż mi w tej chwili - wtrąciła się Deb. - Zjedz ze mną na pół ostatni kawałek ciasta, bo nie chcę zabierać do domu żadnych resztek.

Beth pomyślała, że już i tak zjadła więcej, niż powinna, tym bardziej że miała jeszcze w perspektywie kolację. Zerknęła na zegarek i wypila ostatni łyk herbaty.

- Muszę już iść. - Chwyając torebkę, mimowolnie pomyślała, jaka to wygoda móc znów używać własnej, obszernej torby, zamiast czerwonej kopertówki Anne. - Rafe wraca za pół godziny.

- No to pędź! - roześmiała się Karen. - Twój mąż na pewno ma już w zanadrzu mnóstwo refleksji, którymi będzie chciał się z tobą podzielić.

- To nie tak! - Beth chciałaby, żeby tak było, jednak w ustach Karen zabrzmiało to tak, jakby próbowała wchodzić z butami w życie męża. - Chodzi mi tylko o to, żeby wreszcie zaczął ze mną rozmawiać.

- Mnie się to podoba - broniła jej Lori.

Beth także podobała się taka wizja, nawet bardzo. Uważała, że to jedyny sposób na scementowanie ich związku. Nie potrafiła jednak tego wytłumaczyć swoim bardziej sceptycznie nastawionym przyjaciółkom.

- Następnym razem spotykamy się u Deb, tak? - rzuciła, kierując się do drzwi.

- Tak - odparła Deb, a Lori pomachała jej ręką.

- Powiedz Rafe owi, że cię nie docenia - zawołała za nią Karen.

- Docenia, docenia - odkrzyknęła z nadzieją, że nadal tak jest.

Choć Rafe posyłał jej kwiaty i wylewnie dziękował za każdy drobiazg, od tamtego wieczoru w knajpce nie znalazł czasu na szczerą rozmowę. A przecież od tamtej pory minął już prawie tydzień!

Na szczęście obiecał jej, że tego dnia wróci na kolację. Dlatego już z samego rana zamarynowała mięso na steki i teraz pozostawało jej tylko przyrządzić sałatkę i nakryć do stołu. Niestety, w domu czekała na nią nagrana na automatyczną sekretarkę wiadomość od Rafe'a:

„Beth, przepraszam, ale będę musiał zostać na noc w ośrodku. Nareszcie znaleźliśmy świadka, którego zeznania mogą mieć przełomowe znaczenie. To może potrwać dłużej, niż myślałem, więc na mnie nie czekaj. Zobaczymy się jutro”.

I to wszystko. Trudno, nie ma problemu. Przecież wie, że jego praca jest bardzo ważna. Mimo to entuzjastyczny ton

Rafe'a ugodził ją w samo serce. Nagle poczuła się może nie tyle oszukana, ile zdradzona. Był taki podniecony na myśl o tym, że będzie przez całą noc zajmował się jakimiś obcymi dziećmi, które nigdy w życiu nie pokochają go tak, jak ona. Jasne było, że ta praca daje mu wszystko, czego potrzebuje.

No cóż, w tej sytuacji ona także może pracować do późnej nocy. Może, na przykład, zacząć robić nową lalkę dla dziewczynki z Greenfields - kolejnego miejsca, w którym z niekłamaną radością przyjęto wiadomość o jej powrocie. Wyjęła z szuflady najnowszy wykroj i zaczęła wycinać formę, próbując nie myśleć przy tym o Rafe.

Nie będzie o nim myślała. Ani przez chwilę. Bo nawet jeśli zgodził się na dziecko - ostatnie słowo miało oczywiście należeć do lekarza - zaczynała podejrzewać, że wcale nie chce takiej bliskości, o

jaką jej zawsze chodziło. Bliskości, jakiej żona miała prawo oczekiwać od męża.

Może zresztą za dużo chciała. Rafe dzielił się jednak swoimi przemyśleniami z innymi ludźmi. Wystarczy sobie przypomnieć, jak otwarcie z nią rozmawiał, kiedy brał ją za Anne. Wtedy łatwiej było mu nie tylko rozmawiać szczerze, ale i znaleźć na to czas.

Traktował ją z taką samą otwartością, z jaką wszyscy traktowali Anne Farrell. Poczynając od tego człowieka w pociągu, który na jej widok cały się rozpromienił. Rafe oczywiście wciąż ją pocieszał i zapewniał, że pozostała tą samą osobą. Niestety, odnosiła przykre wrażenie, że wolał od niej jej bliźniaczą siostrę.

Nie, to kompletny nonsens, pomyślała, choć zazdrość o siostrę zaczęła się dawno temu, ilekroć ich babcia podkreślała, że każda z nich jest szczególna na swój sposób. Anne miała niewątpliwie lepszą głowę do interesów, większy dar przekonywania, była błyskotliwa, niezależna i pełna fantazji. Beth za to była lepszą opiekunką, dobrym duchem, panią domu... Domu, w którym Rafe spędzał tak mało czasu.

Gdyby chociaż mogła porozmawiać o tym z siostrą! Anne może nie zrozumiałaby, czemu to dla niej takie ważne, ale przynajmniej by jej wysłuchała. Byłaby przy niej. Przynajmniej miałaby kogoś, komu mogłaby się zwierzyć.

- Anne - wyszeptała ze ściśniętym gardłem. - Tak bardzo mi cię brakuje.

Oczywiście odpowiedziała jej cisza. Mimo to pomyślała, że tak miło byłoby móc znów porozmawiać z siostrą. Móc znów poczuć, że

ma się kontakt z kimś, kogo się kocha. Zamiast tego okropnego uczucia, że jest coraz bardziej samotna.

Dzwonek do drzwi powitała z ulgą, bo jej myśli zaczynały już zbaczać w niewłaściwym kierunku. W progu stał znudzony posłaniec z wielkim bukietem tulipanów. Podpisała kwitek i odebrała kwiaty - wyraz przeprosin Rafe'a.

Bukiet był wprawdzie przepiękny, ale przecież nie tego chciała od męża.

Pomyślała, że powinna mu o tym powiedzieć. Zaniedbywania własnej rodziny nie można odkupić kwiatami. Poza tym te bezsensowne gesty tyle kosztowały. Nie miałyby nic przeciwko kwiatom od współnika w interesach. A i Rafe'owi pewnie posłałby kwiaty pracownikowi, którego by w jakiś sposób obraził. Ale oni są mężem i żoną, a nie partnerami w firmie!

Zadzwoiła do ośrodka i zaczęła bez wstępu.

- Rafe, właśnie przynieśli tulipany. Są przepiękne.

- Ach, to dobrze - ucieszył się. - Chciałem w ten sposób wyrazić, jak mi przykro, że nie mogę wrócić do domu - dodał przeproszającym tonem.

Może rzeczywiście mu przykro. Jej także. Mimo to...

- Doceniam twój gest - powiedziała - ale nie o to mi chodzi.

Zapadła cisza.

- Chcę tylko twojego dobra - odezwał się po chwili Rafe.

- Wiem, ty dla każdego chcesz dobrze. - Od dzieciaków z ulicy, poprzez stażystów, chorą szwagierkę, fizjoterapeutkę... Wszystkich traktował z tą samą skuteczną mieszanką wdzięku i nieustępliwej

determinacji. - Tyle tylko, że ja jestem twoją żoną, Rafe, a nie jednym z twoich kolejnych projektów.

- Jak możesz tak mówić! Przecież wiem, że nie jesteś żadnym projektem!

Szczerze mówiąc, trudno jej było w to uwierzyć.

- Rzecz w tym - kontynuowała - że byłeś bardziej szczery, kiedy oboje sądziliśmy, że jestem Anne.

Nawet nie próbował zaprzeczyć.

-To prawda, ale wtedy bardziej mnie potrzebowałaś. W pierwszym tygodniu nie mogłaś nawet prowadzić samochodu.

- Dlatego wracałeś wcześniej do domu, żeby odgrywać rolę rycerza w lśniącej zbroi. - Nagle z bólem uświadomiła sobie, że misja ta była dla niego znacznie bardziej podniecająca niż powrót do żony, która chciała związku zbudowanego na zasadach partnerskich. - Czy tego trzeba, żeby cię tu ściągnąć? Mam sobie coś zrobić?

- Beth! - wykrzyknął z przerażeniem. - Chyba nie zamierzasz. ...

- Zrobić sobie krzywdy, żeby przyciągnąć twoją uwagę? - dokończyła. - Nie, oczywiście, że nie. Jak możesz tak myśleć. Chyba nie wierzysz, że byłabym do tego zdolna?

- Jasne - odparł szybko. - Pomyślałem tylko, że... że ty... że ja...

- Wolisz być w pracy niż tutaj, prawda? - stwierdziła cicho.

- Tłumaczyłem ci to, kiedy myśleliśmy, że jesteś Anne, pamiętasz? - W jego głosie po raz pierwszy uchwyciła nutę zniecierpliwienia. - Powiedziałaś mi wtedy, że rozumiesz wagę tego, co robię.

To prawda.

- Wiem, ale...

- Ale co? Zmieniłaś zdanie?

To nie tak. Jego misja była oczywiście bardzo ważna, ale, na miły Bóg, nie ważniejsza od ich małżeństwa.

- A jeśli tak, to co?

Zapadła cisza, a potem Rafe powiedział:

- Posłuchaj, mogę być w domu za dwadzieścia minut.

Pomyślała, że żaden z tego pożytek, jeśli uczyni to pod przymusem. Poza tym może jest bardziej potrzebny tam niż w domu.

- Nie, nie trzeba - powiedziała. - Wiem, że to, co robisz, jest bardzo ważne.

- Ale wolałabyś, żebym wrócił? - zapytał niepewnym tonem, jakby próbował rozszyfrować jakiś kod.

Pomyślała, że dla niej już za późno, ale może chociaż ktoś inny będzie miał jakąś korzyść z tego wieczoru.

- Nie - burknęła. - Nie trzeba.

- Więc chcesz, żebym został w pracy? - zapytał, kompletnie zdezorientowany.

Boże, czemu to ona miała o wszystkim decydować?

- Sama już nie wiem, czego chcę! - wykrzyknęła. W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie.

- Jak będziesz wiedziała, daj mi znać, dobrze? Mam tu masę ważnych spraw na głowie, a wszystko idzie tak opornie. Nie jest łatwo.

A jej jest łatwo?

- Nie zamierzam ci niczego utrudniać! - wybuchnęła i rzuciła słuchawkę.

Zanim się rozłączyła, zdążyła jeszcze usłyszeć jego posepną odpowiedź:

- Powiem ci, że życie z Anne było sto razy łatwiejsze.

Jeszcze nie skończył mówić, a już gorzko pożałował swoich słów. Usłyszał westchnienie, a potem głuchy sygnał w słuchawce. Natychmiast spróbował oddzwonić, ale Beth nie odebrała.

Trudno jej się dziwić. Wszelkie porównania są bolesne, a porównywanie własnej żony do jej siostry-bliźniaczki to głupota i kompletny brak taktu. Choć, prawdę mówiąc, łatwiej żyło mu się z osobą, która życzliwie zachęcała go, by pracował do późna. Nie powinien jednak powtarzać tego Beth. Teraz będzie musiał to jakoś odkręcić.

- Ja tu jeszcze wrócę - powiedział Frankowi i Heidi. - Gdybyście wyszli wcześniej, starannie wszystko pozamykajcie.

Gdzie zaparkowałaś, Heidi? Mam nadzieję, że nie w ciemnym zaułku?

- Bądź spokojny, odprowadzę ją do samochodu - zaoferował się Frank, zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć.

Rafe odetchnął z ulgą. Wobec tego, może już jechać do domu.

Dwudziestominutowy dystans pokonał w ciągu niespełna kwadransa. Przez całą drogę zastanawiał się, jak okazać Beth, że jest dla niego kimś znacznie ważniejszym niż Anne. Jak widać, kwiaty nie wystarczyły, ale co jeszcze mógł jej ofiarować?

Dziecko? Na to się już zgodził.

Wieczór poza domem? To także już było.

Rozmowę? Tak, ale jak długo można rozmawiać? Gdyby chciał opowiedzieć jej całe swoje życie, zajęłoby mu to parę godzin. No, może dni, gdyby się zdecydował na pełną wersję.

Ale co potem?

Kiedy zajeżdżał pod dom, w oknach salonu paliły się światła. Uznał to za dobry znak. To znaczy, że Beth nie wyjechała, urażona, czego się wciąż w duchu lękał. Poza tym jej samochód stał na podjeździe, mógł więc zapomnieć o swoich obawach.

Rzeczywistość okazała się jednak znacznie gorsza. Beth odnalazł w pokoju gościnnym. Leżała na łóżku, w ciemnościach, i płakała, jakby jej miało pęknąć serce. Dokładnie tak jak wtedy, gdy zastał ją w kuchni nad listem do siostry. Ale tym razem to on był przyczyną jej łez.

- Beth! - wybuchnął. - Przepraszam. Kocham cię najbardziej ze wszystkich na świecie, ale nie potrafię tego okazać jak należy.

Zadrzała, lecz gdy delikatnie położył jej rękę na ramieniu, odsunęła się.

- Nic z tego nie będzie - wyszlochała. - Sama już nie wiem, co robić. Staram się, jak mogę, ale nie jestem tą osobą, której pragniesz.

- Ależ jesteś, jesteś! - zapewnił ją z rozpaczą. - Boże, w życiu bardziej nikogo nie kochałem.

- Z wyjątkiem Anne.

A niech to! Że też musiała usłyszeć jego nietaktowną uwagę. Czemu w porę nie ugryzł się w język?!

- To nieprawda - zaprotestował - przecież to byłaś ty. Beth potrząsnęła głową i usiadła, ściskając w ramionach poduszkę. Teraz dzieliła ich cała szerokość łóżka.

- To nie byłam ja - wyszłochała. - Ja tylko próbowałam zachowywać się jak kobieta sukcesu. Starłam się być bardziej niezależna i okazało się, że to ci bardziej odpowiada.

Nie, to jakiś nonsens. Nigdy nie marzył o życiu z jakąś wyzwoloną bizneswoman.

- Gdyby tak było - zaprotestował - ożeniłbym się z Anne... - Urwał z uczuciem, że znów źle się wyraził. - To znaczy z kimś w tym rodzaju. Ale ja zawsze pragnąłem tylko ciebie.

- Sam powiedziałaś, że z Anne życie było łatwiejsze - przypomniała mu Beth drżącym głosem - i bardziej ekscytujące. Pamiętasz tamten wieczór i te fluidy?

- Tak, pamiętam. - Pamiętał oszołomienie, wyrzuty sumienia, a potem nieopisaną radość, kiedy się okazało, że mają prawo się kochać. - Ale przecież to my wytwarzaliśmy te fluidy.

- No tak, ale przez cały czas myślałeś, że to Anne.

Dlatego walczył wtedy ze wszystkich sił z tym uczuciem. Wsunął rękę do kieszeni i ścisnął w palcach medalik, modląc się o właściwe słowa.

- Rzeczywiście, nie wiedziałem, że to ty - przyznał. - Żadne z nas nie wiedziało, ale nasze serca wyczuły to od początku. - Urwał, a potem cicho dorzucił: - Moje serce od razu cię rozpoznało, Beth. Czegoś takiego nie czułem do Anne. To ciebie zawsze kochałem.

Nie cofnęła się, kiedy usiadł obok niej, ale też nie wyciągnęła rąk. Ścisnęła tylko mocniej poduszkę, popatrzyła na niego i zapytała:

- Naprawdę?

Tak, naprawdę, ale same słowa nie wystarczą, trzeba je jeszcze poprzeć czynem.

- Posłuchaj - powiedział. - Próbowałem coś wymyślić, żeby ci to okazać. - A jedyne, co wymyślił w drodze do domu, to że powinni spędzać razem więcej czasu. - Co powiesz na to, żebyśmy gdzieś wyjechali? Tylko we dwoje?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Kiedy?

- Jak tylko załatwię sprawy z Vicente'em i Cholem, możemy jechać, dokąd tylko zechcesz. - Od miesiąca miodowego nie byli razem na żadnych wakacjach. Beth jeździła sama... to znaczy, z Anne. - Na kilka dni, może nawet na cały tydzień.

Otworzyła szeroko oczy, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens jego słów.

- Mówisz serio? Zwolniłbyś się z pracy?

- Jak najbardziej serio - zapewnił ją Rafe. - Ty jesteś ważniejsza. - Była to prawda i Beth powinna o tym wiedzieć.

Nie znaczyło to oczywiście, że był od niej w jakikolwiek sposób uzależniony. Jak niegdyś od matki, dziadka, Nity czy Rose. Była jednak jego żoną. A żonę powinno się stawiać na pierwszym miejscu.

- Moglibyśmy pojechać do Kalifornii - zaczęła niepewnie Beth, wypuszczając z objęć poduszkę. - Pokazałabym ci restaurację, która tak nam się spodobała, kiedy byliśmy tam z Anne. Moglibyśmy też

pójść na plażę, o ile będzie ciepło, i po prostu... побыć trochę tylko we dwoje.

Z jej tonu nie potrafił wyczytać, co sądzi o tej propozycji.

Ogarnął go niepokój.

- No więc? - rzucił schrypniętym głosem. - Odpowiada ci w przyszłym miesiącu?

- Będzie cudownie - odparła, a on odetchnął, bo to znaczyło, że Beth nie zamierza go porzucić.

Gdyby tylko udało mu się zachować właściwe proporcje i ustrzec się przed tą przeklętą zależnością.

Czeka go bardzo ważna misja. Musi walczyć o Beth. A także o podopiecznych swojego ośrodka... Poradzi sobie. Zrobi wszystko, co będzie trzeba, żeby wygrać obie batalie.

- Dobrze - odparł z ulgą. - Bardzo się cieszę.

Rozdział 9

Będzie cudownie, powiedziała sobie Beth, przeglądając szufladę biurka w poszukiwaniu mapy, na której Anne zaznaczyła swoje ulubione hotele. Trafia się cudowna szansa, by pobyć tylko we dwoje. O ile do tego dojdzie, oczywiście. Ale lepiej tak nie myśleć. Trzeba pielęgnować w sobie optymizm oraz nadzieję, że Rafe ceni sobie ich związek równie wysoko jak ona.

„To ciebie zawsze kochałem”.

„Nigdy nie czułem czegoś takiego do Anne”.

Czego jeszcze mogła pragnąć?

- Niczego - powiedziała sama do siebie, niestety, bez większego przekonania. Przecież Rafe robił wszystko, co mógł, więc skąd ten lęk? Absolutnie nieuzasadniony...

O, jest!

Wyjęła mapę z szuflady i na okładce zobaczyła nakreśloną przez Anne uwagę: „Jeszcze tylko dwa tygodnie do sierpnia!” Rafe twierdził, że nie można odróżnić ich pisma. Może dla postronnego obserwatora rzeczywiście wyglądało identycznie...

Ogarnęła ją dojmująca tęsknota. Przypomniała sobie, jak w szkole pisały za siebie wypracowania, jak wysyłały listy i kartki z życzeniami...

Och, Anne!

Łzy napłynęły jej do oczu; żal ścisnął za gardło. Rozłożyła mapę na biurku i sięgnęła po długopis. Nie będzie płakać. Jej zadaniem jest

ułożyć plan wyprawy. Anne lubiła mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. A teraz ona będzie musiała się tego nauczyć.

„To nie takie trudne”.

Spojrzała na sufit.

Anne?

Choć wokół nic się nie zmieniło, gotowa była przysiąc, że usłyszała głos siostry. Och, proszę cię, Boże...

Już raz udało jej się porozmawiać ze swoją bliźniaczką, kiedy próbowała pisać dziennik. Może i teraz jej się uda, jeżeli odpowie na ten wewnętrzny głos. Co takiego Anne powiedziała?

„To nie takie trudne”.

- Zawsze to powtarzałaś - powiedziała głośno Beth. Odłożyła długopis i spróbowała sobie wyobrazić, że siostra siedzi naprzeciw niej. - Mówiłaś, że potrafiłabym poprowadzić naszą firmę równie dobrze jak ty. Nie wiem, jak ci się udawało robić kilka rzeczy naraz.

„Każdy to potrafi. Trzeba tylko ułożyć listę”.

To takie typowe dla Anne przyjmować za pewnik, że życiem da się kierować jak firmą. Wystarczy sobie przypomnieć tę listę „za i przeciw”, którą kazała jej spisać w pociągu.

- Ach, ty i te twoje listy - powiedziała z wyrzutem do Anne. Miała wrażenie, że rozmawia z siostrą przez telefon i niemal słyszała jej głos, w którym życzliwość mieszała się ze zniecierpliwieniem. A jednak z nikim nie rozmawiało jej się tak dobrze. - Zapomniałaś, co się stało, kiedy Rafe znalazł tę listę w mojej walizce?

„Przynajmniej dało mu to do myślenia”.

- Wiem - mruknęła. - Masz rację. - W życiu nie widziała, żeby był tak wstrząśnięty i przygnębiony. A choć może zabrzmiało to dziwnie, podniosło ją to trochę na duchu. Jeżeli tak bardzo przeżywał myśl, że mogłaby go opuścić, to musiał ją kochać... Dlaczego nie czuła się kochana?

Nie zdążyła nawet wymówić na głos tego pytania, gdy usłyszała odpowiedź Anne:

„Pamiętasz, jak tamtej nocy powiedział, że nie potrafi okazywać uczuć?”

Oczywiście, że pamięta. Jego nieporadne wyznanie oraz własne pragnienie, by podtrzymać go na duchu i otoczyć opieką.

- Pamiętam - przyznała. - Tak powiedział. A wszystko dlatego, że miał taką okropną rodzinę. Wiem, że bardzo się stara. - Przysyłając kwiaty, godząc się na dziecko, dając jej wszystko, czego sobie życzyła... Oprócz swojego czasu, swojej uwagi i swojego serca...

„Ach, Bethie...”.

Nie, nie wolno jej nawet myśleć w ten sposób. Musi być optymistką.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała do siostry. - Muszę tylko uzbroić się w cierpliwość.

Jeśli liczyła na natychmiastowe potwierdzenie, to się przeliczyła. Odpowiedziało jej głucho milczenie. - No - ponagliła siostrę - co ty na to? Żadnej odpowiedzi.

Och, gdyby tylko mogły porozmawiać tak jak dawniej! Podzielić się kłopotami, choćby przez telefon. Miałyby wtedy tę pociechę, że

ktos ją rozumie. Gdyby Anne mogła być w tym pokoju, z tą mapą, na której widnieje jej pismo... Gdyby mogła jej coś podpowiedzieć...

Powstrzymywane z trudem łzy coraz mocniej wzbierały pod powiekami. Beth zdała sobie wreszcie sprawę, że nie ma sensu udawać, iż znajdzie w pracy zapomnienie. Tęsknota za siostrą była silniejsza. Bez Anne już nigdy nie będzie sobą.

Nikt nie zrozumie łączącej ich więzi. Zresztą, czy można tego od kogokolwiek wymagać? Nikt nie znał przecież Anne tak dobrze, jak ona. Nikt nie wiedział, że lubiła masło orzechowe z rodzynkami, a jej najulubieńszym filmem pozostał disneyowski „Kopciuszek”. Że nosiła skarpetki na lewą stronę, a kartki urodzinowe segregowała według kolorów... Że bez wahania pożyczała swoje nowe ciuchy i dolepiła bałwanom wielkie uszy.

Kto prócz niej będzie teraz pamiętał, że Anne przekonała Briana Forda, iż jej siostra z okazji balu maturalnego zasługuje na coś lepszego niż bukietek zwykłych gardenii? Że zdołała namówić babcię, by pozwoliła im pomalować pisanki w sierpniu? Że upierała się, by przy dzieleniu się słodyczami z okazji Halloween resztki dostawały się tej z nich, która potrafi wskazać ofiarodawcę.

„Nic takiego nie mówiłam!”

- Mówiłaś - zaprotestowała Beth, nim zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie usłyszała głosu siostry. Ale co za ulga móc go usłyszeć, choćby tylko w myślach. - Zawsze pamiętałaś, które słodycze są od kogo.

„Ja nie mówiłam o wszystkich resztkach, tylko o ostatnich nieparzystych”.

- Tak czy inaczej, zawsze byłaś skuteczniejszą negocjatorką. -
Dlatego logicznym wyjściem było, by to Anne poprowadziła firmę, a
Beth zajęła się projektowaniem lalek. - Dlatego twoje życie było takie
wspaniałe.

„Ty za to miałaś udane życie rodzinne”.

Racja, tyle tylko, że życie rodzinne nie interesowało Anne ani
trochę bardziej niż ją prowadzenie firmy. A może to nieprawda? Może
obie z nich niesłusznie uwierzyły, iż nie ma dla nich innej drogi prócz
tej, przypisanej im w dzieciństwie?

Beth pomyślała, że gdyby rzeczywiście tak było, serce pękłoby
jej chyba z rozpaczy. Czy to możliwe, że Anne marzyła o rodzinie, ale
bała się, iż sobie nie poradzi...

„Tak jak ty z prowadzeniem firmy?”

Beth wstrzymała oddech.

Nie, to nonsens. Może jednak potrafi pokierować firmą, tak
samo jak Anne potrafiłaby założyć udaną rodzinę? Co, oczywiście
wcale nie musi znaczyć, że ma się w tym celu przeprowadzić do
Chicago. Albo zrezygnować z myśli o dziecku.

- To dwie różne sprawy - zwróciła się do siostry. - Może i
potrafiłabym dalej prowadzić firmę, gdybym się na tym skupiła.
Henry bardzo na to liczy. Ale to nie jest to, w czym jestem najlepsza.
Ja chcę, przede wszystkim, być kochana przez moją rodzinę!

„Chcesz być kochana przez Rafe'a”.

To prawda. Na niczym bardziej jej nie zależało, ale Rafe wcale
jej nie potrzebuje. Może jedynym wyjściem, by ich zbliżyć do siebie,
będzie dziecko?

- Rafe powiedział, że zgadza się na dziecko - przypomniała siostrze - więc myślę, że będzie dobrze.

„Mam nadzieję”.

Ona także miała nadzieję. Bo jeśli nie... Lepiej teraz o tym nie myśleć, uzbroić się w optymizm.

Trzeba przyznać, że nawet jej się to udało. Przez następne kilka dni nie zapytała Rafe'a ani razu, czy weźmie urlop. Wciąż za to powtarzała sobie, jaka ważna jest jego praca.

Rafe musiał jednak wyczuć, że czegoś jej brakuje do szczęścia, bo w piątek wrócił do domu dość wcześnie i zaproponował wyprawę na kiermasz.

- Spotkanie z prokuratorem jest o czwartej trzydzieści, czyli mamy dla siebie dwie godziny. A może masz jakiś inny pomysł? Wybór należy do ciebie.

Beth zamierzała obejrzeć próbki materiałów, z których miała uszyć lalki, ale nie chciała też rezygnować z szansy na wspólne popołudnie.

- Możemy najpierw zajrzeć do centrum handlowego? Spędzili tam całe popołudnie, chodząc od stoiska do stoiska; od galerii do galerii. Pękając ze śmiechu, wybierali rzeźby, których nigdy nie postawiliby u siebie w domu, a także oglądali albumy pamiątkowe dla dzieci i Beth długo zastanawiała się, który byłby najlepszy dla ich maleństwa. A choć Rafe nie mógł zrozumieć, czemu tak ją to wciągnęło, powtarzał, że nie muszą się nigdzie spieszyć.

- Oglądaj sobie, ile chcesz, tylko na razie niczego nie kupuj. W końcu ja zrezygnowałem z kupna tego polarnego niedźwiedzia z brązu.

- Wiem, z bólem serca. Pewnego dnia, kiedy zdążysz już o tym zapomnieć, przyjdiesz do pracy, w dniu swoich urodzin, i w poczekalni zobaczysz tę rzeźbę.

- W papierowym kapelusiku z napisem „Sto lat” - dodał ze śmiechem Rafe, odsuwając się na bok, by grupka nastolatek mogła obejrzeć z bliska plakat znanego piosenkarza.

Och, gdyby chwila ta mogła trwać wiecznie! To poczucie bliskości, radość z własnego towarzystwa. Beth pomyślała z westchnieniem, że o niczym innym nie marzy.

- Oczywiście, że tak - powiedziała wzruszona. - Twoi stażyści również założą takie kapelusze, a ja będę rozdawać kolorowe baloniki.

- Czuję, że będę musiał wziąć na ten dzień zwolnienie lekarskie - stwierdził Rafe.

- Już to widzę. Nigdy w życiu nie wzięłaś zwolnienia - wytknęła mu Beth.

Rafe wzruszył ramionami i ścisnął w palcach medalik.

- Na szczęście nigdy nie choruję.

- Dzięki twojemu talizmanowi?

Zamrugał, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi, a w końcu się domyślił i wyjął medalik z kieszeni.

- To nie jest żaden talizman, tylko medalik. Dostałem go od ciotki Nity bardzo dawno temu.

- To miłe - stwierdziła, odprowadzając wzrokiem gromadkę roześmianych dziewcząt. - Dobrze wiedzieć, że ma się coś, co daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa.

Rafe zaczerpnął tchu i Beth już była pewna, że usłyszy: „Ja nie potrzebuję poczucia bezpieczeństwa”. On jednak zawahał się, popatrzył na medalik, a potem schował go do kieszeni.

- Wracając do rzeczy - powiedział - polarne niedźwiedzie w papierowych kapelusikach. A jak będą wyglądały twoje urodziny?

Ciesz się chwilą bieżącą. Nie psuj wszystkiego życzeniami, aby było więcej takich popołudni, więcej czasu spędzanego z Rafe'em, więcej wspólnej zabawy...

- Niech to będzie niespodzianka - powiedziała.

- Dobrze - rzucił z łobuzerskim uśmiechem. - Czyli odpadają te gipsowe krasnoludki?

- Absolutnie - przytaknęła, po czym znów zaczęła przeglądać albumy. Gdy natrafiła na stronę, na której rodzice mieli opisać wygląd dziecka, zamyśliła się. Ciekawe, jakiego koloru oczy i włosy będzie miało ich maleństwo, skoro ona jest jasną blondynką, a Rafe ma typową urodę południowca. Będą musieli po prostu poczekać, żeby się przekonać.

- Ile mamy jeszcze czasu?

Gdy spoważniał i popatrzył na zegarek, pożałowała, że zabrał z sobą komórkę. Choć, trzeba mu to przyznać, w trakcie ich spaceru tylko raz zadzwonił do swojego ośrodka. Co znaczyło, że bardzo się starał. Zamiast narzekać, powinna cieszyć się każdą minutą. Bo kto wie, kiedy znów trafi im się takie wspólne popołudnie?

- Prawie godzinę - odpowiedział - bo Payton ma wcześniej inne zebranie. Chodź, zobaczymy, czego jeszcze nie chcemy widzieć w naszym domu.

Klimatyzowane centrum handlowe znacznie lepiej nadawało się na popołudniowy spacer niż rozgrzana, zatłoczona ulica. Poszli dalej oszklonym pasażem, zatrzymując się przed każdą witryną, która przykuła ich uwagę. Nagle Beth przystanęła przed sklepikiem ze zwierzętami. Na wystawie baraszkowały cztery małe pieski.

- Ach, jakie rozkoszne! - wykrzyknęła.

- Rzeczywiście, miłe - zgodził się Rafe. - Chcesz takiego szczeniaka?

- Zamiast krasnala albo polarnego misia?

- Nie, mówię poważnie.

Pewnie tak było, bo gdy zwróciła na niego spojrzenie, twarz miał bardzo poważną.

- Na pamiątkę - powiedział. - Taką jak tamta z pikniku. Miły pomysł. Tym bardziej że najwyraźniej Rafe bawił się równie dobrze jak ona. Musiał jednak zapomnieć albo nie zdaje sobie sprawy, ile zajęć jest przy takim szczeniaku.

- Miałeś kiedyś takiego pieska? - zapytała, wpatrzona w najmniejszego z całej czwórki.

- Można tak powiedzieć - odparł. - Carlos miał, kiedy u nich mieszkałem. I dziewczyna mojego taty. - Wskazał palcem tego szczeniaka, któremu się przyglądała, a potem jego wzrok padł na oprawiony w ramkę rodowód, wystawiony w witrynie.

- Boję się, że nie byłoby nas stać na jednego z tych tutaj, ale moglibyśmy poszukać gdzie indziej.

- Pieska?

- No tak, bo jesteś wręcz stworzona... - Rafe urwał, jakby zabrakło mu słów. - Nie wiem, jak to ująć... Ty po prostu lubisz...

- Chcesz powiedzieć, że lubię się opiekować? - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. - Przecież już niedługo będę miała ręce pełne roboty, skoro planujemy dziecko.

- No... tak.

Nie wydawał się ani przerażony, ani podniecony tą perspektywą. Jego obojętny ton mocno zaniepokoił Beth. Szansa na pełną rodzinę była przecież jedynym, co jej pozostało.

- Nadal chcesz mieć dziecko, prawda? - zapytała po chwili ostrożnie.

- Jasne, że tak. - Znów ten sam rzeczowy ton, jakby pytała, czy nadal ma ochotę na lody. - Pamiętaj, co powiedział doktor: że najpierw musisz oczyścić organizm.

Pomyślała, że można to uznać za objaw troski. Może Rafe nie chce się zbytnio angażować, póki nie mają pewności.

- No tak, ale myślę, że sześć tygodni wystarczy?

- Tak, chyba tak. - Rafe musiał chyba wyczuć, że jest spięta, bo nagle przygarnął ją do siebie i mocno uściśnął. - Zapomnij o tym szczeniaku. To był tylko pomysł.

Tylko pomysł...

- Tak czy inaczej, miły pomysł - powiedziała. - Rafe...

- Wiem - przerwał jej i ucałował ją w czubek głowy. -Musimy już iść, jeżeli mam zdążyć na wpół do piątej. Chcesz jeszcze raz rzucić okiem na krasnale czy wolisz przejść obok niedźwiedzia?

Rafe chciałby częściej oglądać Beth taką rozradowaną. Myślał o tym w drodze na spotkanie, a także następnego ranka, gdy rozkładała próbki materiałów na podłodze w salonie. Musiał mieć coś, o czym miło było pomyśleć. Zwłaszcza że ta rozmowa przed sklepem ze szczeniakami trochę go przestraszyła. A nie powinna. Wiedział przecież, że Beth marzy o dziecku.

- Jak ci się podobają? - zapytała, zmuszając go, by spojrzał na próbki.

- Wszystkie są w porządku - odparł. Nie widział żadnej różnicy między materiałami zwyczajnymi a tymi określanymi jako eleganckie. Ale skoro Beth pyta go o zdanie, chętnie jej pomoże. - Ten zielony jest ładny.

Uśmiechnęła się ze smutkiem, jakby wiedziała, że niewiele może jej pomóc, a zarazem doceniała jego starania. A potem pozbierała próbki i powiedziała:

- Masz jeszcze minutkę? Chciałabym ci pokazać jeszcze kilka.

Robiło się już późno, ale Beth tak bardzo zależało na jego zainteresowaniu. Poza tym jest przecież o wiele ważniejsza niż poranna narada z pracownikami.

- Nie ma sprawy - powiedział.

Beth poderwała się i pospieszyła do swojego pokoju, w którym trzymała materiały wyglądające, jego zdaniem, dokładnie tak samo. W tym momencie w kuchni zadzwonił telefon.

To pewnie Henry, który dzwonił codziennie o tej porze, by przekazać wiadomości z firmy. Mimo to Rafe podniósł słuchawkę.

- Halo?

- Już jestem - odezwał się głos Beth przy drugim aparacie, ale Henry jej przerwał.

- Rafe, cieszę się, że to ty odebrałeś. Może poprosz mnie i wspólnie uda nam się przekonać Beth, żeby się jeszcze zastanowiła. W naszej obecnej kampanii potrzebna nam silna osobowość, a nikt, z kim rozmawiałem, nie potrafi zrobić tego tak dobrze, jak Beth.

- Już mówiłam, że nie mogę - zaprotestowała Beth, zanim Rafe zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Przecież jesteś naprawdę dobra - namawiał ją Henry. -Uważam też, że dla firmy byłoby lepiej, gdyby pozostawić zarząd w rękach tej samej rodziny. I, jak już wcześniej mówiłem, nie musiałybyś wcale wyjeżdżać z Tucson. Mogłabyś otworzyć biuro we własnym domu.

No tak, rzeczywiście. Rafe mógł sobie bez trudu wyobrazić Beth podnieconą wyzwaniem i spełnioną zawodowo. Znał przecież doskonale to uczucie. A i Beth nie było ono obce, zanim Anne nie przejęła zarządzania firmą, pozostawiając ją z masą instynktów opiekuńczych, których nie miała na kim wyładować.

Poza nim. I poza rodziną.

To zresztą w porządku, bo kiedy jego ośrodek stanie wreszcie na solidnych podstawach, rodzina przestanie go rozpraszać. Może pod koniec przyszłego roku, o ile uda mu się ściągnąć więcej współpracowników...

- Nie. - To Beth mówiła do Henrygo. - Prowadzenie firmy daje mi większą... satysfakcję, niż myślałam, i w pewnym sensie żał mi, że muszę odmówić. Rafe i ja planujemy dziecko, nie będę więc miała czasu.

- Już mi to mówiłaś - nie ustępował Henry - ale choćby na rok czy dwa, póki nie znajdziemy odpowiedniej osoby...

- Nie chcę tak długo czekać!

Rafe się spieszył. To był telefon do Beth. Miała prawo odrzucić ofertę. Ale czy ona zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

- Bardzo żałuję - ciągnęła Beth - bo chciałabym zrobić coś dla Anne i byłoby mi ogromnie przykro, gdyby to oznaczało koniec firmy. Jednak moja rodzina jest dla mnie ważniejsza.

Rafe ścisnął mocniej słuchawkę. Przecież chciał mieć żonę, dla której rodzina będzie najważniejsza. Skąd to niemiłe uczucie, jakby zgasł ostatni promyk nadziei?

- Rafe, czy jest jakaś szansa, że Beth zmieni zdanie? - zapytał Henry. - Oczywiście będę się nadal za kimś rozglądał, ale wszyscy wiemy, że byłoby najlepiej, gdyby Beth się zgodziła.

To prawda. Byłoby sto razy lepiej. Przede wszystkim dla niej, bo wreszcie zrozumiałaby, że ma zdolności, które przypisywała wyłącznie Anne. A także dla niego, bo gdyby mogła spożytkować swoją energię dla dalszego pomyślnego funkcjonowania firmy, następne dwa lata byłyby dla nich znacznie łatwiejsze.

- Decyzja należy do Beth - powiedział Henry'emu, zastanawiając się, czego potrzeba, by zmieniła zdanie. - Oczywiście porozmawiam z nią, ale to od niej zależy.

- Bardzo żałuję - powtórzyła Beth, jakby już podjęła decyzję - ale ktoś inny będzie musiał poprowadzić firmę. Ja w tej chwili chcę czegoś zupełnie innego.

Rafe doskonale wiedział, co to takiego. Odkładając słuchawkę, pomyślał, że zrobi wszystko, by spełnić jej życzenie, nawet gdyby miało to kolidować z jego planami. Bo on zawsze sobie poradzi. Znajdzie czas i dla rodziny, i dla swoich podopiecznych, a później, kiedy jego ośrodek rozkręci się na dobre, będzie mógł częściej brać urlop. Jednak przydałby mu się jeszcze jeden rok.

Spróbuję poruszyć ten temat wieczorem, po pracy. Postara się wrócić na tyle wcześniej, by zdążyć na kolację. A może lepiej będzie zjeść coś na mieście?

Beth, zapytana, z radością przyjęła jego propozycję, by wyskoczyć do ich ulubionej pizzerii, w pobliżu uniwersytetu.

- Henry miał rację, kiedy cię namawiał, żebyś jeszcze trochę popracowała - powiedział jej, kiedy czekali na pizzę. - Moim zdaniem, mogłabyś w każdej chwili przejąć stanowisko Anne.

- Wiem. Henry od roku marzy o emeryturze. A co do mnie - chętnie bym się wszystkim zajęła, póki nie znajdą kogoś odpowiedniego... gdybym miała więcej czasu.

Czyli nie jest tak do końca przeciwna. To dobrze, bo to znaczy, że nie zapomniała o swoim marzeniu, by polepszyć los dziewczynek z zespołem Downa.

- Z przyjemnością ci pomogę - powiedział. - Uważam, że prowadząc tę firmę, odwalasz kawał dobrej roboty.

Beth odstawiła plastikową szklankę i przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Nie da się tego robić, mając małe dziecko, bo opieka nad nim to praca na pełny etat.

Dla kogoś tak troskliwego i pełnego poświęcenia jak ona, oczywiście. On też zawsze chciał, żeby jego dzieci miały taką matkę.

- Wiem - powiedział szybko. - Będziesz cudowną mamą.

Ten komplement wywołał uśmiech na twarzy Beth, lecz w jej oczach wciąż czaił się niepokój.

- Mówiłeś, że chcesz mieć dziecko - przypomniała mu z wyrzutem.

- Jasne, że tak. - Nawet więcej niż jedno, ale... - Tylko może trochę później. Mamy przecież mnóstwo czasu.

Beth odsunęła szklankę i przechyliła się nad stolikiem.

- Mówisz to od roku - rzuciła ostro. - No to jak? Chcesz mieć dziecko czy nie?

- Chcę. - Zabrzmiało to jak przysięga małżeńska. - Beth, dobrze wiesz, że chcę, żebyś miała wszystko, czego zapragniesz.

Ona jednak nie wydawała się usatysfakcjonowana.

- To nie jest równoznaczne z chęcią zostania ojcem. - Chwyciła szklankę, zamieszała słomką kostki lodu, a potem obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Może nigdy tego nie zauważyłeś, ale... czasami czuję się, jakbym była sama w tym małżeństwie.

A niech to! Przecież wymieniła to w tej okropnej liście. A on starał się robić wszystko, żeby to naprawić. Czyżby nie dostrzegąca jego wysiłków?

- Nie - zaprotestował. - To nieprawda.

- Wszystko dlatego - ciągnęła, jakby go nie słyszała - że ty masz już kupę dzieciaków w tym twoim ośrodku.

To prawda, ale co ma jedno do drugiego? To, czym się tam zajmował, a jego życie rodzinne z Beth to dwie różne sprawy. Czemu tak trudno jej to zrozumieć?

- Kocham cię - zapewnił ją z rozpaczą. - Bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. - Właśnie dlatego chciał dać jej wszystko, co tylko mógł.

Nie patrząc mu w oczy, mruknęła:

- Ciągłe to powtarzasz, ale...

- Mówię prawdę. - Jak jej tego dowieść? Przy pomocy kwiatów, rozmów, wspólnych wakacji? - Zobaczysz, że nam się uda - obiecał jej, lecz po raz pierwszy ogarnęło go z wątpienie. Czego jeszcze powinien spróbować? Co jeszcze mógł zrobić?

Możliwe, że Beth podzielała jego rozterki, bo gdy kelnerka przyniosła pizzę, popatrzyła na niego takim wzrokiem, że ścisnęło mu się serce.

- To się jeszcze okaże - powiedziała cicho.

To chyba nie znaczy, że już go nie chce? Nie, to niemożliwe! Nie mogłaby go zostawić!

Z drugiej strony już dawno zrobiła listę powodów, dla których powinna od niego odejść...

- Musi się udać - powtórzył, tym razem do siebie. Obiecywanie czegokolwiek Beth było dość ryzykowne, a on nie zamierzał składać obietnic bez pokrycia. Zrobi jednak wszystko, żeby było dobrze. Wszystko, żeby nadal pozostać silnym człowiekiem.

Dlatego będzie chronił tych, którzy tego potrzebują. Czyli wszystkich, którzy ucierpieliby, gdyby doszło do otwartej wojny między oboma gangami - przypadkowych ofiar ulicznej strzelaniny, osieroconych rodziców, dziewcząt, których dzieci chowałyby się bez ojców...

On nie dopuści do tej wojny. Podoła temu zadaniu. A jeśli przy okazji uda mu się namówić Chola i Vicente'a do zawarcia rozejmu, jego ośrodek zyska szacunek i wiarygodność.

To bardzo ważne, bo będzie mógł wówczas wystąpić o dotacje i zatrudnić więcej ludzi, dzięki czemu będzie miał więcej czasu dla własnej rodziny, którą założy z Beth. Tą Beth, która jeszcze nie postawiła na nim kreski. Wciąż jest szansa, by wszystko naprawić.

Będzie próbował, aż w końcu się uda.

Rafe musiał ostatnio pracować ciężiej niż zazwyczaj. Beth doszła do tego wniosku, mimo że dzwonił do niej co kilka godzin, zapewniając ją za każdym razem, że ją kocha, że już wkrótce będzie mógł zwolnić tempo i że to już naprawdę ostatnie spotkanie z szefem jakiegoś gangu. Albo jakimś dzieciakiem w kłopotach. Albo dzieciakiem w ogóle. A jej zaczęło się wydawać, że są ich setki. Stąd to mimowolne zgrzytanie zębami, na które Cindy w końcu zwróciła jej uwagę podczas kolejnej sesji.

- Odnoszę wrażenie, że ostatnio jesteś bardziej zestresowana niż wtedy, kiedy myślałaś, że jesteś Anne.

- To sprawa Rafe'a - wyjaśniła Beth, próbując rozluźnić zaciśnięte szczęki. Nie zamierzała opowiadać Cindy o kalendarzyku, w którym zostało już tylko pięć tygodni do dnia, od którego mogą zacząć starać się o dziecko, bo na razie nie mogło być o tym mowy. - Ma w tej chwili w swoim ośrodku urwanie głowy.

- Tak to jest, kiedy wykonuje się tego rodzaju pracę - zgodziła się Cindy. - Ludzie walą drzwiami i oknami i człowiek naprawdę nie wie, za co się brać.

Inni może i tak, ale na pewno nie Rafe.

Jemu ten stan wiecznej wojny bardzo odpowiadał. Kochał przecież wyzwania i wręcz rozkwitał w nawale obowiązków. Tym bardziej że nagrodą miała być wiarygodność jego ośrodka.

Ona także nie mogła się uskarżać na brak zajęć w tym czasie. Henry postanowił odłożyć swoje przejście na emeryturę i oboje energicznie szukali godnej następczyni Anne. Choć w głębi duszy żałowała, że nie może objąć stanowiska siostry, pocieszała się myślą, że robi jednak coś pożytecznego. Niestety, nie dla Rafe'a, bo Rafe nie chciał jej na to pozwolić.

- Wiem - mruknęła Beth i znów mimowolnie zazgrzytała zębami.

Rafe nie chciał jej nawet opowiadać o swojej pracy. Poprzedniego wieczoru nastawiła budzik na dwunastą w nocy, bo spodziewała się, że Rafe wróci o tej porze i może będzie chciał z nią

porozmawiać. Niestety, czekała na próżno do pierwszej, a potem znów zasnęła.

- Pomyśl o czymś przyjemnym - nakazała jej Cindy. - Pamiętaj, że jesteś w okresie rekonwalescencji i musisz na siebie uważać. Znajdź czas na przyjemności, choćby oglądanie telewizji.

Beth posłuchała jej rady. Wprawdzie tego wieczoru znów nastawiła budzik na dwunastą, ale później się rozmyśliła i zasiadła w salonie, przed telewizorem, żeby sobie obejrzeć powtórkę „Przeminęło z wiatrem”.

Wściekła Scarlett rzucała właśnie porcelanowym wazonem w Rhetta, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała w momencie przerwy na reklamy.

- Anne - usłyszała w słuchawce głos, który wydał jej się znajomy - tu mówi Greg.

Niestety, nie mogła sobie przypomnieć nikogo o tym imieniu, choć odebrała wiele telefonów od różnych znajomych jej siostry.

- Pamiętasz mnie? - ciągnął dalej nieznajomy. - Poznaliśmy się w kawiarni, na wieczorku poetyckim. Byłem przez dwa tygodnie w Nowym Jorku i przez cały czas o tobie myślałem.

To miło z jego strony. Szkoda, że będzie musiała go rozczarować. Byłoby jednak nie fair, gdyby utwierdzała go w przekonaniu, że dzwoni do osoby wolnej.

- Greg, strasznie cię przepraszam - zaczęła. Nauczyła się tego na pamięć w ciągu ostatnich tygodni. - To pomyłka. Ja nie jestem Anne.

- Naprawdę? Macie takie podobne głosy - odparł Greg, niezrażony. - A czy można ją prosić do telefonu?

- Uhm...nie. - W pewnym sensie szkoda, bo zapamiętała go jako bardzo sympatycznego człowieka. - To znaczy... kiedy ci powiedziałam, że nazywam się Anne, myliłam się. Bo tak naprawdę jestem Beth. Rozumiesz?

- No cóż, Beth to także całkiem ładne imię. - Mówił to takim tonem, jakby chodziło tylko o wybór imienia. Widocznie nadal uważał, że rozmawia z właściwą osobą. - No to jak? Wybrałaś się ze mną na kawę?

Pomyślała, że opowiadanie mu całej historii nie ma sensu. Tak samo zresztą jak randka, na którą, jako mężatka, nie może sobie pozwolić. Najlepiej więc od razu odmówić, żeby uciąć dalsze dyskusje.

- Niestety, nie mogę, ale dziękuję za telefon.

- Jesteś pewna? Bo ja chciałbym się z tobą zobaczyć. Musiała przyznać, że jej to pochlebiało. Przez moment poczuła nawet pokusę, żeby się umówić. Przypomniała sobie wyraz zazdrości na twarzy Rafe'a, kiedy usłyszał, że spędziła miły wieczór w kawiarni, gdzie poznała paru mężczyzn. A przecież brał ją wtedy za swoją szwagierkę. Jednak powtórka czegoś takiego w obecnej sytuacji byłaby postępkiem niewybaczalnym.

- Rzecz w tym, że jestem mężatką - powiedziała. W słuchawce zapadła cisza.

- Czy wtedy, kiedy się poznaliśmy, byłaś już zamężna? Hm, pomyślała, może już lepiej zacząć od początku.

- Tak, ale...

- Nie szkodzi - przerwał jej radosnym tonem. - Skoro chodzisz po kawiarniach i podajesz wszystkim swój numer telefonu, domyślam się, że twoje małżeństwo to nic poważnego. Nie mam racji?

Nagle do niej dotarło, że miał podstawy, by wyciągnąć takie wnioski, i poczerwieniała ze wstydu.

- Nie, nie...

- Posłuchaj, nie chcę, żebyś miała z mojego powodu jakieś przykrości - powiedział, mylnie biorąc jej wahanie za objaw zdenerwowania. - Czy twój mąż stoi za tobą i dmucha ci w kark?

- Nie. - Może by i dmuchał, gdyby był w domu, ale ostatnio wracał, kiedy spała. A to takie przykre.

- Więc albo jest w pracy i nie wie, co traci...

Niestety, znów miał rację, pomyślała ze smutkiem i zaczęła się zastanawiać, jaką minę zrobiłby Rafe, gdyby po powrocie do domu zastał wiadomość, że poszła na spotkanie z innym mężczyzną. W pewnym sensie byłaby to zasłużona kara.

- Albo wyszedł się zabawić - dokończył Greg. - A wtedy ty powinnaś zrobić to samo.

Tak, tylko że to niczego nie rozwiąże. Nawet świadomość, że brała coś takiego pod uwagę, była przerażająca.

- Nie mogę - rzuciła pośpiesznie.

- Tamtego wieczoru mogłaś, i szło ci całkiem nieźle.

- Ale wtedy nie wiedziałam, kim jestem! - wybuchnęła. Nie dość, że dręczą ją wyrzuty sumienia, to jeszcze musi wysłuchiwać tych kaśliwych uwag!

- No, tu mnie zaintrygowałaś - powiedział Greg. - Umówmy się na kawę w tym samym miejscu, to mi wszystko opowiesz. Chętnie posłucham o twoim życiu. Co ty na to?

To nie fair. Czemu Rafe'a nie interesują jej opowieści?

- Nie mogę - powtórzyła, zamykając oczy. Czyżby do tego stopnia znieubiła męża, by brać pod uwagę randkę z obcym w sumie mężczyzną?

Nie, to nie byłoby w porządku. Ani w stosunku do Rafe'a, ani w stosunku do niej samej. Ani w stosunku do Grega.

- Nawet jeśli twój mąż jest w pracy? - nalegał Greg. - Mówię ci, Beth, facet nie wie, co traci.

Co traci? Tylko żonę, która chciałaby posłuchać, jak minął mu dzień, i która nie umie patrzeć na wszystko z dystansem, jak jej siostra.

- Tak dobrze się z tobą rozmawia - ciągnął Greg. - Potrafisz też człowieka wysłuchać...

- Co z tego, kiedy on tego nienawidzi! - przerwała mu, rozgoryczona. - Ciągle próbuję zmusić go do rozmowy, ale on nie chce ze mną rozmawiać!

Gdy wykrzyczała na głos tę straszną prawdę, nagle do niej dotarło, że i dla Rafe'a ta sytuacja musi być męcząca. Na myśl o tym ścisnęło jej się serce.

To się nigdy nie zmieni. Nigdy nie będzie u niego na pierwszym miejscu. Nie będzie kobietą, z którą zechce podzielić się swoim światem. -I nigdy nie będzie chciał - dokończyła z gniewem.

Jak to możliwe, że tego dotąd nie dostrzegła?

Greg musiał usłyszeć przygnębienie w jej głosie, bo natychmiast zaproponował:

- No to jak? Mam po ciebie przyjechać?

- Och, nie. Nie mogę. - To prawda, że chciałyby się komuś zwierzyć, ale tym kimś był Rafe. - Nie mogę.

- Aż trzy razy nie. Kiepska sprawa - zmartwił się Greg. Kiepska sprawa, ale to nie wina Grega. I, prawdę mówiąc, należało mu się wyjaśnienie.

- Nie chodzi o ciebie - powiedziała mu - tylko o mnie.

- Teraz, gdy zrozumiała, że łudziła się na próżno, że jej starania były tylko stratą czasu, nie byłaby miłą towarzyszką.

- Źle byś się ze mną bawił.

-Ach tak.

- Nie lubię osoby, w którą zaczynam się zamieniać - wyrzuciła z siebie. Kobiety, która nastawia budzik na dwunastą w nocy. Która w dziecku widzi ostatnią deskę ratunku. Która próbuje nie tylko zmusić męża do rozmowy, ale i zmusić go, by się zmienił i pozostawił samym sobie dzieci ulicy. - Zaczynam się robić zbyt zależna... - O mój Boże, co ona robi najlepszego! Wylewa swoje żale przed obcym człowiekiem! - Przepraszam, Greg, nie mam prawa absorbować cię swoimi sprawami.

Ku jej zdumieniu, w głosie Grega zabrzmiało autentyczne współzucie.

- Coś mi się zdaje, że ci nieźle dopiekło.

- Tak to już jest, kiedy mąż próbuje ocalić świat. - Misja, która przed ich ślubem wydawała jej się tak wzniosła, teoretycznie nadal

taką pozostała, ale dopiero teraz zaczynała zdawać sobie sprawę z jej rzeczywistych kosztów. - I póki będzie to robił, nie będzie mógł mi dać tego, czego pragnę.

Może ten Greg był psychologiem lub kimś w tym rodzaju, bo z zainteresowaniem zapytał:

- A czego ty pragniesz?

Pełnej rodziny, oczywiście, ale w ich małżeństwie nie było w tej chwili miejsca na dziecko.

- Chcę mieć kogoś, kto nie musi zawsze być rycerzem w lśniącej zbroi. Kogoś, kto wróci do domu i pozwoli, bym się nim zajęła.

Choćby tylko od czasu do czasu. Ale to niemożliwe.

- Na to mi wygląda - zgodził się Greg, po czym szybko dorzucił:

- Beth, spotkajmy się. Dobrze ci zrobi, jak się trochę rozerwiesz.

- Nie. - Tego była absolutnie pewna. - Wiem, co mi dobrze zrobi. Jak przestanę czekać, by mój mąż się zmienił. -

Nagle, w przerażającym tempie, pozostałe fragmenty ułożyły się w przynębiającą całość. - W naszym małżeństwie nic się nie zmieni. Rafe nigdy nie będzie robił nic innego, a to znaczy... To znaczy, że to ja będę musiała się zmienić - dokończyła z westchnieniem i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 10

- Muszę jechać do Chicago - oznajmiła Beth.

Rafe był zaskoczony. Kiedy z samego rana zjawiła się w ośrodku, pierwsze, co przyszło mu na myśl, to że chce zabrać go do domu na śniadanie. Tak jak to zrobiła ostatnio, gdy pracował przez całą noc. Jednak wyjazd? Tego się nie spodziewał.

- Co mówisz?

Głos jego brzmiał niepewnie, a i ruchy miał nieskoordynowane, kiedy podchodził, by zamknąć za nią drzwi. Wszystko przez ten stały brak snu.

Poważna mina Beth sugerowała jednak, że chodzi o coś więcej niż śniadanie.

- Muszę pojechać do Chicago i zająć się interesami - wyjaśniła. - Wczoraj wieczorem zatelefonował ten mężczyzna, który sądził, że jestem Anne.

- Ach tak. I co?

Niech mówi, a on w tym czasie spróbuje coś wymyślić. Przysunął sobie krzesło i usiadł obok Beth. Nie chciał, by rozdzielało ich biurko. Zwłaszcza że żona zamierza wyjechać.

- Chciał umówić się na kawę, ale pewnie na tym by się nie skończyło. Wyjaśniłam, że jestem zamężna, i odmówiłam.

Rafe pomyślał, że jak na razie nie jest źle. To jednak nie tłumaczy wyrazu determinacji w oczach żony ani zimnego dreszczu, jaki nagle przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

- Rzecz w tym - ciągnęła Beth, wpatrzona w ścianę ponad jego głową - że dało mi to do myślenia. Zaczęłam się zastanawiać, jak byś się poczuł, gdybym się umówiła. Wtedy dotarło do mnie, że miałam do ciebie znacznie większe pretensje, niż mi się zdawało.

- Powinienem był wrócić do domu - odezwał się Rafe słabym głosem. Przecież mógł wyjść z ośrodka o czwartej nad ranem i wrócić choćby tylko po to, by obudzić się u boku Beth. - Tak mi przykro.

- Wiem - powiedziała cicho, patrząc mu w oczy. - Mnie też. To nie twoja wina, tylko moja.

To jej wina? Co ona wygaduje? Czy to znaczy, że spotkała się z tym facetem? Te i inne pytania nie dawały mu spokoju. Nie mogłaby mu tego zrobić. Nie, to niemożliwe. Beth nie byłaby zdolna do zdrady.

-Co...

- To ja muszę się zmienić - dokończyła Beth. - Jeżeli wciąż się zastanawiam, jak sprawić ci przykrość, to znaczy, że coś jest ze mną nie w porządku.

- Nie sprawiłaś mi przykrości - zaprotestował. - Nie zrobiłaś mi nic złego.

- Nie wczoraj wieczorem. Całą noc o tym myślałam. Rozmawiałam z Deb, Lori, a nawet Anne i wtedy do mnie dotarło, jak źle się między nami układa.

Jak źle?!

Przecież on potrafi to naprawić. Zrobi w tym celu wszystko co trzeba.

- Nie dostrzegasz tego? - zapytała Beth, wychylając się w stronę męża. - Oczekuję po tobie, że staniesz się kimś innym, niż jesteś i wyrządzam nam obojgu krzywdę. Ty przez całe życie byłeś rycerzem, a ja ciągle czekałam, kiedy przestaniesz. .. kiedy wreszcie zaczniesz się zajmować tylko mną i zapełnisz wszystkie puste miejsca w moim życiu. To nie jest w porządku ani wobec mnie, ani wobec ciebie.

„Przez całe życie byłeś rycerzem”.

Zaczerpnij tchu, pomyślał. „To nie jest fair”.

Odetchnij.

Powiedz coś.

- Sądziłem, że marzyłaś o rycerzu.

- Ja też tak sądziłam. - Beth podeszła bliżej i położyła mężowi ręce na ramionach. - Za dużo żądam. Ty starasz się dać wszystko i mnie, i twojemu ośrodkowi, a to przecież niemożliwe.

Możliwe, możliwe. Już on to potrafi. Zrobi co trzeba. Poderwał się z krzesła i chwycił ją w ramiona.

- Kocham cię, Beth.

Tak dobrze było trzymać ją w objęciach, czując ogarniające ciepło i słodycz. Gdy uniosła głowę, ujrzał łzy w jej oczach.

- Ja też cię kocham - wyszeptała - i dlatego muszę wyjechać. Na razie żadne z nas nie ma tego, na czym mu najbardziej zależy.

Przecież jemu zależy tylko na jednym: żeby z nim była. Dlatego nie może pozwolić, żeby wyjechała do Chicago. Niestety, jeśli ktoś bardzo chce odejść, nie można go zatrzymać. Już on coś wie na ten temat.

- Dostaniesz wszystko, czego tylko zechcesz - obiecał jej zrozpaczony. - Za rok będziesz trzymać w ramionach nasze dziecko.

Beth pokręciła przecząco głową, a on przestraszył się jeszcze bardziej.

- Nie chodzi tylko o dziecko. Czy ty tego nie rozumiesz? Chcę stać się dla ciebie kimś najważniejszym!

- Przecież jesteś dla mnie najważniejsza! - Dlaczego nie potrafi jej tego okazać? - Możesz mi wierzyć.

- Raczej nie - odparła z przekonaniem. Odsunęła się, krzyżując ręce na piersi.

- Ty mnie nie potrzebujesz.

Oczywiście, że tak. Kocha ją i jej pragnie. Od zawsze. Z namiętnością, której siła go przerażała. -Ja...

- Nikogo nie potrzebujesz - ciągnęła. - Rzecz w tym, że nie byłam wobec ciebie fair. Od początku za dużo od ciebie żądałam, choć chciałam tylko stać się dla ciebie kimś ważnym.

- Przecież jesteś dla mnie ważna - zaprotestował, chociaż czuł, że mu nie wierzy. Nie mógł zrozumieć, czemu nie udaje mu się do niej dotrzeć. Jak ją przekonać?

Beth odwróciła się i sięgnęła po torebkę.

- Ale nie dość ważna - powiedziała drżącym głosem. -Nigdy nie dość, dlatego muszę znaleźć inny sposób. Przejmę stanowisko Henry'ego i zacznę poświęcać więcej czasu dziewczynkom z zespołem Downa.

Nie będzie błagał. Nie będzie się targował. To bezskuteczne, ona już idzie w stronę drzwi. Czyli postanowiła go jednak opuścić. Dla dziewczynek z zespołem Downa.

- To dla nich zaczęłam robić lalki. Dziewczynki w Greenfields najbardziej lubiły bawić się lalkami, które były do nich podobne. Potem Anne zajęła się marketingiem, mnie zostawiając projektowanie. Stać mnie na więcej. Jeśli się w to bardziej zaangażuję, potrafię poprowadzić firmę.

- W Chicago - powiedział głucho.

- Właśnie tam potrzebują kogoś, kto ją poprowadzi, wiesz przecież. - Dlatego zdecydowała się go opuścić. - Nie twierdzę, że zostanę w Chicago na stałe - ciągnęła drżącym głosem, a Rafe poczuł tępy ból w klatce piersiowej. - Na pewno na jakiś czas... Mieszkanie Anne nadal stoi puste, mogę się w nim zatrzymać.

Odetchnij! Powiedz coś!

- Beth... - wykrztusił z rozpaczą.

- To jedyny sposób! - wykrzyknęła i łzy potoczyły jej się po policzkach. - Jeżeli tu zostanę, będziemy tracić czas na kolejne jałowe próby i ranić się nawzajem. To bez sensu.

- Uważasz, że jeśli naprawdę cię kocham, zgodzę się na wyjazd do Chicago? - zapytał.

Nie próbowała otrzeć łez, tylko skinęła głową.

- Jesteś, jaki jesteś, Rafe. Myślę, że to wszystko, co możesz zrobić.

Wszystko, co może zrobić, to pozwolić Beth odejść? To prawda, że ludzie odchodzą, ale to nie dotyczy Beth. Nie zrobi tego po raz drugi.

Nie może... Owszem, może. I zrobi to co trzeba.

- Dobrze - odparł. Mógł tylko mieć nadzieje, że pomiędzy nimi jeszcze się ułoży. - Wyjeżdżasz na jakiś czas do Chicago. Czy mogę ci w jakiś sposób pomóc?

Dlaczego tak jej ciężko na sercu? Beth zadała sobie to pytanie kilka dni później. Przecież Rafe zrobił to, o co go poprosiła. Pozwolił jej wyjechać na tak długo, jak będzie chciała. Dał jej szansę na urządzenie sobie życia tam, gdzie będzie naprawdę potrzebna.

- Jutro znów podłączą wszystkie media - powiedział Rafe. Odłożył słuchawkę i odfajkował kolejną pozycję na liście spraw do załatwienia. - Anne musiała ci opowiadać o mroźnych zimach w Chicago, ale to dopiero za kilka miesięcy.

Wiedziała, co miał na myśli. Przez ostatni tydzień wciąż zadawała sobie to pytanie.

- Nie wiem, jak długo tam będę - powiedziała, zamykając kolejny segregator.

- Już to mówiłaś. - Rafe umieścił nalepkę z adresem na zaklejonym pudle. - Co nam jeszcze zostało?

Zawieźć paczki na pocztę. Posprzątać na biurku. Wyprasować ubranie na jutro. Zmęczony głos Rafe a nasunął Beth myśl, że przydałby mu się odpoczynek.

- Pracowałeś przez wiele godzin - zauważyła. - Nie musisz już nic robić.

- Muszę - mruknął, chwytając ostatni karton. - Nadal jesteś moją żoną.

Tak, ale jej to nie wystarcza.

- Tak będzie lepiej - powtórzyła.

- Co mam ci powiedzieć? - Spojrzał na nią ponuro znad pudła.

- Powiedz, że rozumiesz. Żadne z nas nie potrafi zmienić się tak, by zadowolić drugą stronę.

- Może i nie potrafi.

Stwierdził to tak spokojnie, że serce jej się ścisnęło. Po raz pierwszy Rafe przyznał jej rację. Zrobiło jej się przykro. Drżącymi rękami zgarnęła plansze z projektami lalek, żeby je włożyć do dużej koperty.

Rafe tymczasem w milczeniu przygotowywał kolejne kartony, do których miała zapakować swoje rzeczy.

Zdesperowana, pomyślała, że powinna mu zostawić coś, czego będzie mógł się trzymać... znak przyjaźni...

- Naprawdę podziwiam cię za to, co robisz w ośrodku. Rafe w milczeniu oderwał kolejny fragment taśmy klejącej, zalepił pudło, wygładził krawędzie, znów sięgnął po taśmę, oderwał następny kawałek... Odkąd mu oznajmiła, że musi wyjechać, wszystko to robił z tą samą posępną determinacją.

- Tak będzie lepiej - powtórzyła. Rafe okleił taśmą ostatni bok pudła.

- Kogo próbujesz przekonać? - zapytał.

- Nas oboje! - Musi być lepiej, bo gorzej już być nie może.

Wciąż kocha męża, choć wie, że nigdy nie będzie dla niego

najważniejsza. Wie też, że żadne z nich się nie zmieni. Jeśli zostanie, będą się nawzajem ranić. Faktem jest, że decyzja o rozstaniu jest bolesna. - Rafe - dorzuciła błagalnym tonem - gdybyś wiedział, jak mi ciężko.

Rafe odstawił zaklejone pudło i spojrzał na Beth ponad biurkiem.

- W takim razie nie wyjeżdżaj.

Och, gdyby naprawdę tego chciał... Niestety, mogła bez trudu przewidzieć, co by się działo. Patrzyła na to przecież przez ostatnie sześć miesięcy.

- Żeby unieszczęśliwić nas oboje? - powiedziała z wyrzutem. - Właśnie to robimy przez cały czas. - To zaczęło się na długo przed krótkimi wakacjami, które spędziła z Anne, i tragiczną w skutkach podróżą. To wtedy ułożyła listę „za i przeciw”. Przyznała przed samą sobą, że jej małżeństwo przeżywa głęboki kryzys.

Rafe zastygł bez ruchu.

- Chyba nie przez cały czas - zaprotestował.

- Może i nie. - Przypomniała sobie tę cudowną noc, kiedy odkryli, kim jest naprawdę, spacer po centrum handlowym, randkę w starej knajpce. - Mimo to mam wrażenie, że choć dano nam drugą szansę, nie potrafiliśmy jej wykorzystać.

Gdy zamknął na moment oczy, była pewna, że w myślach dokonywał rachunku sumienia. Liczył noce, kiedy na niego czekała, a on później nie chciał z nią rozmawiać. Telefony do domu z wiadomością, że wróci jeszcze później niż zwykle. Kładł na jednej szali swoją misję, a na drugiej niespełnione marzenia żony.

- Nie pasujemy do siebie - zakończyła z żalem Beth.

Rafe spojrział jej z powagą w oczy, a potem bardzo cicho powiedział:

- Wiem...

Och! Co za cios! Właśnie przysły ostatnie nadzieje na szczęśliwe zakończenie. Czego innego mogła się spodziewać? Nie pasowali do siebie i jedyne, co mogli zrobić, to się do tego przyznać. I jakoś się z tym pogodzić.

Wzięła resztę wykrojów i włożyła do pudła, po czym sięgnęła po ostatnią naklejkę z adresem.

- W ten sposób - powiedziała, siląc się na pogodny ton - twoi podopieczni będą cię wreszcie mieli tylko dla siebie, a ja będę mogła uczynić coś więcej dla moich biednych dziewczynek. - Pomyślała, że spróbuje stać się bardziej podobna do Anne. Będzie czerpać dumę z tego, co robi, zamiast rozpaczać, że nie spełniły się marzenia o życiu rodzinnym. - Tak będzie dla wszystkich najlepiej.

Rafe wygładził nalepkę, a potem wziął trzy pudełka.

- Może jeżeli wciąż będziemy to sobie powtarzać, w końcu w to uwierzemy - stwierdził i, nie patrząc na żonę, wyszedł z pokoju.

Beth była bliska płaczu. Łzy jednak niczego nie zmienią. Musi zrealizować to, co sobie postanowiła. To dobrze, że Rafe sam zawiezie pudła na pocztę. W ten sposób nie będzie miała okazji, żeby rzucać mu się na szyję i błagać o jeszcze jedną próbę. Przecież próbowali bez końca, ale żadne z nich nie potrafiło się zmienić.

Dlatego pora skupić się teraz na czym innym. Na przykład na wyjeździe do Chicago. Świetnie, będzie myślała o Chicago. O mieście, które tak lubiła zwiedzać w towarzystwie siostry.

O Anne także może pomyśleć, bo to bezpieczny temat. Wprawdzie niezmiennie tęskniła do siostry, ale przynajmniej Anne nie miała nic wspólnego z rozpadem jej małżeństwa. Kto wie, może najlepszym wyjściem będzie poczytać jej dziennik?

Ostatni zeszyt został zapakowany do torby podręcznej, gdyż Beth miała zamiar przejrzeć go podczas lotu do Chicago. Nagła potrzeba kontaktu z siostrą kazała jej wyjąć go z torby. Wyciągnęła się na łóżku, na którym sypiała jako Anne Farrell.

Już pierwsze zdanie okazało się tak bardzo w stylu Anne, że Beth nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

„Wyjazd o piątej rano, chociaż sobie przysięgam, że więcej tego nie zrobię. Czego się spodziewałam? Że się zmienię?”

Cała Anne. Planowanie zebrania rady nadzorczej, złość na hałaśliwego sąsiada z góry, zastanawianie się, czy posłać Marcowi różę. Po pracy manicure. Lunch z Henrym. Odnowić kartę uczestnictwa w klubie fitness. Odwołać spotkanie miłośników książki. Kupowanie butów. Prezent na rocznicę ślubu Beth i Rafe'a. To już dwa lata! Kto by to pomyślał!”

Przewróciła następną kartkę, gdzie siostra pisała: „Martwię się o Beth. Ciągłe narzeka, że Rafe jest tak zajęty w ośrodku, że jej nie potrzebuje. A ona zawsze uważała, że jest do niczego, jeśli nie jest komuś potrzebna”.

Nie, to nieprawda.

„Rafe nie jest typem człowieka, który by kogokolwiek potrzebował. To bardzo niezależna natura”.

Tak, ale ona, Beth, też potrafi być niezależna. Zresztą będzie musiała. Jakby nie było, jedzie sama do Chicago. Będzie tam prowadzić firmę.

- Potrafię być tak samo niezależna jak inni – powiedziała Beth na głos. - Będę samodzielna jak Anne i pełna rezerwy jak Rafe, który ani razu nie poprosił, żeby żona jednak została. Tak, potrafię być równie niezależna jak oni.

Te wypowiedziane na głos zdania podniosły ją na duchu. Zamknęła dziennik, żeby nic jej nie rozpraszało podczas rozmowy z siostrą.

- Za kilka miesięcy - powiedziała - ułożę sobie nowe życie, w którym będę ludziom naprawdę potrzebna. Rafe poradzi sobie beze mnie, a ja przestanę go ciągle ranić.

Siostra nie odpowiadała.

- Za kilka miesięcy uwolnię się od niego.

Tak będzie. Wreszcie zaczniesz budzić się rano bez uczucia żalu i pretensji.

Stanie się kobietą niezależną. Przestanie się przejmować Rafe'em. Nie będzie nawet miała na to ochoty.

A skoro tak, to czemu na myśl o tym jeszcze bardziej jej przykro?

Nie jest mu smutno. Nada paczki, wróci do domu przez zatłoczone miasto i spędzi ostatni wieczór z Beth.

Rafe spojrzął na świecący numererek nad okienkiem pocztowym. Ciekawe, jak długo trzeba będzie czekać od numeru pięćdziesiąt osiem do siedemdziesiąt trzy. Na szczęście nie musiał się spieszyć. Tym razem Beth z pewnością nie chciała, żeby wrócił zbyt szybko.

- Numer pięćdziesiąt dziewięć! - zawołała urzędniczka. Kobieta z grubym plikiem kopert podeszła do okienka.

Wygląda na to, że trzeba będzie trochę poczekać.

Rafe odstawił paczki i oparł się o ścianę, a jego ręka bezwiednie powędrowała do kieszeni, w której nosił medalik. Ostatnio robił to coraz częściej, mimo że za każdym razem w uszach rozbrzmiewał mu głos Beth:

„Dobrze wiedzieć, że masz coś, co daje ci poczucie bezpieczeństwa”.

Niestety, Beth myliła się, bo on niczego nie potrzebował. Medalik nosił z przyzwyczajenia. Może to głupie, bo medalik niczego nie zmieni i nie doda mu sił. Nie, siła w człowieku bierze się z poczucia, że można kogoś obronić, otoczyć opieką tych, którzy tego potrzebują.

Jak Beth.

Wciąż powtarzała mu, że wszystko będzie dobrze, że poradzi sobie w Chicago, a on wierzył jej na słowo. Jednak mimo determinacji, by zmienić własne życie i poprowadzić firmę według wizji Anne, cierpiała na bezsenność.

Cierpiała też, pakując swoje rzeczy. A także szykując się do wyjazdu, bo już przeczuwała, że pożegnalny ranek będzie bardzo przykry.

- Numer sześćdziesiąt, proszę do okienka.

Beth prosiła go, żeby jej nie odwoził na lotnisko. Powiedziała, że lepiej nie komplikować spraw i potraktować ten poranek zwyczajnie, jak każdy inny.

Zgodził się, bo wiedział, że Beth bardzo potrzebuje jego wsparcia. Nawet jeśli miało to oznaczać wyjazd bez fanfar pożegnalnych. Wyjazd za jego zgodą.

Zresztą, mówiąc szczerze, nie miał wyboru. Przed laty próbował powstrzymać matkę, kiedy postanowiła odejść. Choć było to dawno temu, wciąż miał w uszach swoje rozpaczliwe błagania „Mamo, nie odchodź!” Jednak odeszła.

Później potrzebował ojca i ciotki Nity, co mu wcale nie wyszło na dobre. Próbował uratować Grampa i Carlosa - i znów poniósł klęskę. A kiedy nie udało mu się zatrzymać Rose, pojął, że to wszystko próżne wysiłki.

Nie da się zatrzymać kogoś, kto chce cię opuścić. Bez względu na to, jak bardzo jest to bolesne.

- Numer sześćdziesiąt jeden.

Pomyślał, że pozostaje mu skoncentrować się na tym, w czym tkwiło źródło jego siły. Na opiekowaniu się tymi, którzy go potrzebują. O, tam, na przykład, chłopiec czeka na mamę, a minę ma nieszczęśliwą jak każdy opuszczony dziesięciolatek w tłumie dorosłych. Rafe podejdzie i porozmawia z nim. A potem, kiedy mama chłopca odejdzie od okienka, zajmie się staruszką, która pewnie potrzebuje kogoś, kto jej życzliwie wysłucha.

Tak minął mu czas do numeru siedemdziesiąt dwa, kiedy to wywołano staruszkę. Rafe został sam. Ścisnął w dłoni medalik Oczywiście nie dlatego, żeby czegoś potrzebował. Na niczym mu przecież szczególnie nie zależało. Na medaliku też nie. Mógłby się z nim rozstać choćby w tej chwili, bez najmniejszego żalu. Mógłby, na przykład, dać go temu chłopcu myjącemu posadzkę. Chłopak wygląda na zmęczonego. Podejdzie do niego, poklepie go po plecach i...

- Numer siedemdziesiąt trzy!

Ach, mniejsza o to. Rafe wziął paczki i podszedł do lady, a kiedy się odwrócił, sprzątacza już nie było. Jednak myśl, że potrafiłby się rozstać z medalikiem, ot tak, podniosła go na duchu. To znaczy, że już niczego nie potrzebuje. No, może z wyjątkiem paru osób, którymi trzeba się zająć.

Jak Beth. Co jeszcze może dla niej zrobić? Paczki już wysłał. Jedyne, co mu pozostało, to uprzyjemnić jej ostatni wieczór przed wyjazdem.

Ale jak? Żadnych kwiatów. Powiedziała mu przecież, że nie chce zamieszania. Może przynieść do domu gotowe danie? Nie coś, co mogłoby obudzić sentymentalne skojarzenia. Tylko pieczonego kurczaka albo coś w tym rodzaju.

Okazało się, że dobrze wymyślił, bo kiedy po powrocie do domu położył na stole pojemnik z kolacją, Beth była mile zaskoczona.

- Pomyślałem, że nie powinnaś zawracać sobie głowy gotowaniem - powiedział obojętnym tonem. Starał się zapomnieć, że to ich pożegnalna kolacja.

- Och, Rafe. - Wzięła serwetki i pocałowała go, jakby to był zwyczajny wieczór, a on wyświadczył jej najnormalniejszą przysługę. Tylko oczy miała podejrzenie błyszczące i kiedy rozkładała serwetki, raz po raz spoglądała na niego ze smutkiem.

- Obiecuj mi, że podczas mojego pobytu w Chicago będziesz się dobrze odżywiać.

Szczerze mówiąc, nawet o tym nie myślał, ale oczywiście zrobi, co będzie trzeba.

- O mnie się nie martw.

Beth wyjęła z szuflady łyżkę i położyła obok półmiska z sałatką.

- Nie martwiłabym się, ale podejrzewam, że ty też będziesz się o mnie martwić.

O tym także nie pomyślał.

- Owszem - przyznał - choć w tej chwili martwię się, że kurczak nam wystygnie.

Beth uśmiechnęła się, a kiedy udało im się zjeść kolację, prowadząc jednocześnie bardzo przyjemną rozmowę, poczuł przyływ dumy. Gdy udało mu się rozśmieszyć ją opowieścią o znudzonym chłopcu na poczcie, był w siódmym niebie.

Jednak potrafi wprawić ją w dobry humor. Jeżeli nie w ten sposób, to w inny, może zadowolić ukochaną kobietę.

Posiedzieli jeszcze trochę przy stole, póki Beth nie zorientowała się, że od niemal godziny gawędzą nad resztkami jedzenia.

Wstała i pozbierała ze stołu talerze.

- Dzięki za miłą kolację - powiedziała.

Skoro tak, pora wracać do codziennej rutyny. Rafe wyrzucił pojemnik po kurczaku do kubła na śmieci.

- Masz już gotowy plan na jutro? Skinęła głową i zapytała:

-A ty?

Zaskoczyła go tym pytaniem, a zarazem zmusiła do zastanowienia, jak ktoś, kto tak bardzo się nim przejmuje, może tak po prostu odejść. Widocznie tak to już jest. Kto jak kto, ale on powinien coś o tym wiedzieć.

- Jutro z samego rana mam spotkanie z Oscarem i Cholem.

- Pewnie wyjedziesz z domu przede mną - odrzekła ze spokojem, wkładając talerze do zlewu.

- Tak sobie zażyczyłaś, prawda? Jeżeli wolisz, mogę cię odwiedzić i spotkać się z nimi później.

- Nie, tak będzie lepiej. - Odkręciła kurek. - Nie lubię pożegnań i później tego czekania. Zróbmy to tak jak wtedy, kiedy wyjeżdżałam na wakacje z Anne. Pożegnajmy się w noc przed odjazdem.

Do tej pory Rafe nie przywiązywał większej wagi do pożegnań. Tym razem jednak na myśl o tym, że się rozstaną, ścisnęło mu się serce.

- To znaczy dziś wieczorem - powiedział.

Spojrzała na niego, zaintrygowana, jakby usłyszała jakieś nieoczekiwane nuty w jego głosie. -Tak.

Wiedział przecież, że zrobi, co będzie trzeba, skąd więc ten dotkliwy żal?

- Nie chcę się żegnać! - wybuchnął.

Sięgnęła po mydło z uśmiechem, który wydał mu się nieco wymuszony.

- Przecież nie żegnamy się na zawsze - rzuciła pocieszającym tonem. - Za jakiś czas znów się zobaczymy.

Za jakiś czas? Równie dobrze mogłoby to być nigdy. Ojciec, ciotka Nita i Rose także mu obiecywali, że wrócą, ale żadne z nich tego nie zrobiło. Dlatego dopiero po dwóch latach małżeństwa zgodził się na wakacje Beth z siostrą bez obawy, że ją utraci. No i proszę, jak tragicznie się to skończyło.

- To samo myślałem, kiedy wyjeżdżałaś z Anne - mruknął. Musiało to do niej przemówić, bo nagle spowaźniała.

- Z początku nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, ale przecież się odnaleźliśmy.

I zmarnowali prawie cały miesiąc, myśląc, że Beth nie żyje. Po raz drugi nie przeżyłby takiej straty. Jeżeli wyjazd do Chicago jest jej potrzebny do szczęścia, puści ją, ale...

- Tylko mi nie umrzyj! - wyrwało mu się nagle.

Beth położyła mężowi ręce na ramionach i spojrzała na niego z troską w oczach.

- Ty też na siebie uważaj, bo to do ciebie strzelają.

- To prawda, ale ja potrafię o siebie zadbać. Beth opuściła ręce i cofnęła się z westchnieniem.

- I o mnie, i o Oscara, i o wszystkich wokół - powiedziała ze smutkiem. - Ale żeby ktoś zatroszczył się o ciebie - na to nikomu nie chcesz pozwolić i... - Urwała. - Mniejsza o to. Muszę jeszcze posprzątać w kuchni.

W kuchni panował wprawdzie wzorowy porządek, ale Rafe rozumiał, że chce zmienić temat, by nie zepsuć miłego wieczoru.

- Chcesz zostawić dom w idealnym porządku? - zapytał. - Chyba już nie mamy nic więcej do roboty.

Beth spojrzała na stół i wyżeła gąbkę.

- Ja mam jeszcze coś do zrobienia.

Sądząc po tonie, była równie zdenerwowana jak on. A przecież miała się spokojnie przygotować do jutrzejszego wyjazdu.

- Musisz trochę odpocząć - zaprotestował. - Masz przed sobą męczącą podróż.

- Wiem. - Przetarła stół, przyciskając gąbkę tak mocno, aż jej zbiały palce. - Wiem.

Pomyślał, że wycieranie stołu nie ukoi jej nerwów. Sposób, jaki stosował w pierwszym miesiącu po wypadku, może okazać się skuteczny.

- Pomogę ci - zaproponował. - Zrobię ci masaż.

- Jaki? - zapytała Beth, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

Musiła zapamiętać, że masaże często przeradzały się w coś więcej. Zapewne miała te same wątpliwości, czy warto kończyć ich wspólne życie czymś, po czym jeszcze trudniej będzie im się rozstać.

- Jaki zechcesz.

Zawahała się, jakby rozważała różne opcje. -Ale...

- Chodź - rzucił. Pomasuje jej kark. To niegroźne, bo oboje będą ubrani. - Usiądź. Zaczniemy od karku.

- Dobrze. - Wrzuciła gąbkę do zlewu i usiadła przy stole, a gdy Rafe zaczął uciskać napięte mięśnie jej ramion, westchnęła. - Och, jak przyjemnie.

- Aha. - Powinien robić to częściej.

Beth odetchnęła głęboko. Poczuli, jak pod jego palcami skóra robi się coraz cieplejsza. Zdejmie jej z ramion to napięcie. I, jak się okazało, potrafił to zrobić. Po dziesięciu minutach była znacznie bardziej odprężona.

- Chciałabym, żebyś robił to przez całą noc - wymruczała. A on chciałby, żeby Beth została w domu, ale po co łudzić się na próżno. Wracając do jej życzenia...

- Ja też bym chciał.

Może usłyszała nutę smutku w jego głosie, bo spojrzała na niego przez ramię. -Rafe...

- Nie, znów robisz się spięta.

- To przez ciebie - mruknęła, a potem ledwo słyszalnym szeptem dodała: - Pragnę cię.

Nawet teraz? Nie powinno go to dziwić, bo zawsze lubiła jego masaże, mimo to poczuł satysfakcję.

- Ach tak.

Beth pochyliła głowę, a on znów zaczął masować jej kark, ramiona i plecy. I będzie to robił, póki Beth nie zapragnie czegoś więcej.

Widocznie osiągnął zamierzony skutek, bo po kilku minutach Beth chwyciła go za rękę.

- Moglibyśmy pójść wcześniej do łóżka - powiedziała.

- Moglibyśmy - zgodził się. To już przynajmniej konkretna propozycja. Po doświadczeniach z Rose wiedział już, że nie ma nic smutniejszego niż pożegnalny seks, a przecież nie kochał Rose tak jak Beth.

Jednak nie potrafił oprzeć się pokusie, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu zapłacić.

- Moglibyśmy pójść do łóżka już teraz - rzekł.

- Och tak - wyszeptała.

Wtedy chwycił ją w ramiona i zaniósł prosto do sypialni. Nie będzie myślał o niczym, tylko o Beth.

Beth, taka cudowna, miękka i ciepła. Jej szepty, westchnienia i ciche okrzyki. Sposób, w jaki się porusza, jak go w siebie przyjmuje i na koniec ten cud! Tak, Beth! Kocha ją i zawsze będzie kochał.

- Tak. Tak!

Usłyszał jej okrzyk, poczuł, jak ich ciałami w tej samej sekundzie wstrząsnął konwulsyjny dreszcz i świat eksplodował tysiącem kolorów. Uczucie triumfu zmieszało się w jego duszy z poczuciem pustki. Osłabły, w chwilę później poczuł nagły przyływ siły. Jak zwykle. Jak zawsze z Beth.

- Tak - wyszeptała. - To było cudowne.

Patrzył na nią, leżącą wśród pomiętych prześcieradeł. Poczuł, że ściska mu się serce, i znów zapragnął zatrzymać ją przy sobie.

Nie powie jej tego. To dobrze, że było jej cudownie. Udało mu się sprawić, że się odprężyła, a jutro będzie mógł pocieszać się myślą, że zrobił dla niej wszystko, co było w jego mocy. Przyciągnął żonę do siebie i zamknął z westchnieniem oczy.

- To dobrze - wyszeptał. Myślał, że jest tak senna, że pewnie nie słyszy jego słów. - Skoro musisz wyjechać, to przynajmniej wyjedziesz szczęśliwa.

RS

Rozdział 11

Beth obudziła się sama w ich wielkim małżeńskim łóżku. Zrobiło jej się ciężko na sercu. Gdy spojrzała na zegarek, stwierdziła, że Rafe musiał niedawno pojechać do pracy. Potrafił poruszać się niemal bezszelestnie. Wstawał, mył się i ubierał tak cicho, że prawie nigdy go nie słyszała, kiedy wychodził przed świtem.

Dlatego nie powinna czuć się zawiedziona, że i tego ranka udało mu się wymknąć cichaczem. Przecież to ona chciała oszczędzić im trudnego momentu pożegnania. Uznała, że dla nich obojga tak będzie lepiej.

A jednak na widok liściku pozostawionego na stole w kuchni serce szybciej zabiło jej w piersi. Jeszcze nie wzięła go do ręki, a już czuła, że nie znajdzie w nim sentymentalnych wyznań. Liścik został napisany na kartce wyrwanej z bloczku. Na takich kartkach zostawiali sobie wiadomości w rodzaju „Zadzwoń do biura”, albo „Wyłącz piekarnik”. Pismo Rafe a było równie zamaszyste i niewyraźne jak zwykle.

Mimo to, kiedy zaczęła czytać, wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

„W każdej chwili możesz do mnie zadzwonić, gdybyś czegoś potrzebowała. Dobrze wiesz, że Cię kocham i zawsze będę Cię kochał”.

Zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Nie wolno jej się rozplakać. Musi udawać osobę podobną do Anne, która potrafi wyruszyć na podbój świata, uzbrojona jedynie w pewność siebie.

Dlatego nie dopuści do siebie niepożądanych myśli. Zaparzy świeżą kawę i zaczeka na taksówkę.

Raz jeszcze zerknęła na bloczek, dziwnie cienki. Jakby Rafe zużył ze czterdzieści kartek, zanim zdołał skreślić te kilka słów pożegnania...

Zaintrygowana, zajrzała do kosza na śmieci, by sprawdzić, czy jej podejrzenia są słuszne. Nie pomyliła się, bo w koszu znalazła kłęb pomiętych kartek.

Na samym wierzchu leżał srebrny medalik.

Wstrzymała oddech.

Jak to możliwe, że jedyna rzecz, jaka dawała Rafe'owi poczucie bezpieczeństwa, wylądowała w śmieciach?!

W pierwszej chwili pomyślała, że medalik musiał wypaść mu z kieszeni. Gdy schyliła się, żeby go wyjąć z kosza, wiedziała, że to niemożliwe.

Nie, Rafe świadomie go wyrzucił na dowód, że go nie potrzebuje. Kogo próbował przekonać, skoro ona od dawna o tym wiedziała? Chyba że sam o tym nie wiedział? Może nie wierzył we własne siły?

„Im bardziej zajmowałem się innymi ludźmi, tym lepiej sobie ze wszystkim radziłem”.

„To ja się zajmuję innymi. Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek mną się zajmował”. „To kwestia przeżycia”.

Beth wróciła do stołu, ściskając w palcach medalik. Kwestia przeżycia.

Po tylu latach Rafe nadal walczył o przeżycie. „Nie chciałem robić sobie złudnych nadziei”. „Nigdy nie potrafiłem okazywać uczuć”. „Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła”. Ile razy jej to powtarzał, a ona nie chciała go słuchać? „O mnie się nie martw”. „Ja jestem bezpieczny”. „Sam potrafię się sobą zająć”.

A skoro tak, dlaczego wciąż się spodziewała, że będzie mu potrzebna?

Odpowiedź już знаła. Przeczytała ją wczoraj w dzienniku Anne. Nagle w uszach zabrzmiały jej słowa siostry:

„Ona zawsze uważała, że jest do niczego, jeśli nie jest komuś potrzebna”.

Przez cały ten czas świadomie wykorzystywała Rafe'a, winiąc go za swój brak pewności siebie. Domagała się, by ją dowartościował. Czekala, aż dzięki niemu stanie się kimś ważnym.

Zamiast zaakceptować go jako samotnika, jakim był od początku. Zaspokoić jego potrzebę bycia silnym.

Pisk hamującej taksówki wprowadził ją w przerażenie. To niemożliwe, żeby już trzeba było odjeżdżać. Zerknęła na zegarek. Niestety, kierowca zjawił się na czas. Wylała resztkę kawy do zlewu, chwyciła torebkę, wrzuciła do niej list od Rafe'a oraz medalik, a potem wyszła przed dom i kazała wstawić walizki do bagażnika.

Taksówka pomknęła w stronę lotniska. Za późno było, żeby podjechać do ośrodka. Za późno na przeprosiny.

Zresztą, nawet gdyby próbowała go przeprosić, Rafe powiedziałby jej, żeby się nie martwiła, bo nie ma do niej pretensji. Zapewniłby ją, że nie zrobiła mu nic złego, i pewnie by w to wierzył.

Nic dziwnego, że tak dobrze żyło mu się z kobietą, którą oboje uważali za Anne.

Jako Anne oceniała go tak, jak na to zasługiwał.

Jako Beth, nigdy tego nie potrafiła.

Teraz, gdy w Chicago czeka na nią tyle obowiązków, za późno, by prosić męża o wybaczenie. Aby uszanować jego potrzebę bycia silnym, żeby stać się kobietą, na jaką Rafe zasłużył.

Gdy Rafe jechał rano do ośrodka, przez całą drogę prześladowała go myśl, że Beth zasłużyła na więcej niż tylko kilka pospiesznie skreślonych zdań. Może trzeba było zostawić na stole bukiet kwiatów?

Każę jej posłać kwiaty do Chicago. Może będzie zadowolona?

Tak, zadzwoni do kwiaciarni, poda adres i zrobi wszystko co trzeba.

Starczy mu na to sił, bo ból po pchnięciu nożem nigdy nie jest szczególnie dotkliwy. Przez pierwsze kilka minut człowiek nic nie czuje. Tak jak wtedy, kiedy zostaje się porzuconym. Chyba że poprzedzą to sygnały ostrzegawcze. Wtedy ten okres zubożenia trwa dłużej. Człowiek zachowuje się wtedy normalnie i czeka na nieunikniony atak bólu, który go powali i...

Zanim to nastąpi, porzucona osoba czuje się dobrze.

On też czuje się dobrze. Zadzwoni do kwiaciarni, ale wszystko w swoim czasie.

Przed budynkiem ośrodka Oscar już sprawdza, czy ktoś nie włamał się w nocy przez okno.

- Cholo nie przyjdzie - powitał go - ale jest ci bardzo zobowiązany za to, co robisz dla Billyego.

Billy, kuzyn Chola, miał zostać uniewinniony. A skoro tak, jest szansa, że więcej młodych ludzi zacznie zgłaszać się po pomoc do ośrodka. Będzie można zatrudnić nowych stażystów, a także uzyskać dotację. Może więc ośrodek stanie się miejscem umożliwiającym młodym ludziom powrót na dobrą drogę.

- Jeśli chodzi o Billy'ego, wszystko będzie dobrze - zapewnił Oscara. Zastanawiał się, ile razy w tym dniu przyjdzie mu użyć tego sformułowania. - Możesz to powtórzyć, komu zechcesz.

Chłopak wsunął ręce do kieszeni, co oznaczało, że przyszedł bez broni, i czekając, aż Rafe otworzy drzwi, rzucił:

- Jasne. A tak przy okazji, Cholo powiedział Gabe'owi, no wiesz, temu gościowi na górze, że jesteś w porządku. Gabe chce z tobą pogadać o paru sprawach.

Na to właśnie Rafe liczył. W tym środowisku poparcie kogoś takiego jak Gabe miało większą wagę niż opinia pracownika socjalnego. Żeby jednak wszystko odbyło się jak należy, Gabe będzie musiał stawić się w ośrodku.

- Jestem uchwytany praktycznie o każdej porze - powiedział Rafe Oscarowi.

Gdy weszli do środka, chłopak zamknął drzwi, popatrzył wymownie na tabliczkę z napisem „Zero narkotyków, żadnej broni” i, przestępując z nogi na nogę, zauważył:

- Z tym może być pewien kłopot. - Zawahał się, jakby się zastanawiał, jak wytłumaczyć to w możliwie najbardziej

dypłomatyczny sposób. - Nikt nie lubi wchodzić tam, gdzie nie można się w razie czego obronić.

- Wiem - przytaknął Rafe. Starał się nie patrzeć w głąb korytarza, gdzie na biurku, w jego pokoju, wciąż stało zdjęcie Beth. - Do tego trzeba mieć odwagę.

Oscar zmieszał się. -Uhm...

- Tak jak ty - dorzucił Rafe, zapalił światło i nagle go olśniło. Chłopak rzeczywiście nie zabrał pistoletu, ale sądząc po jego minie, musiał mieć przy sobie nóż. Wobec tego Rafe wrócił do drzwi i machnął ręką. - Na dwór!

Oscar nawet nie próbował udawać niewiniątka, tylko wyszedł na zewnątrz. Gdy stanęli na schodach, skrzyżował ręce na piersiach i oświadczył:

- Sprawa wygląda tak, że muszę mieć broń.

- Może na ulicy - zgodził się Rafe. Po co udawać, że świat jest bezpieczny. Przecież w każdej chwili można zostać zaatakowanym lub porzuconym. - Ale nie tutaj -dodał, bo czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo na terenie ośrodka.

- Teraz może nie, ale nigdy nie wiadomo, co się zdarzy.

To prawda. Bez względu na to, jak dobrze człowiek potrafi się bronić, powinien być przygotowany na niespodziewany atak.

A także na niespodziewaną stratę.

- Wiem - przyznał, po czym cofnął się, żeby zgasić światło. Po co zużywać prąd, skoro Oscar nie zamierza wejść do środka. - Ja też tak myślałem.

Chłopak spojrzał na niego, zaskoczony. Widocznie zapomniał, że mieli bardzo podobną przeszłość.

- Naprawdę?

- To było dawno temu. - Dzień, w którym odłożył nóż, okazał się przełomowy w jego życiu. Rafe uważał to za znacznie większy sukces niż zdobycie dyplomu prawnika. - Nie ruszałem się wtedy nigdzie bez zabezpieczenia.

Oscar pokiwał głową i wsunął głębiej ręce do kieszeni.

- Wiesz, jak to jest.

- Wiem. - Tak czy inaczej, nie było sensu stać dalej na dworze i wpatrywać się w drzwi, na których Beth własnoręcznie zawiesiła tabliczkę. Rafe szybko odpędził to wspomnienie, po czym zamknął drzwi na klucz. - Chodźmy na kawę.

W drodze do kawiarenki nie spotkali nikogo oprócz starszych państwa, którzy szybko przeszli na drugą stronę ulicy, żeby się z nimi nie spotkać. Za to gdy wracali, Oscar bez przerwy mówił o Biance, a Rafe musiał użyć całej siły woli, żeby nie myśleć o Beth.

Gdy dochodzili do ośrodka, Oscar rzucił od niechcienia:

- Kiedy Gabe może przyjść?

- Kiedy tylko zechce. Oczywiście pod warunkiem, że przyprowadzi kogoś, kto poczeka z bronią za drzwiami.

- Dobrze, powtórzę mu to.

- To samo dotyczy ciebie.

Oscar sięgnął po nóż, jakby zdecydował się go oddać, a potem się zawahał i po namyśle pokiwał głową.

- Następnym razem. Nie bierz tego do siebie, dobrze? Sam mówiłeś, że zawsze lepiej mieć zabezpieczenie.

Rafe doskonale pamiętał to uczucie, jednak znalezienie właściwych słów okazało się trudniejsze, niż sądził.

Jeśli się okaże, że nie potrafi dotrzeć do chłopaka, który tak bardzo przypominał mu jego samego sprzed lat, jeżeli nie zdoła porozumieć się z kimś, kto tego tak bardzo potrzebuje, to znaczy, że te wszystkie noce spędzone bez Beth poszły na marne.

Nie, nie będę myślał o Beth.

- Rzecz w tym - zwrócił się do Oscara - że jeśli czujesz się nikim bez broni, to i z bronią będziesz nikim. Potrzebowałem wiele czasu, żeby to zrozumieć.

Chłopak zamilkł na dłuższą chwilę, a gdy dotarli pod drzwi ośrodka, powiedział:

- Ty to co innego. Masz tę swoją tarczę.

Rafeo'wi stanął przed oczyma wizerunek rycerza w lśniącej zbroi - ideał Beth. On jednak nigdy nie nosił miecza, a co dopiero tarczy.

- O co ci chodzi? - zapytał.

- To jest jak tarcza - wyjaśnił Oscar, zataczając krąg ręką.

Dobre porównanie. Rafe pomyślał o murach, które wznosił latami wokół siebie, by się odciąć od swoich słabości i lęków.

- Masz na myśli zbroję - odezwał się, a Oscar pokiwał głową.

- Tak. Nikt się przez nią nie przebije.

Nikt prócz Beth, której udało się to już w pierwszym dniu ich znajomości.

Nie będzie teraz myślał o Beth i o tym, że go opuściła. Za późno na żale, że mogło być inaczej. Nadzieje, że potrafi sprostać jej oczekiwaniom, okazały się płonne.

- Dlatego ty to co innego. - Oscar przysiadł na krawężniku, jakby chciał dać do zrozumienia, że szanuje zakaz wchodzenia z bronią do ośrodka. - Nie mam takiej zbroi.

Nie, wszystko co miał, to gang i pistolet, a to nie wystarczy.

- Potrzeba czasu, żeby sobie stworzyć taki pancierz. - Rafe usiadł obok chłopca. - Kiedy już się go ma...

- Wiem - przerwał mu z zapalem Oscar - wtedy ludzie mogą cię atakować ze wszystkich stron, ale się nie przebija.

Ze wszystkich stron... Rafe niemal słyszał słowa Beth. „Z przyjemnością cię wysłucham”. „Czy tego potrzeba, żeby cię tu ściągnąć? Mam sobie zrobić krzywdę?” „Wciąż próbuję i nie wiem już, co robić”.

- Gdybym miał taką tarczę - zaczął Oscar, ale Rafe mu przerwał.

- Bianca pewnie się cieszy, że jej nie masz. Chłopak zmieszał się.

- Ona nie chce, żeby mi się stało coś złego. Jeżeli ma się taką zbroję jak ty, nikt się przez nią nie przebije.

Nikt. Nawet Beth.

„Może nigdy tego nie zauważyłeś, ale... czasami czuję się, jakbym była sama w tym małżeństwie”. „Nie pozwalasz, żeby ktoś się tobą zajął”. „Nie potrzebujesz mnie. Ty nikogo nie potrzebujesz”.

Co w tym dziwnego? Najpewniejszy sposób, żeby kogoś utracić, to się od niego uzależnić. Kiedy poczujesz, że ktoś zaczyna być ci

potrzebny, tak jak matka, dziadek, kumpel albo dziewczyna, możesz od razu powiedzieć „do widzenia”. Oszczędzisz sobie w ten sposób wielu przykrości.

- Nie zawsze okazuje się to skuteczne - mruknął Rafe.

- Wiem, jak to jest - przytaknął Oscar - bo kiedyś zaciął mi się pistolet. Byłem przekonany, że już po mnie.

Czasami lepiej zginąć, niż cierpieć. Zwłaszcza gdy ktoś odchodzi, łamiąc ci serce. Rafe zamknął na moment oczy.

- Mogło być jeszcze gorzej - powiedział.

- Jak to? - W oczach chłopaka odmalowało się zdumienie.

- Strata bliskiej osoby może być gorsza niż śmierć - wyjaśnił Rafe, czując znajomy ucisk w piersi. - Czasami nawet jeśli ma się tarczę, można zostać trafionym.

- Ale chyba niezbyt groźnie. Może i tak.

„Wolisz być z tymi dzieciakami niż tutaj”.

„Czuję się taka samotna”.

„Nie jestem osobą, jakiej pragniesz”.

Za każdym razem, kiedy zapewniał Beth, że ją kocha, oddzielał się od niej tą tarczą. Robił wszystko, żeby utrzymać bezpieczny dystans między sobą a ukochaną kobietą. Dużo powinien naprawić, gdyby tylko potrafił. Przynajmniej mógł spróbować.

- Muszę już iść - powiedział Rafe. - Może zdążę złapać żonę na lotnisku.

- Twoja żona dużo podróżuje - stwierdził Oscar, przyglądając mu się podejrzliwie.

- Muszę ją zatrzymać. Jest mi bardzo potrzebna. - Rafe już szedł w stronę samochodu. Czuł, że ma panikę wypisaną na twarzy.

- Zabrała twoje klucze? - dopytywał się Oscar, który deptał mu po piętach.

Rafe omal nie wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie - zaczął tłumaczyć, mocując się z kluczykami. - Myślałem, że nikogo nie potrzebuję, ale się myliłem. Beth od początku wiedziała to, co zrozumiałem dopiero teraz. Że sama miłość nie wystarczy. Dlatego muszę ją zatrzymać.

Oscar musiał wyczuć powagę sytuacji, bo na pożegnanie dorzucił radę:

- Może powinieneś dać jej kwiaty?

- Nie. - Rafe uruchomił silnik i wrzucił wsteczny bieg, a potem powiedział: - Tym razem muszę jej dać całego siebie.

- Nie może pan jechać szybciej? - popędzała Beth taksówkarza.

- Nie - odburknął z posępnym spojrzeniem i dodał: - Chyba że chce pani utknąć na wybojach. Sama pani widzi, że to nie jest najlepsza okolica.

Beth doskonale zdawała sobie z tego sprawę, jednak przekonanie, że musi natychmiast zobaczyć Rafe" a, kazało jej zawrócić spod lotniska, a jej niecierpliwość zaczęła się przeradzać w histerię.

- Tutaj - powiedziała, wskazując na znak „stop”. - To ta ulica. - Miała nadzieję, że Rafe będzie w ośrodku, a nie, na przykład, w sądzie albo na spotkaniu z klientem.

Chciała dotrzeć do niego jak najszybciej, by mu wytłumaczyć, że jest dla niej najważniejszy na świecie.

Jeszcze tylko dwie przecznice, tak, już widać ośrodek. Rafe też tam jest! Rozmawia z jakimś chłopakiem, pewnie Oscarem, otwiera drzwi samochodu i...

Nie, on nie może teraz odjechać! Beth otworzyła okno i zaczęła wołać męża, po raz kolejny narażając się taksówkarzowi.

Rafe nie usłyszał tego jednak, bo samochód ruszył z miejsca i zaczął oddalać się w przeciwnym kierunku.

- Oscar! - wykrzyknęła z rozpaczą, wskazując na odjeżdżający wóz. - Zatrzymaj go!

Chłopak pomknął jak strzała. Taksówkarz zahamował z piskiem opon.

- Proszę pani, musi pani...

- Minutkę! - Wyskoczyła z taksówki. Widziała, jak Rafe zatrzaskuje drzwi wozu i rusza w jej stronę.

- Co się stało? - zapytał, kiedy się spotkali. Był spięty, a z jego oczu wyzierał niepokój. Najwyraźniej sądził, że żona potrzebuje pomocy.

Wtedy zrozumiała, że nie był w stanie wyobrazić sobie innej przyczyny, dla której mogłaby go szukać. A skoro tak, to znaczy, że mieli sobie bardzo dużo do wyjaśnienia.

- Rafe! - wybuchnęła, rzucając mu się na szyję. - Wróciłam, żeby ci powiedzieć...

- Właśnie jechałem... - zaczął w tym samym momencie, zamykając ją w uścisku.

- To wszystko moja wina. - Chciała mu pierwsza wszystko wytłumaczyć, ale słowa zdawały się zbyt wolno padać z jej ust. - Wciąż czekałam, aż zrobisz ze mnie kogoś ważnego - wykrztusiła - a przecież to nie jest twoje zadanie. -Beth...

- To moje zadanie. - Zrozumienie tej prawdy zajęłoby jej znacznie więcej czasu, gdyby nie dziennik Anne i wyrzucony medalik. - Powinnam była zajmować się dziewczynkami z zespołem Downa, tak jak dawniej. Tymczasem ja miałam tylko jedno obsesyjne pragnienie - żebyś zaczął mnie potrzebować.

- Przecież cię potrzebuję - odparł.

- Proszę pani, co mam zrobić z bagażami? - zawołał taksówkarz.

Beth nie była w stanie tym się zająć, ale Rafe wyjął z kieszeni kilka banknotów i przywołał chłopaka, który czekał przed wejściem do ośrodka.

- Oscar, załatw to, dobrze?

Prawdę mówiąc, Beth nawet nie zaczęła przeproszać.

Tymczasem Rafe ujął ją za rękę, jakby wszystko zostało jej wybaczone, i chciał tylko jednego - by weszła z nim do biura.

Z nim, z młodą dziewczyną, pewnie nową stażystką, a także z dwoma chłopakami idącymi w stronę wejścia. Było tyle spraw, tyle ludzi, którymi musiał się zająć, a ona powinna mu na to pozwolić.

- Muszę ci to koniecznie powiedzieć, zanim wszystko pokręcę - rzuciła błagalnym tonem.

Rafe przystanął i położył jej ręce na ramionach.

- Dobrze - zgodził się. W jego wzroku niepokój przeplatał się z nadzieją. - Mów pierwsza, ale ja też mam ci coś do powiedzenia.

Taksówkarz wystawił walizki na chodnik.

- Mam je wnieść do środka? - zawołał Oscar.

Za dużo rzeczy działo się naraz. Rafe'owi zdawało się to jednak nie przeszkadzać.

- Tak - rzucił klucze chłopakowi, a kiedy ten je złapał, znów odwrócił się do Beth. - Chodźmy stąd.

Nie! Przecież zwróciła z lotniska po to, by mu wyjaśnić, że wreszcie zrozumiała, dlaczego praca jest dla Rafe'a taka ważna. I że już nigdy nie będzie się domagać, by stawiał ją przed wszystkimi i wszystkim.

- Nie - zaprotestowała. - Tu jest twoje miejsce.

- Moje miejsce jest przy tobie - odparł. - Bez względu na to, gdzie będziesz.

Nie mogła sobie przypomnieć, by wcześniej mówił coś takiego. Trzeba przyznać, że podniosło ją to na duchu. Nawet nie zdążyła go poprosić, by dał ich małżeństwu jeszcze jedną szansę.

- Teraz jestem tutaj, na środku parkingu - powiedziała. - Nie ruszę się z miejsca, póki cię nie przeproszę. Rafe, tak mi przykro. Przez cały ten czas chodziło mi tylko o jedno. Żebyś zaczął mnie potrzebować. O nic innego nie dbałam. - Szybko, szybko, pomyślała, wyduś wreszcie tę prośbę. - Ale, Rafe, gdybyś zechciał mi wybaczyć, może moglibyśmy zacząć wszystko od nowa?

Rafe popatrzył na nią przeciągle.

- Chcesz się przejść? - zapytał wreszcie.

- Dobrze - odparła, a w jej sercu zakiełkowała nadzieja.

- Czy teraz ja mogę coś powiedzieć? - zapytał, gdy przecięli parking i wyszli na cichą uliczkę.

- Oczywiście.

Rafe przystanął, wziął głęboki oddech i stwierdził:

- To nie była twoja wina. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przez cały ten czas wmawiałem sobie, że nikogo nie potrzebuję - ciągnął - lecz się myliłem. - Zawahał się, a potem wyciągnął rękę. - Beth, potrzebuję cię.

Wcześniej przyjęłaby to wyznanie z radością jako swoje zwycięstwo. Jednak w ciągu ostatnich dwóch dni zdążyła zrozumieć, że można się kimś opiekować z miłości albo z obowiązku. Mimo to miło było pomyśleć, że Rafe jej potrzebuje.

- Nie musisz - wyszeptała.

- Wiem, ale to jest silniejsze ode mnie. - Chwytał Beth za rękę i spojrzał jej w oczy. - Przez cały czas próbowałem odgrodzić się od ciebie, zakulem się w zbroję...

- Kocham cię takim, jaki jesteś.

Rafe otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i nagle oczy mu zwilgotniały.

W tym momencie Beth uświadomiła sobie, że ani razu nie powiedziała mężowi, że kocha go takim, jaki jest, i że go w pełni akceptuje. Tak jak wówczas, gdy oboje byli przekonani, że ona to Anne.

- Przez ten pierwszy miesiąc po wypadku postępowałam właściwie - zwróciła się do Rafe'a. - Przestałam cię wykorzystywać i

domagać się, żebyś mnie dowartościowywał. Powinnam zrobić to grubo wcześniej.

Rafe potrząsnął głową.

- Nie, to była moja wina. Myśl, że mógłbym cię potrzebować, napawała mnie przerażeniem. A przecież byłaś mi bardzo potrzebna.

- Czyli oboje byliśmy w błędzie. - To znaczy, że mogli podzielić się winą i zacząć od nowa. - Ja czepiałam się ciebie jak bluszcz, a ty byłeś jak skała. Od dziś możemy wspierać się nawzajem.

Rafe z uśmiechem przysunął się bliżej i udał, że chce się o nią oprzeć, a gdy się roześmiała, objął ją ramieniem.

- Możemy polegać na sobie - orzekł, kiedy znów podjęli spacer.
- Być sobie nawzajem potrzebni. Możemy się pragnąć.

- Możemy się kochać - wyszeptała ze wzruszeniem.

- Tak. I kochać nasze dzieci.

Tyle szczęścia naraz! O tym marzyła. Serce Beth wezbrało radością.

- Na dzieci możemy jeszcze poczekać - powiedziała, a widząc zdumienie Rafe'a, dorzuciła: - Mówię poważnie. Nalegałam, bo chciałam być kimś ważnym, i nawet nie pomyślałam o tym, jak wiele znaczy dla ciebie twoja praca.

Rafe machnął lekceważąco ręką w stronę budynku, w którym mieścił się ośrodek.

- Nie tyle co ty.

- A twoi podopieczni...

- Są ważni, owszem, ale nie są moją rodziną. - Rafe znów przystanął i odwrócił się do Beth. - Ty jesteś moją rodziną.

Gdy to usłyszała, zalała ją fala szczęścia.

- A ty moją. Dlatego mogę jeszcze poczekać.

- Może to z mojej strony egoizm, ale lubię mieć kogoś, kogo mogę tak bardzo kochać. Dlatego chcę mieć większą rodzinę i więcej osób do kochania.

Beth pomyślała, że trudno o lepszy powód, by mieć dzieci.

- To zupełnie jak ja - powiedziała i przysunęła się, by pocałować męża. - Marzę o dużej rodzinie, ale już nie dlatego, że wciąż muszę się kimś opiekować, tylko dlatego, że tego bardzo chcę.

Uśmiech Rafe'a świadczył o tym, że zrozumiał różnicę.

- Chcę, żebyś się opiekowała naszą rodziną - powiedział. - Mną też - Urwał zaskoczony, po czym dodał: - Nie przypuszczałem, że się do tego przyznam.

Ona też się tego nie spodziewała. Nagle przypomniała sobie o medaliku.

- Skoro mówimy o opiece - powiedziała - pewnie go nie potrzebujesz, mimo to zdecydowałam się go zachować. Na wypadek gdybyś zmienił zdanie.

Rafe spojrział na jej wyciągniętą dłoń, ale zanim zdążył odpowiedzieć, pojawił się zdyszany Oscar.

- Wniosłem walizki do środka - zwrócił się do Beth, a potem spojrział na Rafe'a. - Heidi mówi, że musi wyjść o dwunastej.

Znów dopadła ich proza życia. Beth z uśmiechem patrzyła, jak Rafe pokazuje chłopakowi medalik i mówi:

- To on pozwolił mi wyjść cało z niejednej opresji w Los Angeles.

Oscar z nabożeństwem pokiwał głową.

- Ludzie dają coś takiego swoim dzieciom.

Rafe przytaknął, po czym spojrzał na Beth. W jego wzroku malowało się pytanie. A gdy skinęła przyzwalająco, wręczył medalik Oscarowi.

- Nasze dzieci będą miały mnie i Beth - powiedział z powagą. - Weź go. Chciałbym, żebyś go nosił.

Chłopak spojrzał na niego zaskoczony.

- Dzięki. To... niesamowite. Na pewno nie będzie ci już potrzebny?

- Na pewno. - Rafe uśmiechnął się, po czym przyciągnął do siebie żonę, by złożyć na jej ustach kolejny pocałunek, zapowiedź szczęścia dla nich oraz ich przyszłych dzieci. - Mamy już wszystko, czego potrzebujemy.

Epilog

To prawda, że mieli wszystko, czego potrzebowali. Mimo to Rafe krążył nerwowo po szpitalnym sklepiku z upominkami, szukając czegoś, co sprawi, że oczy Beth załzną z radości. Byle wreszcie pozwolili mu wejść do pokoju, w którym czeka na niego z ich córeczką w ramionach.

Wydawało mu się, że od chwili, gdy wyszedł z sali porodowej, by obwieścić czekającym, że Beth urodziła zdrową dziewczynkę, minęły wieki. Beth z maleństwem przeniesiono do pokoju na górze, a on wstąpił jeszcze do sklepu. Przez cały czas zastanawiał się też, na jakiej podstawie pielęgniarka obliczyła, kiedy będą gotowe na jego wizytę. Miały to przecież być ich pierwsze chwile w ścisłym rodzinnym gronie. Tylko Beth, on i ich dziecko.

Może powinien zanieść Beth kwiaty? Albo misia? Albo...

„Nie chcę kwiatów” - przypomniał sobie jej słowa. „Chcę tylko ciebie”.

Odłożył kwiaty i ruszył na górę. Jakoś przeczeka na korytarzu te osiem minut. Gdy dotarł do stanowiska pielęgniarek, zaczęły go poganiać gestami, co musiało oznaczać, że Beth już o niego pytała.

Widok żony z ich dzieckiem w ramionach zrobił na nim ogromne wrażenie. Beth wyglądała lepiej niż wtedy, gdy wychodził z sali porodowej. Odwracając ku niemu maleństwo, wręcz promieniała szczęściem.

To nasza córeczka, pomyślał z drżeniem serca. Taka niewiarygodnie maleńka. Taka śliczna, z tą swoją drobniutką twarzyczką i kępką jasnych włosków na czubku głowy. Z tymi maciupenkimi piąstkami, przyciśniętymi do piersi. Z wyrazem zaskoczenia na buzi, wydała mu się do niego podobna. Wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Jest przepiękna - wyszeptał.

Beth uśmiechnęła się i podała mu usta do pocałunku.

- Pewnego dnia - odezwała się rozmarzonym tonem - powiem jej, że były to twoje pierwsze słowa na jej widok.

Pomyślał, że ich córka nie będzie może chciała w to uwierzyć, kiedy wkroczy w burzliwy wiek młodości.

- Powinienem zapytać, jak się czujesz - powiedział.

- Jestem jeszcze trochę nieprzytomna - odparła z uśmiechem, który tak kochał - ale ty się mną zaopiekujesz.

Pomyślał, że nawet jeśli nie jest jej to potrzebne, będzie się nią opiekował do końca życia.

- Nie tylko tobą, także naszą córką. - Uklęknął przy łóżku, by lepiej przyjrzeć się dziecku. - Witaj, skarbie.

Popatrzył na buzię maleństwa i nagle ogarnęła go niewysłowiona radość. To jego dziecko! Ciało z jego ciała, i krew z jego krwi! Był tak oszołomiony, że głos Beth zdawał się napływać z oddali.

- Nauczysz ją mówić po hiszpańsku?

- Oczywiście. O ile tylko będzie chciała - odparł. - Chcę dać jej... wszystko. - Miał nadzieję, że Beth rozumie to jego instynktowne,

niemal zwierzęce pragnienie, żeby chronić to maleństwo, by ofiarować mu wszystko, co najlepsze. - Wiesz o tym, prawda?

- Wiem - odparła z powagą. - Ja czuję to samo. Najpierw musimy jej nadać imię.

Już wcześniej umówili się, że z wyborem imienia poczekają, aż dziecko się urodzi. Zgodzili się też, że musi to być imię kogoś, kogo oboje kochali.

- Mnie nadal podoba się imię Anne - powiedział Rafe. Beth mocniej przytuliła córeczkę do piersi.

- Mnie też. - Wcześniej protestowała, że to nie w porządku w stosunku do Rafe a, by ich dziecko nosiło imię kogoś, z kim była znacznie bardziej związana niż on. On jednak nie chciał ustąpić. - Naprawdę, nie będziesz miał nic przeciwko temu, kochany?

- Pewnie, że nie. Anne była kimś naprawdę wyjątkowym. - Choćby tylko dlatego, że była tak bardzo kochana przez siostrę. - Oczywiście nie aż tak wyjątkowym jak ty, ale...

- Gdyby nie ona - przerwała mu Beth z tkliwym uśmiechem - nie byłoby nas tutaj.

Gdzie? W szpitalu? Rafe zdumiał się, a potem pomyślał, że ten szpitalny pokój jest, na szczęście, zupełnie inny niż tamten, w którym na widok pokaleczonego ciała żony zdrętwiał z przerażenia.

- Nie rozumiem - powiedział.

- To stało się wtedy, kiedy myślałam, że jestem Anne.

Pamiętasz? - Potarła czołem czołko dziecka, a potem podniosła ku niemu twarz z błogim uśmiechem Madonny. - Wtedy właśnie

zrozumiałam różnicę pomiędzy wykorzystywaniem ciebie a kochaniem ciebie.

Odkrycie to pozwoliło im obojgu zgodnie przeżyć cały miniony rok. Rafe nie odczuwał już przymusu dzielenia się z nią wszystkimi wiadomościami z pracy. Mimo to każdego dnia nie mógł się doczekać powrotu do domu, żeby zjeść z Beth kolację i porozmawiać o ludziach odwiedzających ośrodek, a także o młodzieży z problemami, którą Beth zaczęła zatrudniać w firmie.

A wszystko to dzięki Anne...

- Mam ją tak wiele do zawdzięczenia.

- Jaka szkoda, że nie może zobaczyć siostrzenicy - dorzuciła Beth i oczy zaszyły jej łzami.

Na szczęście dzięki opowieściom siostry bliźniaczki Anne zawsze będzie obecna w życiu tego dziecka.

- Jestem pewny, że ona ją widzi - odezwał się Rafe schrypniętym głosem. Wziął dziecko na ręce, uniósł do góry i głośno powiedział: - Anne Elizabeth Montoya.

- Będziesz wspaniałym ojcem - usłyszał i wzruszenie znów ścisnęło go za gardło.

- Nasza córeczka to istne cudo - wyszeptał z zachwytem.

- Pewnie, że tak - przyznała radośnie Beth. - Dostała też swój pierwszy prezent - dorzuciła, wskazując na owinięte białą wstążką puzderko na szafce obok łóżka.

Koleżanki Beth przyniosły im wprawdzie masę prezentów, ale to miał być pierwszy upominek, jaki ich maleństwo otrzymało już po urodzeniu.

- To od Bianki i Oscara. Czy to nie miłe z ich strony? Skinął głową, a wtedy Beth rozpakowała paczuszkę i pokazała mu lśniący srebrny medalik.

- Piękny gest - powiedziała i podała mu dołączony do prezentu liścik.

- „Dla dzidziusia - przeczytał głośno Rafe - który będzie miał wszystko, czego potrzeba do szczęścia”.

- Oni mają rację - przyznała z przekonaniem Beth. Niestety, choćby bardzo sobie tego życzył, wiedział, że to niemożliwe. Ich córka, jak każde inne dziecko, otrzyma od losu swoją porcję cierpień, bez względu na to, jak bardzo będzie starał się ją przed tym uchronić.

- Och, Beth - powiedział, tuląc małą do piersi. - Nie możemy dać jej wszystkiego.

- Ale możemy dać jej to, co najważniejsze. Ojca, który potrafi się dzielić, a zarazem być silny.

- I mamę, która potrafiła prowadzić firmę, będąc w ósmym miesiącu ciąży - dorzucił - i która jest najtroskliwszą opiekunką na świecie.

- Założę się, że w przyszłości Oscar stanie się kimś takim jak ty.

- Może i tak. - Byłby to oczywiście powód do dumy. Nic jednak nie mogło równać się z dumą, jaką odczuwał, trzymając na rękach ich słodką dziewczynkę. - Mam nadzieję – powiedział - że ona będzie w przyszłości podobna do ciebie.

- Wiem, że nie możemy jej dać wszystkiego - Beth przeniosła wzrok z córeczki na męża - ale jeśli uda jej się trafić na kogoś takiego jak ty, będzie miała to, co w życiu najważniejsze.

- Tak jak ja - przyznał Rafe ze wzruszeniem.
- Tak jak my - poprawiła go. - Nasza dwójka.
- Teraz już nasza trójka. - Rafe nachylił się nad żoną i zwrócił się do maleństwa: - Annie, pocałujemy twoją mamusię.

RS